

JERZY ANDRZEJEWSKI

---

**Ciemności kryją  
ziemię**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

JERZY ANDRZEJEWSKI

## Ciemności kryją ziemię

Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,  
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;  
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,  
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.  
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.

*Mickiewicz, Dziady, część III.*

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jedna ze starych hiszpańskich kronik notuje, że w połowie września roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego piątego, późnym popołudniem, do miasteczka Villa-Réal<sup>1</sup> w Manczy przybył czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor w otoczeniu dwustu kilkudziesięciu konnych i pieszych familiantów, czyli domowników Świętej Inkwizycji, zwanych również Milicją Chrystusową<sup>2</sup>. Ulice Villa-Réal — dodaje skrupulatny kronikarz — były puste, zniknęły z nich stragany żydowskich przekupniów, z oberż i z winiarni nie dochodził gwar, a okna większości mieszkalnych domów przysłaniały żaluzje. Upał, silny za dnia, zelżał już cokolwiek, jednak od Sierra Morena wciąż wiał suchy i gorący, południowy wiatr.

Ledwie poczet ciężkiej jazdy pancernej, poprzedzany przez rotę łuczników, minął Puerta de Toledo i znalazł się wewnątrz miejskich murów — wśród ciszy panującej w mieście zabrzmiał ciężko dzwon kolegiaty San Pedro, a potem odezwały się dzwony klasztoru San Domingo, kościołów Santa Cruz, Santa Maria la Blanca i San Tomas. Po chwili biły w Villa-Réal dzwony wszystkich rozlicznych kościołów i klasztorów.

Dwaj zakonni bracia, przechodzący wewnętrznym kruzgankiem klasztoru Dominikanów, zatrzymali się. Jeden z nich był w sile wieku, krępy, po chłopsku ciężki w ramionach; drugi — całkiem młody, niski i drobny, o ciemnej, jeszcze chłopięcej twarzy.

— Przyjechał — powiedział fray<sup>3</sup> Mateo.

— Mateo, Mateo! — zawołał fray Diego — gdybym mógł modlić się za tego człowieka, prosiłbym Boga, aby usunął go spośród żyjących.

Fray Mateo stał z pochyloną głową, przesuwając różaniec. Z daleka, nie stłumiony bliskimi dzwonami, dobiegał wysoki i czysty dźwięk sygnaturki podmiejskiej pustelni siostr karmelitanek.

— Diego — rzekł cicho — ty tego nie powiedziałaś, a ja tego nie słyszałem.

— Boisz się? Ty? Czyż nie myślisz tak jak ja?

— Nie zawsze należy mówić myślami.

— Wiem.

— Jesteś młody i gwałtowny.

— Wolałbyś, abym był jak kamień?

— Nie. Ale nawet kamienie mają dzisiaj uszy i języki. Uważaj. Jeśli ojciec Torquemada<sup>4</sup> uznał za właściwe opuścić królewski dwór i przyjechać do Villa-Réal, zaczyna się

Modlitwa

Milczenie

<sup>1</sup>Villa-Réal — dziś zapisywane jako Villareal, miasto we wschodniej Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Milicja Chrystusowa — łac. *Militia Jesu Christi*, zakon założony w roku 1209 w Langwedocji do walki z herezją albigensów. Po ich pokonaniu pod koniec XIII w. Milicja Chrystusowa połączyła się z Zakonem od Pokuty św. Dominika. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>fray (hiszp.) — brat. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Torquemada, Tomas (1420–1498) — dominikanin, od 1483 generalny inkwizytor, sprawował także funkcje spowiednika i doradcy władców Hiszpanii: Izabeli I Kastylijskiej oraz Ferdynanda II Aragońskiego. [przypis

tu dziać rzeczy straszne.

— O, Mateo, straszniejszych od tych, jakie widziałem, już chyba nie ujrzę.

— Nie ludź się — rzekł fray Mateo — straszność nie jest cechą zdarzeń, lecz skutkiem ich kolejności.

Diego gonił własną myśl.

— Boże wielki i miłosierny! Wiarę moją zachowałem nieskażoną, ale serce, Mateo, serce mam zranione i sumienie zmacone. Jednego dnia na *quamadero*<sup>5</sup> w Sewilli widziałem stu ludzi płonących na stosach. Śpiewałem razem z braćmi hymn: „*Exurge Domine et iudica causam Tuam*”<sup>6</sup>, a przecież poprzez ten ogromny śpiew nie mogłem nie słyszeć jęków i krzyków umierających. Innego dnia...

— Milcz, Diego. Rany serca tylko w ciszy można zagoić.

— Nie ma dla mnie ciszy! Powiedziałeś, że nie zawsze należy mówić myślami. Co to znaczy? Nie ufasz mi? Boisz się mnie? Ty, mój przyjaciel, mój nauczyciel.

Fray Mateo podniósł głowę. Diego stał o krok pobladły, drżący, z oczami płonącymi ciemnym blaskiem.

— Bracie Diego, jeśli sumienie sprzeciwia się uznanym nieprawościom, wówczas nie drugich ludzi, lecz samego siebie musi się człowiek bać najbardziej.

— Siebie?

— Wiesz, dokąd cię może zaprowadzić sprzeciw sumienia? Nie przeraża cię twój bunt?

— Nie! Nie chcę przerażenia ani lęku, ani niczego, co jest strachem. Chcę coś robić.

— Módl się — powiedział fray Mateo.

Tymczasem regiment Milicji Chrystusowej wąskimi i wszędzie jednakowo wyludnionymi uliczkami zbliżał się do kolegiaty. Wielki Inkwizytor królestw Kastylii i Aragonii, *padre*<sup>7</sup> Tomas Torquemada, okryty czarnym zakonnym płaszczem, jechał na białym kordobańskim koniu, ciasno otoczony domownikami, wyprostowany mimo podeszłego wieku, z oczami półprzymkniętymi.

Jeden z rycerzy towarzyszących Inkwizytorowi, młodziutki, jasnowłosy don Lorenzo de Montesa, pochylił się na koniu ku towarzyszowi.

— Szczury pochowały się do nor.

Don Rodrigo de Castro roześmiał się.

— Nic to szczerom nie pomoże.

— Myślisz?

— Ręce Świętego Trybunału są dłuższe od najgłębszej szczurzej nory. Poza tym szczerzy się boją i strach je zdradza.

— Czy ten, kto się boi, musi być winien?

— Nie wiem, to nie moja sprawa. Wiem natomiast, że zawsze trzeba być przeciwko tym, którzy się boją.

— Mówią, że król Ferdynand potrzebuje bardzo dużo pieniędzy.

— Wojna zawsze dużo kosztuje.

— Myślisz, że wszyscy *marranosi*<sup>8</sup> są heretykami?

— Nie wiem. Pewnie wszyscy. Ale to nie jest moja ani twoja sprawa, Lorenzo. Naszą sprawą jest wykonywać rozkazy i nie bać się.

— Nigdy się nie boisz?

— Czyż nie jesteśmy po to, żeby nas się bano?

— Ojciec czcigodny — powiedział półgłosem kapitan domowników Wielkiego Inkwizytora, don Carlos de Sigura — jesteśmy na miejscu.

*Padre* Torquemada podniósł powieki. Spośród domów ciasno otaczających plaza de San Pedro kolegiata wyrastała ku niebu ścianą tak ogromną, jak gdyby nie dłonie ludzkie ją wzniosły, lecz gwałtowny i nagle w powietrzu zastygły wybuch kamieni i rzeźbień utrwalił jej strzelisty kształt. Ludzie zgromadzeni przed kościołem wydawali się w jej

edytorski]

<sup>5</sup>*quamadero* — miejsce egzekucji dokonywanych przez Świętą Inkwizycję, wybudowane w Sewilli w roku 1481. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Exurge Domine et iudica causam Tuam* (łac.) — Powstań panie i osądź swoją sprawę. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*padre* (hiszp.) — ojciec. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*marranosi* — właśc. marranowie, hiszpańscy Żydzi nawróceni na katolicyzm, podejrzewani przez władze o praktykowanie swojej dawnej religii. [przypis edytorski]

cieniu nikli i zagubieni. Po obu stronach schodów stali z zapalonymi świecami bracia dominikanie. Ich ciemne płaszcze falowały na wietrze. Płomienie świec również się kołysały. Natomiast pośrodku schodów, w otoczeniu urzędników Świętego Officium<sup>9</sup> oraz świeckiego duchowieństwa, oczekiwali dostojnego gościa obaj inkwizytorzy arcybiskupstwa toledońskiego, kanonik kolegiaty doktor Alfonso de Torrez i dominikanin fray Gaspar Montijo. Tuż obok, z dłońmi wsuniętymi w rękawy habitu, stał przeor klasztoru San Domingo, padre Blasco de la Cuesta.

Akurat przestał bić dzwon kolegiaty, a ponieważ w ślad za nim i wszystkie pozostałe dzwony w mieście poczęły milknąć — nagle stała się na placu cisza. Dwóch łuczników podbiegło do czcigodnego ojca, lecz Torquemada zatrzymał ich krótkim ruchem dłoni i zeszedł z konia sam.

Zebrani pochylili głowy.

— Bądź pozdrowiony, czcigodny ojcze i najdostojniejszy panie — powiedział kanonik de Torrez.

Spodziewano się, że Wielki Inkwizytor pobłogosławi zgromadzonych, lecz Torquemada nie uczynił tego.

— Pokój z wami, wielebni bracia — powiedział po chwili głosem stłumionym, trochę już w starczy sposób skrzypiącym. — Niech wszystkie łaski pana naszego Jezusa Chrystusa spłyną na tych, którzy są ich godni.

— Amen — rzekł fray Gaspar Montijo.

Torquemada rozejrzał się po zebranych.

— Nie widzę wśród was, wielebni bracia, przedstawicieli władz świeckich. Czyżby nie wiedzieli o naszym przyjeździe?

Młody rycerz w lekkim mediolańskim pancerzu, połyskującym niebieskawym blaskiem, wysunął się spoza stłoczonego duchowieństwa.

— Witaj, dostojny ojcze — powiedział cokolwiek za głośno. — Mój dowódca, kapitan królewskiego regimentu, don Juan de Santangel, polecił mi złożyć wam należny hołd, prosząc jednocześnie o wybaczenie, że ze względu na stan zdrowia nie może tego uczynić sam.

Choroba

— Jest chory? — spytał padre Torquemada.

— Tak, ojcze.

— Na ciele czy na duszy?

Młody rycerz nie zmieszał się.

— Nie rozumiem cię, ojcze.

— Czego nie rozumiesz? Czyż nie jesteś chrześcijaninem i nie wiesz, co jest w człowieku ciałem, a co duszą, i co nazywamy chorobami ciała, a co chorobami duszy?

Tamten dumnie się wyprostował.

— Wiem, dostojny panie. Nazywam się Manuel de Hojeda, jestem szlachcicem i chrześcijaninem. Jeśli powiedziałem, że szlachetny don Juan jest chory, nie mogłem myśleć o jego duszy, ponieważ ta, należąc do wiernego sługi Króla i Kościoła, nie doznaje żadnych, jak tego jestem pewien, schorzeń.

— Czy tak mało, mój synu, ufasz swojej pewności, iż musisz podnosić głos? — spytał cicho Torquemada.

Don Manuel poruszył się niecierpliwie.

— Ojcze czcigodny, gdyby pan de Santangel nie był chory...

— Wówczas swoją obecnością złożyłby świadectwo szacunku oraz miłości, jakie żywi dla wiary i Świętej Inkwizycji. Wierzę w to. Mam wszakże nadzieję, że choroba szlachetnego kapitana nie jest na tyle ciężka, aby jutro mogła mu utrudnić odwiedzenie nas w siedzibie Świętego Officium.

Rumieniec pociemnił smagłą twarz don Manuela.

— Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, mój synu? — spytał Torquemada.

Krew coraz gęściejszą luną ogarniała twarz i czoło, nawet szyję don Manuela. Żyłki wystąpiły mu na skroniach. Przez moment wydawało się, że młody rycerz nie zapanuje nad gniewem i wybuchnie.

<sup>9</sup>Święte Officium — inna nazwa Inkwizycji (zapis polsko-łaciński). [przypis edytorski]

— Przedstawiciel *corregidora*<sup>10</sup> pragnie ci, czcigodny ojcze, złożyć słowa powitania — powiedział cicho *fray Montijo*.

Don Manuel przygryzł wargi i bez słowa cofnął się do tyłu.

— Czy szlachetny *corregidor* jest także chory? — spytał *Torquemada*.

Pisarz sądowy, *Francisco Doz*, człowieczek wąty i przygarbiony, o cienkiej szyi smutnego ptaka, znalazłszy się przed czcigodnym ojcem zaniemówił. Stał poblądły, usta mu drżały, a jego wypukłe, niebieskie oczy ścięte były strachem.

— Słucham cię, mój synu — rzekł *padre Torquemada*.

Tamten otworzył usta, jakby chciał zaczerpnąć powietrza.

— Pan *Blasco de Silos* istotnie nie mógł przybyć, dostojny ojcze — wymamrotał. — W ostatniej chwili ciężko zaniemógł.

I umilkł pod spojrzeniem *Torquemady*. Ten zwrócił się ku ojcom inkwizytorom.

— Cóż, wielbni bracia, pora mam udać się do kościoła. Podziękujmy Bogu za szczęśliwie odbytą podróż i pomódlmy się także za dusze heretyków i grzeszników, aby Najwyższy w swej niewyczerpanej dobroci dopomógł im do szczerego wyznania i wyrzeczenia się błędów.

— Amen — powiedział *fray Gaspar Montijo*.

— W *Villa-Réal*, czcigodny ojcze, szczególnie wiele, jak się wydaje, jest dusz dotkniętych ciężkimi schorzeniami — odezwał się *padre de la Cuesta*.

— Leczenie je zatem! — rzekł *Torquemada* wchodząc na stopnie kolegiaty. — Na cóż czekacie? Czyż nie jesteście lekarzami dusz?

Był już przy portalu, a bracia dominikanie, intonując wysokimi głosami *Magnificat*<sup>11</sup>, poczęły wchodzić do kolegiaty, gdy na placu wszczął się zgiewk. *Padre Torquemada* zatrzymał się, śpiew ścichnął.

W dole jeździec na spienionym koniu, głośno krzycząc i gestykulując, z trudem torował sobie drogę poprzez tłum. Otoczony przez domowników Świętego Trybunału, tłumaczył im coś przez chwilę, po czym jeden z nich, z ciężkiej jazdy pancernej, zeskoczywszy z konia, wbiegł dźwiężąc zbroją na stopnie kolegiaty.

— Ojcze czcigodny, przybył wysłaniec z *Saragossy* z ważnymi wiadomościami.

*Padre Torquemada* skinął dłonią. Wówczas tamten podniósł rękę i na ten znak domownicy, łucznicy i pancerni poczęli się rozstępować, aby utorować przybyłemu przejście. Ten — rosły i muskularny mężczyzna — zeskoczywszy z konia, zachwiał się, natychmiast się jednak wyprostował, zrzucił z ramion podróżny płaszcz, głęboko odetchnął, otarł powolnym ruchem dłoni spoczone czoło i ciężko, jak człowiek śmiertelnie zmęczony, począł wchodzić na schody.

Znalazłszy się przed Wielkim Inkwizytorem przyklęknął i pochylił twarz czarną od kurzu.

— Przybywasz z *Saragossy*? — spytał *Torquemada*.

— Tak, czcigodny ojcze. Trzy dni i trzy noce jestem w drodze.

— Kto cię przysłał?

— Święty Trybunał.

— Mów.

— Ojcze czcigodny, stała się rzecz straszna, wołająca o pomstę do nieba!

Umilkł na moment, aby zaczerpnąć tchu.

— Wielbny ojciec *Pedro Arbuez*<sup>12</sup> został zamordowany.

Szmer zgrozy rozległ się wśród zebranych. Wszyscy wiedzieli, że kanonik katedry, doktor *Pedro Arbuez d'Epila*, zaledwie przed rokiem, przy ustanawianiu Świętej Inkwizycji dla królestwa *Aragonii*, został mianowany jednym z dwóch inkwizytorów *Saragossy*.

— Boże, zmiłuj się nad nami — powiedział *padre de la Cuesta*.

— Gdzie popełniono zbrodnię? — spytał *Torquemada*.

— W katedrze, ojcze czcigodny, podczas wieczornych modlitw.

<sup>10</sup>*corregidor* — wysoki urząd w dawnej Hiszpanii, łączący funkcje administracyjne i sądownicze. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Magnificat* — z łac. *Magnificat anima mea Dominum* (Wielbi dusza moja Pana) pieśń dziękczynna, oparta o słowa wypowiedziane przez Maryję po Zwiastowaniu według Łk 1, 46–55. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Arbuez, Pedro* (1440/42–1485) — inkwizytor, zabity przez przeciwników politycznych pochodzenia żydowskiego, uznany za świętego męczennika. [przypis edytorski]

— Zabójcy?  
— Obu schwytano.  
— Ich nazwiska?  
— Vidal d’Uranso i Juan d’Esperaindeo.  
Torquemada zmarszczył brwi.  
— Nie znam.  
— To mali ludzie, czcigodny ojcie. Obaj jednak pozostają w służbach wielmożnego pana, don Juana de la Abadia.

— Tak więc wysoko sięga zbrodnia?  
— Ojcie czcigodny, wielbny inkwizytor, ojciec Gaspar Juglar, kazał mi powiadomić ciebie, że to haniebne morderstwo jest najprawdopodobniej wynikiem ogromnego spisku i do ludzi podejrzanych należą osoby piastujące w królestwie Aragonii bardzo wysokie godności.

— Na Boga żywego! — zawołał padre Torquemada — jeśli istotnie jest tak, jak mówisz, trudno mi uwierzyć, aby owe osoby należały do starych rodzin chrześcijańskich. Czy nie należą one do rodzin pochodzenia żydowskiego?

Wysłaniec pochylił z szacunkiem głowę.

— Lud Saragossy przemawia twymi ustami, czcigodny ojcie. Kiedy po mieście rozszła się wieść, że wielbny Pedro został zamordowany, lud wyległ na ulice, aby ukarać marranosów, obłudników przeklętych, którzy przyjęli wprawdzie naszą wiarę, lecz i z ducha, i z obyczajów pozostali wierni religii żydowskiej. Jego Eminencja arcybiskup don Alfonso, chcąc zapobiec poważniejszym rozruchom, musiał osobiście pojawić się na ulicach, aby przyrzec ludowi, że wszyscy winni zbrodni poniosą zasłużoną karę.

Padre Torquemada spojrzął po zebranych.

— Słyszycie, wielbni bracia? Słyszycie głos chrześcijańskiego ludu? Oto nauka dla was! Ubierzcie tysiąc skruszonych grzeszników w sanbenita<sup>13</sup> i boso popędźcie ich tu, do kolegiaty, na pokutnicze autodafé<sup>14</sup>, oddajcie świeckiej sprawiedliwości stu, dwustu, trzystu, jeśli zajdzie potrzeba, utajonych i zatwardziałych heretyków, aby zniszczono ich w płomieniach, jak niszczy się szkodliwe chwasty lub umarłą winorośl, a lud, który dzisiaj w tym mieście zamknął się w swoich domach, ujrzycie na ulicach. Więcej: będziecie go mieli u swych stóp.

Po czym zwrócił się do kłęzącego wysłańca:

— Pokój z tobą, mój synu. Przyniosłeś nam wiadomość smutną i radosną. Smucimy się, że wielbnego don Pedra nie ma już wśród nas, wszakże wiedząc, iż będzie on żyć po wszystkie czasy nieśmiertelnością pełną chwały, cieszymy się, że jego męczeńska śmierć umocni nas i zjednoczy w walce przeciw heretykom, w obronie naszej wiary.

Zmierzczył zapadał. Na placu zapalono pochodnie. Głos Torquemady rozbrzmiewał w ciszy coraz donośniej.

— Nie ma na świecie takiej siły ani takiego zła i przewrotności, które by były zdolne przeciwstawić się naszej sprawie. Bądźmy jednak, bracia, czujni i nie śpijmy wówczas, kiedy nie śpi nieprzyjaciół przebywający wśród nas.

— *Viva el nombre de Jesus!*<sup>15</sup> — powiedział mocnym głosem padre de la Cuesta. — *Viva la Virgen Santísima!*<sup>16</sup>

Wysłaniec z Saragossy poderwał się z kłęczek i twarzą zwrócony ku placowi krzyknął ochryple ze wszystkich sił w mrok pełen zbrojnych ludzi i blasków dymiących pochodni.

— *Viva la Santísima!*

— *Viva la Santísima!* — odpowiedział jednym, potężnym głosem tłum.

Wówczas Torquemada podniósł suchą, starczą dłoń i spod portalu kolegiaty, wysocki i wyprostowany wśród migocących płomieni świec, począł kreślić w powietrzu znak krzyża.

Żyd, Przemoc

Ogień, Śmierć

<sup>13</sup>*sanbenito* (hiszp.) — rodzaj stroju pokutnego. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*autodafé* — akt publicznej pokuty osądzonego przez Świętą Inkwizycję; w znaczeniu potocznym: egzekucja przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Viva el nombre de Jesus* (hiszp.) — niech żyje imię Jezus. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Viva la Virgen Santísima* (hiszp.) — niech żyje Najświętsza Panna. [przypis edytorski]

Była późna godzina nocna i dawno po wieczornej Jutrzni<sup>17</sup> u Dominikanów, kiedy po długiej naradzie z inkwizytorami oraz prawnymi doradcami padre de la Cuesta odprowadzał czcigodnego ojca do celi, w której ten miał na czas swego pobytu w Villa-Réal zamieszkać. Mrok nisko sklepionych korytarzy klasztornych rozświetlały pochodnie niesione przez dwóch rycerzy z Milicji Chrystusowej.

U końca długiego korytarza padre de la Cuesta zatrzymał się i otworzył drzwi jednej z cel.

— Należy ci się, czcigodny ojcze, zasłużony spoczynek po trudach dzisiejszego dnia. Myślę, że Bóg ześle ci dobry sen. W tej oto celi, jak świadczą stare zapiski naszego klasztoru, akurat przed stu laty przebywał przez pewien czas nasz święty brat, Vincente Ferrier<sup>18</sup>.

Padre Torquemada, schyliwszy w drzwiach głowę, wszedł do środka. Cella była ciasna i naga. W jednym rogu palił się kaganek oliwny. Poniżej stał klęcznik. W drugim rogu wąskie łoże. Nad nim z drzewa wyrzeźbiony ukrzyżowany Chrystus. Piwniczny chłód szedł od kamiennej podłogi i murów. Za oknem w głębokim wykuszu rozpościęrało się ciemne niebo nocy pełne gwiazd.

Czcigodny ojciec podszedł do okna.

— Nasz brat Vincente był niewątpliwie świętym. Czy nie sądzisz jednak, wielbny ojcze, że przy wszystkich swoich cnotach chrześcijanina był człowiekiem, który przykładał zbyt wielką wagę do słów?

Padre de la Cuesta cicho zamknął drzwi celi.

— Świętobliwy Vincente był wielkim kaznodzieją naszego zakonu.

Torquemada, wsunąwszy dłonie w rękawy habitu, patrzył na dalekie niebo.

— Słowa! Cóż słowa, mój ojcze? Tysiącem słów można nawrócić tysiąc heretyków. Powiadasz, że święty Vincente był wielkim kaznodzieją. To prawda. Istotnie przywrócił naszej wierze wiele tysięcy Żydów, którzy uszli w swoim czasie z pogromów. Lecz cóż z tego? Ci wczoraj nawróceni dzisiaj w osobach swoich synów i wnuków mordują skrytobójczo obrońcę wiary. Czemu to czynią? Ponieważ nienawidzą Świętej Inkwizycji, zmieniawszy tylko formy, a nie zmieniając ani na literę swych heretyckich natur. Okazuje się, że słowa bywają nie uchem igielnym, lecz bramą szeroko otwartą dla wszystkich. Przechodzi się przez nią tak łatwo, jak z ciemności do światła świtu. Zaprawdę, mój ojcze, biada walczącym, jeśli zbyt zaufają uzdrawiającej potędze słowa!

— Sądzisz, że słowo nie posiada żadnej mocy działania? — spytał pokornie padre de la Cuesta.

— Owszem, posiada ją, lecz tylko wówczas, kiedy jest działaniem. Cała prawda naszego słowa zawiera się w nauce Kościoła i jest ona nienaruszalną opoką, na której budujemy nasz gmach. Lecz czyż nasze powołanie nie na tym polega, aby słowa prawdy potwierdzać świadectwem działania? Wierz mi, mój ojcze, że tylko wtedy znaczą słowa, gdy miecz czynu stoi za nimi nie dalej niż o krok.

— Jeśli cię dobrze zrozumiałem, czcigodny ojcze, to zeznania postronnych osób złożone Świętemu Trybunałowi i świadczące, że niejeden ze świeckich panów oraz urzędników miasta Villa-Réal lekceważył sobie zasady religii i nie waha się okazywać pychy tam, gdzie posłuszeństwo i pokora powinny mieć miejsce, byłyby słowami, za którymi stoi miecz czynu.

Padre Torquemada odwrócił się od okna. W spojrzeniu jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu zapłonął nagły blask.

— Doprawdy, wielowiekowe doświadczenie naszej nauki przemawia przez twoje usta. Zdaje mi się, że rozumiałeś zasadę szczególnie ważną.

— Czy masz na myśli, czcigodny ojcze, zasadę, która stwierdza, że poza każdym błędem, jakkolwiek by był, kryją się skazy wiary?

Torquemada przymknął powieki i nic nie odpowiedział. Padre de la Cuesta wpatrywał się w niego z napiętą czujnością.

<sup>17</sup>Jutrznia — część Liturgii Godzin (tj. formy wspólnej, publicznej i powtarzanej o kilku porach dnia modlitwy) odmawiana o wschodzie słońca; nielogiczna zbitka „wieczorna Jutrznia” odnosi się prawdopodobnie do Nieszporów, analogicznej modlitwy o zachodzie słońca. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Vincente Ferrier — Wincenty Ferreriusz (1350–1419), hiszpański dominikanin, wędrowny kaznodzieja, święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

Słowo

Słowo

Słowo, Czyn

— Gdybyśmy chcieli i potrafili głębiej i wnikliwiej spoglądać na ludzkie błędy — odezwał się po chwili — wówczas nietrudno by nam było zauważyć, że przyczyny błędów bywają zazwyczaj groźniejsze od nich samych.

Torquemada podniósł powieki.

— Ojcie Blasco — powiedział z namysłem — chciałbym, abyś mi powiedział, jak starszemu i kochającemu bratu...

— Słucham cię, ojcie.

— Prawdziwy chrześcijanin nie może posiadać żadnych celów osobistych, które by-  
łyby sprzeczne z celami Kościoła.

— Tak, ojcie, to prawda.

— Wszystkie nasze czyny, myśli i pragnienia należą do Kościoła. Sądzę wszakże, iż właśnie dlatego chrześcijanin nie tylko może, lecz powinien pielęgnować w sobie pragnienia, które będąc jego osobistymi i służąc jego zbawieniu, służyłyby również celom Kościoła. Powiedz zatem, posiadasz życzenie osobiste, pragnienie szczególnie ci drogie, jedno umiłowanie, które wydaje ci się ukoronowaniem twoich ziemskich dążeń?

Padre de la Cuesta chwilę milczał.

— Jeśli mam być szczery, ojcie, jak ma spowiedzi...

— Bądź nim!

— Wyznam zatem, iż od wielu lat pragnę gorąco i niezmiennie jednej rzeczy. Pragnąłbym, i niech mi będzie wybaczona moja pycha, pragnąłbym jednak kiedyś w przyszłości, oczywiście po jak najdłuższym życiu Jego Eminencji kardynała de Mendoza, zasiąść na tronie arcybiskupów Toledo.

W celi zaległa cisza. Padre de la Cuesta, wciąż stojąc z pochyloną głową, na próżno oczekiwał odpowiedzi Torquemady. Czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor milczał.

Akurat wschodził księżyc i poblask łuny wstępującej na niebo wślizgiwał się do celi mglistą poświatą.

— Ojcie czcigodny — odezwał się cicho przeor — być może zgorszyło cię moje wyznanie. Istotnie może nazbyt wysoko sięgam swymi pragnieniami. Chciałbym jednak...

— Idź spać, ojcie — powiedział oschle Torquemada. — Sądzę, że po trudach dzisiejszego dnia snu ci potrzeba.

Padre de la Cuesta pobrał.

— Boże miłosierny, czyżby moje pragnienie było aż tak występne? Jeśli uważasz, że nie jestem godny równie wielkiego zaszczytu...

— Milcz! — poruszył się gwałtownie Torquemada. — Czy doprawdy jesteś tak ślepy i głuchy, iż nie zdajesz sobie sprawy, co odrzucasz, wybierając pozory chwały i blasku? Cóż jest twoim pragnieniem? Włożyć na głowę arcybiskupią infulę, mieć dwór, pałac, bogactwa, zasiadać w odświętnych szatach na tronie? Ty, dominikanin, tego najbardziej pragniesz? To jest twój cel umiłowany? Coś ze sobą zrobił, w jakie sieci się zaplątał? Myślałem przed chwilą, złudzony pozorami twego umysłu, że wyniosę cię do najwyższych godności walczącego Kościoła, mianując cię jednym z inkwizytorów Królestwa. A ty marzysz, żeby zostać arcybiskupem Toledo!

— Ojcie!

— Czy nie rozumiesz, że godność inkwizytora, kładąca na barki nie zaszczyty, lecz twarde obowiązki, znaczy stokroć więcej niż wszystkie trony biskupie? Więcej niż kardynalska purpura? Więcej nawet niż tiara papieża! Idź spać, biedny ojcie. Zawiodłem się na tobie.

Padre de la Cuesta osunął się na kolana.

— Ojcie czcigodny, dzięki ci, otworzyłeś mi oczy, widzę teraz, że istotnie pycha mnie oślepiła i ciężko zbłądziłem, ale na pamięć naszego wielkiego patrona, świętego Dominika, zaklinam cię, nie pogardzaj mną, wybacz tę chwilę słabości i zaćmienia.

— Nie! — krzyknął piskliwie Torquemada — nie wybaczę. Nie jesteś młodzienaszkiem, który wczoraj złożył śluby. Jesteś przeorem, kierownikiem kilkuset dusz. Nauczycielem młodych. Włosy ci siwieją. Od iluż lat żyjesz w klasztornych murach?

— Trzydzieści minęło.

— Trzydzieści lat! I tylko z obyczajów i z habitu pozostałeś dominikaninem.

— Nie, ojcie!

Religia

Władza



— Tak. Twój umysł i twoje serce nie stały się, niestety, nasze. Jesteś w tych murach obcym człowiekiem. To nie jest twoje miejsce.

— Wybacz, ojcze!

Padre Torquemada pogardliwie spojrział na klęczącego.

— Wstań! Nie, nie spodziewaj się przebaczenia. Zdradziłeś swoje powołanie, zdradziłeś ducha naszego stowarzyszenia.

— Ojcze, każdej pokucie się poddam, wyznacz choćby najcięższą.

— Pokutę? Do pokuty trzeba mieć prawo. Podeptałeś to prawo. Natomiast dla uspokojenia twych pragnień mogę ci na razie tyle przyrzec, iż przy najbliższej okazji polecę twoją osobę Ich Królewskim Mościom, aby zechcieli ci powierzyć wolne w tej chwili biskupstwo Avila. Myślę, że z czasem nie ominie cię i Toledo.

Padre de la Cuesta podniósł głowę. Twarz miał poszarzałą, oczy zapadnięte.

— Nie czyn tego, ojcze, błagam cię.

— Czemu? Spełnią się twoje pragnienia.

— Gdy widzę, co tracę...

— Trzeba było przedtem widzieć, miałeś dość czasu.

— Ojcze, rozumiem teraz wszystko. Pojmuję, jak musisz mną pogardzać i jak bardzo na tę pogardę zasłużyłem. Przebac mi jednak, nie odpędzaj.

Torquemada chwilę milczał, po czym odwrócił się plecami.

— Idź — powiedział oschłym, skrzypiącym głosem. — Chcę zostać sam.

Wiedział, że mimo znużenia nie zaśnie. W ostatnich latach odzwyczał się od snu, który będąc głębokim i spokojnym, udziela człowiekowi rzetelnego odpoczynku. Zasnął zazwyczaj porą bardzo późną, nieraz nad ranem dopiero, a częstokroć i całe noce, nieskończenie wówczas długie, spędzał na samotnym czuwaniu, rozmyśleniach i modlitwach. Dzisiaj jednak nie odczuwał w sobie nawet usposobienia do modlitwy.

Oliwna lampka dogasała, kruchy płomyk kołatał się w niej ostatnim oddechem. Natomiast księżyc wszedł już na niebo dość wysoko i jego światło chłodnym poblaskiem szkliło się w okiennym wykuszu.

Dreszcze wstrząsnęły Torquemadą. Szczelniej owinał się płaszczem, ukląkł na klęczniku i wsparłszy czoło o zziębnięte dłonie począł mówić *Pater Noster*<sup>19</sup>. Szybko przecież zdał sobie sprawę, że modli się tylko ustami. Nie odnajdywał w sobie nic z owego płomienia, który zawsze w nim obecny i żywy — w chwilach żarliwości i skupienia całego go od wewnątrz oświetlał, zapalał i porywał natchnionym ogniem. Teraz czuł się pusty i chłodny, bez myśli i uczuć.

Daleko w głębi nocy poczęła dzwonić sygnaturka siostr karmelitanek, szczególnie czysto i jasno brzmiąca wśród ciszy. „Boże mój!” — powiedział Torquemada prawie na głos. Chwilę klęczał, po czym nagłym ruchem, jakby zrzucał z ramion brzemień znużenia, podniósł się i podszedł do drzwi.

Jeden z domowników czuwających przy celi, ujrawszy czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora, zerwał się z kamiennej ławy, drugi spał z głową pochyloną na piersi, plecami wsparty o mur.

— Ty jesteś don Rodrigo de Castro? — spytał padre Torquemada.

— Tak, ojcze.

— Wiesz, którądy się idzie do kościoła?

— Wiem, ojcze.

— Wskaż mi zatem drogę. Poczekaj! Obudź wpierw swego towarzysza.

Don Rodrigo pochylił się nad śpiącym i szarpnął go za ramię.

— Lorenzo!

Tamten sennym i dziecinnym jeszcze ruchem odgarnął z czoła jasne włosy, lecz gdy otworzył oczy — natychmiast oprzytomniał i stanął na nogi.

— Czemu spałeś? — rzekł półgłosem padre Torquemada.

— Wybacz, czcigodny ojcze, znużenie mnie zmorzyło.

— Znużenie? Znużenie należy przezwyciężać, a nie ulegać mu.

<sup>19</sup> *Pater Noster* (łac.) — Ojcze nasz. [przypis edytorski]

— Wiem, ojcze.  
— Wiesz?  
— Uczono mnie tego od dziecka.  
— Nie znam cię jeszcze, mój synu. Musisz chyba od niedawna należeć do moich domowników.

— Tak, ojcze, to moja pierwsza służba.  
— Nazywałeś się?  
— Lorenzo de Montesa.  
— Gubernator Murcji, don Fernando, to twój krewny?  
— Ojciec. Mój starszy brat służy królowi, ojciec pragnął, abym ja służył Świętej Inkwizycji.

— Było to pragnienie tylko twego ojca?  
— Moje także.  
— I sądzisz, don Lorenzo, że dobrze zaczynasz służbę?  
— Uczono mnie, aby służyć ze wszystkich sił.  
— Prawdzie się służy nie według sił, lecz ponad nie.  
— O tak, ojcze!  
— Zamelduj zatem, mój synu, jutro z samego rana swemu dowódcy, że zasnąłeś na służbie.

— Tak, ojcze, uczynię to.  
— Poproś pana de Sigura, aby wyznaczył ci odpowiednią karę.  
— Tak, ojcze.  
— Jesteś bardzo młody, ucz się pokonywać słabość.

Don Lorenzo stał wyprostowany, z podniesioną głową i oczyma błyszczącymi żarliwym oddaniem.

— Tak, czcigodny ojcze, będę to czynić.  
— Chodźmy! — zwrócił się Torquemada do don Rodriga.

Wewnętrzne przejście do kościoła prowadziło przez klasztorny dziedziniec. Na dworze było pogodnie, chłodno, lecz bezwietrznie, i cisza uspiętego miasta rozpościerała się dokoła. Poblask pełni oświetlał tylko skrawek dziedzińca, natomiast w jego głębi trwała noc i tam wśród ciemności, ciemniejszy wszakże od nich, wznosił swoją ciężką, kamienną ścianę surowy masyw bocznej nawy San Domingo.

Don Rodrigo minął dziedziniec i szedłszy u jego końca po paru stopniach w dół, podniósł pochodnię, aby oświetlić niskie, głęboko w kościelnym murze ukryte drzwi.

— Wracaj, mój synu — powiedział padre Torquemada. — Trafę z powrotem sam.  
— Ojcze mój! — rzekł don Rodrigo.

Torquemada zatrzymał się.  
— Wybacz, czcigodny ojcze, niewłaściwą porę, gnębi mnie jedna rzecz. Ojcze, pan Manuel de Hojeda jest moim dawnym przyjacielem, jeszcze z dzieciństwa. Dziś spędziłem z nim wieczór.

— Sam?  
— Było kilku jego przyjaciół. Manuel wypił dużo wina i, wybacz, ojcze, mówił rzeczy obrażające Świętą Inkwizycję oraz ciebie, ojcze, osobiście.

Padre Torquemada milczał. Don Rodrigo stał poblady, z pochodnią wysoko wzniesioną.

— Mówił również, że pan de Santangel, w którego imieniu witał cię, cieszy się jak najlepszym zdrowiem. Poza tym obaj, jakkolwiek należą do starych hiszpańskich rodzin, utrzymują przyjazne stosunki z ludźmi pochodzenia żydowskiego...

— To wszystko?  
— Tak, ojcze.  
— Czy w sposób obrażający wiarę mówili i inni obecni?  
— Manuel mówił najwięcej.  
— A ty?  
Don Rodrigo pochylił głowę.  
— Zabierałeś głos?  
— Nie, milczałem.

Sluga

— Zbrakło ci odwagi, aby bronić wiary przed bluźniercą, czy też może chciałeś się dowiedzieć, jak daleko bluźnierstwo sięga?

— Nie wiem, milczałem. Co mam teraz uczynić, ojcze?

— Od jak dawna należysz do moich domowników?

— W październiku minie rok, ojcze.

— Znasz zarządzenia Świętej Inkwizycji?

— Tak, ojcze.

— A zatem?

Don Rodrigo milczał.

— Tak, ojcze — powiedział wreszcie ochryplym głosem — uczynię to.

Padre Torquemada położył dłoń na jego ramieniu.

— Wiem, co cię dręczy, mój synu. Myślisz, że zdradzasz przyjaciela.

— Ojcze, mój ojcze!

— Przeciwnie, przyczyniasz się do ratowania jego zabląkanej duszy. Czyż nie popełniłbyś zdrady wówczas, gdybyś chciał prawdę zataić i pozostawić grzesznika sam na sam z jego grzechami? Czyż nie jesteśmy po to, aby błędzącym pomagać? Pomożemy panu de Hojeda i panu de Santangel. Pomożemy dzięki tobie.

Nagły blask wdzięczności ogarnął udręczoną twarz don Rodriga.

— Ojcze, ciężki kamień zdjąłeś mi z serca. Czy swoje oświadczenie mam złożyć Trybunałowi podpisane?

Padre Torquemada mocniej oparł dłoń o jego ramię.

— Don Rodrigo, pomyśl, czy musiałbyś się podpisywać pod słowami: oddycham, chodzę, jem, śpię?

— Przecież to prawda.

— A twoje zeznanie czymże będzie, jeśli nie prawdą?

— O tak, mój ojcze! — zawołał don Rodrigo.

— Prawda musi zwyciężyć.

— I zwycięży — rzekł czcigodny ojciec. — Chwilę jeszcze, mój synu. Nie zapomnij zaznaczyć w swoim zeznaniu, że pan de Hojeda pochwalał zbrodnię dokonaną na osobie wielbnego Pedra d'Arbuez.

Don Rodrigo zawahał się.

— Ojcze czcigodny, o ile mnie pamięć nie myli, don Manuel nie mówił nic podobnego.

— Jesteś tego pewien? Czyż nie wspomniałeś, że zarówno pan de Hojeda, jak i jego dowódca utrzymują przyjacielskie stosunki z ludźmi pochodzenia żydowskiego?

— Tak, ojcze.

— A więc?

Don Rodrigo milczał.

— Jak długo trwała wasza rozmowa?

— Przeszło godzinę, ojcze.

— I mógłbyś przysiąc, że w ciągu tego czasu ani razu nie wspomniano o wypadkach w Saragossie? Nie możesz na to przysiąc? A zatem dopuszczasz możliwość, że o tej potwornej zbrodni była mowa? Przypomnij sobie, być może ze względów aż nadto zrozumiałych pan de Hojeda nie mówił o niej wprost, może się wyrażał w sposób aluzyjny, tym niemniej świadczący, że ów świętokradczy czyn pochwała?

— Ojcze czcigodny, być może zawodzi mnie pamięć, lecz doprawdy nie przypominam sobie...

Padre Torquemada spojrział na niego przenikliwie.

— Don Rodrigo, pamiętaj, że kiedy chodzi o obronę wiary, prawdziwemu chrześcijaninowi nie wolno się zatrzymywać w pół drogi. Czy mógłbyś z ręką na krzyżu i w obliczu Boga zaświadczyć, że pan Manuel de Hojeda nie żywi w swoim sercu występnej sympatii dla morderców wielbnego ojca d'Arbuez?

— Nie, ojcze — szepnął don Rodrigo — nie mógłbym tego uczynić.

— A mógłbyś przysiąc, jeszcze raz cię pytam, że z tą występłą sympatią pan de Hojeda jawnie się nie zdradził?

Kłamstwo

— Nie, ojcze. Pamięć, szczególnie w takich jak te okolicznościach, istotnie może być zawodna.

Torquemada znów położył mu dłoń na ramieniu.

— Słusznie — powiedział. — Idź więc, mój synu, i porozmawiaj ze swoją pamięcią. Niech będzie ona równie czysta jak twoje sumienie.

Wszedłszy do kościoła zamknął drzwi, mimo to bardzo wyraźnie słyszał oddalające się kroki don Rodriga. Skoro te ścichły wreszcie w głębi dziedzińca, poczuł się tak samotny, jakby zerwał ostatnią łączność ze światem.

Chłód w kościele był przenikliwszy niż w klasztorze, a ciemność, skuta przestrzenią i ciszą, sprawiała wrażenie zatopionej w głębokościach niewidocznych murów i wiązań. Wprawdzie daleko przed głównym ołtarzem i bliżej w bocznych kaplicach tliły się żółtawe światełka oliwnych lampek, jednak ich kruche poblaski nie tylko mroku nie rozświetlały, lecz zdawały się go pogłębiać. Przecież, kiedy podniósł wzrok ku górze, zdołał po chwili rozpoznać zarysy wysokich łuków sklepienia i wówczas, jak gdyby owe odległe kształty niosły świadectwo życia — poczęło zanikać w nim wrażenie zagubienia i samotności. Tego szukał i potrzebował: ogromu kamiennej przestrzeni, mroku i milczenia, które zrazu bezgłośnie — nagle, jakby ulegając sile wyższych praw, spełniać zaczęły swoje ostateczne powołanie, nieśmiało, potem i coraz gwałtowniej rozbrzmiewając głosami wzywającymi, niby wojenne surmy, do czuwania i walki.

Po chwili skierował się ku najbliższej bocznej kaplicy, lecz nie doszedłszy do niej przystanął, zewsząd nagle ogarnięty wołaniem, które cały ogrom ciemności zdawało się wypełniać i porywać ku górze. Oto Królestwo Boże obejmujące już po wszystkie strony ludzkość doskonale zgodną w uczynkach i pragnieniach! Oto doskonały porządek, cel nieugiętych myśli i nieustraszonego działania! Jakże jednak daleki jeszcze i trudny do osiągnięcia. Ile przeszkód, nim się go osiągnie, trzeba przezwyciężyć, jak wiele buntowniczych oporów przełamać i podeptać.

Wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć owych niewidzialnych kształtów przyszłości, i wówczas stała się nagle dokoła cisza. Wśród niej, martwej jak cień kamieni, rozlegał się odgłos ciężkich żołnierskich kroków: wzdłuż klasztornych murów przechodziły widocznie nocne strażę.

— Panie — rzekł Torquemada — nie pozwól, aby słabła w nas i przygasła nienawiść ku Twoim wrogom.

Powiedział to szeptem, przecież głos jego musiał dotrzeć do mnicha klęczącego u wejścia do kaplicy, ponieważ, nieruchomy dotychczas i, jak się zdawało, całkowicie oddany modlitwie, podniósł się naraz ruchem dość gwałtownym. Był niski i drobny, sprawiał wrażenie bardzo młodego.

Przez dłuższą chwilę padre Torquemada i tamten patrzyli na siebie w milczeniu. Na koniec czcigodny ojciec podszedł bliżej. Braciszek dominikanin był istotnie młody, nie więcej niż dwudziestoletni.

— Pokój z tobą, mój synu — rzekł Torquemada. — Przeszkodziłem ci w modlitwie? Wszak modliłeś się?

Młody stał z pochyloną głową.

— Chciałem się modlić — powiedział cichym, zmęczonym głosem.

— Słusznie czynisz, ponieważ czas nocny szczególnie sprzyja skupieniu. Niekiedy w taką porę, jak teraz, właśnie modlitwa, a nie sen, staje się prawdziwym odpoczynkiem. Wszystkie myśli można wówczas ofiarować Bogu.

Tamten podniósł głowę, twarz miał bladą i umęczoną, tylko ciemne, nadmiernie duże oczy płonęły w niej niespokojnym ogniem.

— Ojcze wielebny, jestem wprawdzie bardzo młody, lecz od dawna nie miałem odpoczynku, o jakim mówisz. Nie mogłem zasnąć, męczyły mnie ciężkie myśli. Sądziłem, że znajdę od nich wytchnienie w modlitwie. Ale nie znalazłem wytchnienia.

— Żle go może szukałeś.

— Nie wiem, ojcze. Wydaje mi się czasem, że nie modlitwy mi potrzeba, lecz głośniego mówienia o tym, co mnie dręczy i boli. Ojcze wielebny, jesteś tyle lat starszy ode mnie,

wiele musiałeś widzieć i przeżyć, powiedz, czy milczenie może zabić duszę człowieka?

Padre Torquemada milczał chwilę.

— Nie rozumiem cię, mój synu. Tylko uporczywe trwanie w śmiertelnym grzechu może zabić ludzką duszę.

— A milczenie, czyż nie bywa śmiertelnym grzechem? Ojcze, ogarnia mnie niekiedy lęk, że jeśli nie wypowiem tego, co mąci spokój mego sumienia i spędza sen z powiek, wówczas wszystko przemilczane umrze we mnie, jak oddech, który nie może zaczerpnąć powietrza, jak słowo, którego nie potrafi już udźwignąć martwiejący język. Ojcze mój, boję się, że mogę się stać kamieniem.

Torquemada wyciągnął dłoń.

— Podaj mi, synu, rękę.

Była zimna i sucha.

— Sądziś, ojcze, że mam gorączkę? Nie, ojcze, nie mam gorączki, jestem zdrowy.

— Widzę to, istotnie nie masz gorączki. Mówisz wszakże, bracie...

— Nazywają mnie bratem Diego.

— Mówisz wszakże, bracie Diego, w taki sposób, w jaki zwykli się zazwyczaj wypowiadać ludzie trawieni wielką gorączką albo dręczeni ciężkim grzechem obarczającym ich sumienia.

Fray Diego drgnął.

— O nie, ojcze! Ciężkie grzechy obarczają nie moje sumienie. Nie mnie przecież trzeba oskarżać o gwałt i przemoc, nie na mnie ciężą ludzkie krzywdy, lzy i cierpienia. Nikt mnie jeszcze nie przeklina i nie nienawidzi. Nie mam na sumieniu żadnej zbrodni ani nieprawości.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Padre Torquemada podciągnął płaszcz pod szyję.

— Bracie Diego, mówisz w sposób dość niejasny, wydaje mi się jednak, że przemawia przez ciebie wielka pycha.

Tamten poruszył się gwałtownie.

— O nie, ojcze, to nie pycha! Nie znasz mnie przecież. Nie znasz moich myśli.

— Tak sądziś?

— Nie wiem, ojcze. Być może je znasz, może wiesz, co się we mnie dzieje. Chciałem się modlić, nie wiedziałem, że nie jestem sam. Widzę cię po raz pierwszy, nie wiem, kim jesteś, lecz kiedy stoję przed tobą i prócz nas dwóch nie ma nikogo, wydaje mi się, jakbym cię znał od dawna, od pierwszej chwili, gdy zacząłem myśleć. Czemu tak patrzysz na mnie, ojcze? Sam powiedziałeś, że nie mam gorączki, jestem przytomny. Czy wiesz, ojcze, o co się chciałem modlić? Może i tego się domyślasz, ale pozwól mi to powiedzieć, ponieważ ty to zrozumiesz: masz twarz człowieka, który wszystko rozumie, może dlatego czuję się wobec ciebie tak, jakbym cię znał od dawna, od samego początku. Ojcze mój, ojcze, chciałem oto prosić Boga, aby wybaczył tym wszystkim, którzy mając w swoich rękach władzę zły z niej czynią użytek i nie dla dobra ludzkiego ją sprawują, lecz na straszliwe krzywdy i cierpienia. Chciałem mówić: Boże wielki i miłosierny, któryś jest w niebiesiach, miej litość nad gwałcicielami sprawiedliwości, wybacź świadomym kłamcom, zdradzieckim oskarżycielom i fałszywym sędziom, bądź miłości w tym, którzy w ślepym zapamiętaniu niszczą spokój ludzki i sięją wśród nich strach, obłudę i nienawiść, oszczędź oprawcom twej karzącej dłoni, miej zmiłowanie nad mordercami... Tak się chciałem modlić. Ale nie mogłem, ojcze, nie potrafiłem, nie chciałem! Słowa mi przez gardło nie przechodziły. Kiedy teraz je wymawiam, są oskarżeniem i przekleństwem, ale kiedy miały być modlitwą — każde z nich wydawało mi się cięższe od kamienia. Ojcze, to byłaby zła modlitwa!

Padre Torquemada stał nieruchomy.

— Czy możesz mi powiedzieć, bracie Diego — powiedział po chwili — kim są ludzie, za których chciałeś się modlić, a których obciążasz winami tak wielkimi w twoim mniemaniu?

Fray Diego obie zaciśnięte dłonie podniósł do piersi.

— Ojcze! — szarpnął habitem — ta suknia mnie pali, duszę się w niej.

— Bracie Diego!

— Pali mnie, ojcze, ponieważ jest hańbiona przez ludzi, którzy ją noszą.

— Bracie Diego, ja również noszę tę suknię.

— I nigdy się w niej nie dusisz? Powiedz, nigdy cię nie dręczy wstyd, że ludzie w tych samych habitach...

Torquemada wyciągnął spod płaszcza dłoń i stanowczym ruchem odsunął od siebie Diega.

— Milcz! Czy nie zdajesz sobie, nieszczęsny, sprawy, co mówisz? Czy wiesz, kim jestem?

Fray Diego półprzytomnie spojrział płonącymi oczyma na starego człowieka.

— Kim jesteś? Nie wiem. Wiem, że znam cię od dawna.

— Bracie Diego — rzekł tamten cicho, prawie łagodnie — jestem brat Tomas Torquemada.

Diego boleśnie się uśmiechnął.

— Dlaczego ze mnie szydzisz? Chcesz wypróbować moją odwagę? O nie, ojczu, nie ma we mnie strachu. Gdyby zamiast ciebie naprawdę stał tu przede mną sam ojciec Torquemada, też nie odwołałbym żadnego ze słów, które powiedziałem. Moja nienawiść jest silniejsza od strachu. Nie ma we mnie, ojczu, miejsca na strach.

— Bracie Diego, opamiętaj się — rzekł czcigodny ojciec niemal szeptem, lecz ze szczególnie mocnym akcentem — stoisz przed Wielkim Inkwizytorem.

Cisza się teraz stała. Fray Diego z rosnącym w oczach napięciem wpatrywał się w Torquemadę. W pewnej chwili podniósł rękę do czoła. Poczul pod palcami chłodny pot.

— Boże — szepnął.

Cofnął się krok w głąb kaplicy i w tym momencie zawadził nogą o świecznik, który stał z boku ołtarza. Twarz mu się skurczyła, usta zadrżały. Schylił się raptownie i uchwyciwszy ciężki czteroramienny świecznik zamierzył się nim na Torquemadę. Nie uderzył jednak. Stał z ramieniem wzniesionym ponad głowę, ciężko dysząc, z twarzą ściętą nienawiścią, lecz równocześnie obezwładniony spokojem i milczeniem starca, który ani się cofnął, ani nie uczynił najmniejszego gestu obrony. Biła wszakże z jego nieruchomej postaci siła tak skupiona i twarda, iż po chwili Diego przymknął powieki i chociaż ramię wciąż trzymał wymierzone do ciosu — naraz<sup>20</sup> świecznik wypadł mu z dłoni i z loskotem uderzywszy o kamienne stopnie ołtarza, począł się z nich staczać, aż zatrzymał się tuż u stóp Torquemady. Głuche echa krzyknęły w ciemnościach, zwłaszcza jedno szczególnie głośno dudniące toczyło się długo i bardzo wysoko, gdzieś pod samym sklepieniem kościoła, po czym nagle wszystko umilkło i cisza, jaka zapadła, była jeszcze głębsza od poprzedniej.

Diego otworzył oczy.

— Czemu nie wzywacie swoich straży, dostojny panie? — spytał wysokim i jasnym, bardzo młodzieńczym głosem. — Czyńcie, co zwykliście w podobnych okolicznościach czynić.

Padre Torquemada odwrócił się i rozsunawszy na piersiach płaszcz ukląkł przed ołtarzem.

— Mój synu — powiedział półgłosem — klękaj obok.

Diego dłuższą chwilę stał nieruchomy, po czym nagle się odwrócił porywczym ruchem ku Torquemadzie i ukląkł nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia. Kaganek oliwny świecący w głębi ołtarza rzucał migotliwy poblask na obu klęczących.

Czcigodny ojciec złożył dłonie do modlitwy.

— Powtarzaj, mój synu, za mną: „Ojczu Nasz, któryś jest w niebie...”

Diego podniósł wzrok ku górze, zbyt jednak ciemno było dokoła, aby mógł znaleźć dla oczu oparcie w podłużnych mantetach, które pasmami żółtawego płótna zwisały po obu stronach ołtarza, zawsze przypominając za dnia imiona oraz przewinienia ludzi napiętnowanych przez Święty Trybunał. Teraz tylko niewyraźny cień tych złowrogich płócien nikle się w głębi kaplicy zarysowywał.

— „Ojczu Nasz, któryś jest w niebie” — rzekł wreszcie głosem równie jasnym i dźwięcznym, jak uprzednio.

— „Święć się imię Twoje”.

— „Święć się imię Twoje”.

<sup>20</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

— „Przyjdź królestwo Twoje”.

Diego poczuł skurcz w gardle i pod powiekami gorące łzy.

— „Przyjdź królestwo Twoje” — powiedział cicho, aby nie zdradzić drżenia głosu.

— „Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi”.

Diego i to zdanie powtórzył, lecz jeszcze ciszej. Czuł, że przy następnym wersecie nie zapanuje nad ogarniającym go wzruszeniem i rozplacze się na głos. Lecz czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor nie modlił się dalej. Umilkł, skroni pochylił ku dłoniom, jak gdyby zapomniał o klęczącym obok.

Czuwająca przez całą noc sygnaturka siostr karmelitanek znów poczęła dźwięczeć w oddali. Padre Torquemada podniósł głowę.

— Amen — powiedział mocnym, skupionym głosem. — Bracie Diego!

— Panie?

— Wracaj, mój synu, do siebie. Świtać będzie niebawem, czeka cię, jak sądzę, niełatwy dzień.

— Oby był początkiem ostatniego! — zawołał Diego.

Na to rzekł Torquemada:

— Każdy człowiek jest panem i równocześnie sługą swego losu. Idź już *requiescere in pace*<sup>21</sup> w swojej celi, dopóki nie otrzymasz od przełożonych nowych poleceń.

Noc istotnie się kończyła i kiedy fray Diego przechodził klasztornym dziedzińcem — na niebie już rozjaśnionym od wschodu niebieskawą poświatą gwiazdy poczęły przygasać. Mglista szarość przedrana leżała w powietrzu i chłód tej ostatniej nocnej godziny był szczególnie przenikliwy.

W cieniu krużganka stał człowiek. Diego zatrzymał się, potem podszedł bliżej.

— To ty, Mateo?

— Ja — rzekł tamten. — Skąd wracasz? Byłeś w kościele?

— Tak.

— Boże wielki! Widziałeś go?

— O kim myślisz? Widziałem diabła.

— Diego!

— Zwyciężył mnie tym razem. Modliłem się z nim.

Fray Mateo chwycił go za rękę.

— Diego, mój mały Diego. Obudziłem się w nocy, poszedłem do twojej celi, była pusta. Potem na korytarzu zagroził mi drogę młody rycerz, jeden z jego domowników. Spytał mnie: „Gdzie idziecie, wielebny bracie?” Powiedziałem: „Do kościoła”. Dotknął wtedy mego ramienia i powiedział: „Jest noc, wielebny bracie, nie zakłócajcie naszemu czcigodnemu ojcu chwil samotnego rozmyślenia”. Tutaj więc czekałem na ciebie, Diego. Bardzo długo czekałem.

Diego podniósł głowę.

— Po co?

— Bałem się o ciebie. Dlaczego chcesz siebie zgubić? Co to znaczy, że modliłeś się z nim razem?

— Nic — rzekł Diego patrząc w mrok pod nisko sklepionymi arkadami.

— Nic?

— Chciałem go zabić, a potem powtarzałem za nim: „Ojcze Nasz”.

Fray Mateo drgnął.

— Diego, coś ze sobą zrobił? Czemu dobrowolnie wydajesz się w ręce nieprzyjaciela?

Diego wzruszył ramionami.

— Nie wiem. O cóż właściwie chodzi? I tak nie ma ocalenia. Można oszaleć albo dobrowolnie siebie zniszczyć. To wszystko.

— Bóg jest jeszcze!

Diego cofnął rękę.

<sup>21</sup>*requiescere in pace* (łac.) — odpoczywać w pokoju. [przypis edytorski]

— Żegnaj, Mateo. Jestem zmęczony, chcę spać, *requiescere in pace*<sup>22</sup>, jak mi to zalecił czcigodny ojciec.

— Diego!

Zatrzymał się u wejścia do klasztoru.

— Czego chcesz?

— Kochałem cię za piękno twego sumienia jak nikogo na świecie.

— Czemu mówisz: kochałem?

— Diego, cokolwiek się stanie, błagam cię, zachowaj swoje sumienie.

— Cóż to znaczy?

— Co?

— Sumienie.

— Bądź sobą.

— Tylko tyle?

— To jest wszystko.

— Wszystko? Wszystko zawsze znaczy najmniej. Jestem sobą, czyniąc jedno i jestem również sobą, czyniąc rzecz całkiem przeciwną. Czy strach też ma sumienie?

— Diego, prawda nawet fałszowana i gnębiona nie przestaje być prawdą.

— Ach, tak! — powiedział Diego. — Bądź zdrow.

Zasnął natychmiast i tak mocno, że gdy się pod wieczór ocknął wśród szarej godziny — nie mógł się zorientować, czy jest to wciąż jeszcze półmrok świtu, czy już pora zmierzchu. Przez chwilę leżał bez ruchu, odurzony tępym znużeniem, i mim się zdążył z tego zamroczenia rozbudzić, usnął z powrotem, prawie natychmiast odnajdując wśród głębokiego snu niesłychanie ostrą i nagłą świadomość, że nie śpi i nie jest w celi sam. Nie otworzył jednak oczu. Wiedział, że to, co się ma stać — stać się musi, wołał wszakże tę nieuniknioną, choć jeszcze niewiadomą konieczność odsunąć o parę chwil obronnego skupienia. „Nie wolno mi się bać” — pomyślał, lecz równocześnie czuł, że strach jak gdyby czekał tylko na nazwanie i wywołanie, przyspiesza mu bicie serca i na skronie i na wargi kładzie przenikliwy chłód. „Nie, nie, tylko nie to!” — powiedział na głos i otworzył oczy.

Pośrodku celi stał padre Torquemada. Było ciemno, lecz noc za oknem wydawała się nieomal jasna, jak gdyby objęta poświatą ogromnego pożaru. „Skąd to światło?” — pomyślał. Nigdy jeszcze nie widział jasności równie zimnej i martwej.

Podniósł się.

— Przyszędłeś, panie? — powiedział po prostu.

Istotnie, jeśli odczuwał w tej chwili zdziwienie, to jedynie z tego względu, że żadnego zdziwienia nie doznał.

— Jak widzisz — rzekł Torquemada. — Przecież ci powiedziałem, że każdy człowiek jest równocześnie panem i sługą swego losu.

— Mnie to, panie, mówiłeś? — zdziwił się Diego. — Kiedy?

— Już nie pamiętasz?

Diego podniósł dłoń do czoła.

— Tak, coś sobie przypominam. I dlatego przyszedłeś? Nie rozumiem cię, panie. Nie jesteś mną, mój los nie jest twoim.

— Tak sądzisz, mój synu? Czyżbyś się zatem pomylił mówiąc, że znasz mnie bardzo dawno?

— Nie, panie, nie pomyliłem się. Istotnie znam cię, od kiedy sięgam pamięcią.

— A więc?

— Ale nie jesteś mną. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, tak, teraz to sobie przypominam, właśnie dlatego wydało mi się, że znam cię od dawna, ponieważ nie byłeś mną. Ty jesteś moim przeciwieństwem i zaprzeczeniem.

— Powiedzmy. Czy jednak mnie, którego nazywasz swoim przeciwieństwem i zaprzeczeniem, nie znasz dokładniej i lepiej niż samego siebie? Milczysz? Więc się zgadzasz?

<sup>22</sup>*requiescere in pace* (łac.) — odpocząć w pokoju. [przypis edytorski]



— O nie, panie! Milczenie nie zawsze wyraża zgodę. Zamilkłem, ponieważ nie mogłem zaprzeczyć, iż znam cię dobrze.

— A siebie? Czy siebie lepiej znasz niż mnie? Wiesz o sobie wszystko?

— Któż wie o sobie wszystko?

— Więc może o mnie wiesz wszystko?

Diego się zawahał.

— Tak, panie — powiedział wreszcie twardo. — O tobie wiem wszystko.

I od razu zdał sobie sprawę, że to wyznanie rozminęło się z celem, przeszło obok starego człowieka.

— Gdzież więc granica pomiędzy tobą i mną? — spytał Torquemada. — Czy nie jest to granica pozorów stworzona przez ciebie?

— A więc jednak przeze mnie!

Torquemada zdawał się nie dostrzec tryumfalnego akcentu w głosie Diega.

— Jeśli mnie niebędącego tobą lepiej znasz niż siebie, to może nie jesteś sobą w takim sensie, jak sądzisz. Może twojej naturze właściwe jest to przede wszystkim, co znasz dokładnie i wszechstronnie, nie zaś to, co sam oceniasz jako niejasne i mgliste. Cóż według ciebie znaczy być sobą?

— Być — odpowiedział Diego bez wahania.

— A może: wiedzieć? Czy możesz istnieć dzięki nieświadomości, świadomość pozabawiając istnienia? Co o twoim przeznaczeniu decyduje: istnienie czy świadomość?

— Wiem — zawołał Diego — chcesz zabić moją świadomość.

Torquemada uśmiechnął się wyrozumiale.

— Przeciwnie.

— Chcesz, żeby była twoją.

— Przysuń mi krzesło, mój synu — powiedział Torquemada.

Diego uczynił to, po czym stanął przed siedzącym nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia.

— Chcesz mi zabrać moją świadomość — powtórzył.

Torquemada ruchem człowieka marzącego podciągnął swój ciemny płaszcz pod szyję. Milczał zamyślony.

— Bóg, mój synu — powiedział wreszcie — szczególną miłością obdarza żarliwe dusze. Nieczęsto dana jest ludziom żarliwość. Jeśli jednak jesteś tak bardzo bogato obdarowany, tym więcej, mój synu, musisz się zastanawiać, czemu ma służyć twoja żarliwość.

— A więc jest ona moją!

— Królestwu Bożemu służy czy królestwu szatana?

— Inaczej, ojcze, niż ty widzisz Królestwo Boże.

Torquemada podniósł głowę i spojrzenie jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu spoczęło na Diegu.

— Mylisz się, ponieważ nawet najśmielszą myślą nie potrafisz ogarnąć Królestwa Bożego. Nie widzisz go i nie rozumiesz. Zastanawiałeś się kiedy, czy twoja żarliwość jest wyrazem woli boskiej, czy też przeciw niej się obraca? Zwycięstwo prawdy przyśpiesza czy przeciw zasadom prawdy się buntuje? Nasza to, chrześcijańska żarliwość czy też obca nam z ducha, heretycka i wroga? Z żarliwością, mój synu, dzieje się tak, jak z każdą ludzką rzeczą, iż nie istniejąc sama w sobie, w oderwaniu od skłóconych spraw świata, może swoją gwałtowną siłę obrócić zarówno ku dobremu, jak i ku złemu, raz prawdzie służąc, a kiedy indziej przeciw niej kierując swoje działanie. Jesteś chrześcijaninem?

— Ojcze czcigodny, gdybym nie był chrześcijaninem, nie bolałyby mnie tak bardzo winy moich braci.

— Jesteś synem Kościoła?

— Ojcze, gdyby Kościół mógł głośno i swobodnie przemówić ustami sprawiedliwych, wówczas poszedłby na świat, na wszystkie chrześcijańskie kraje, jeden straszliwy krzyk rozpaczy, nie! co mówię? nie rozpaczy... krzyk gniewu wstrząsnąłby ziemią. Boże mój, coście uczynili z nauką Chrystusa? Jaką prawdę można znaleźć tam, gdzie jej wyznawanie jest rezultatem kłamstwa, gwałtu i przymusu? Chrystus mówił, że miłość wszystko może, góry potrafi przenieść...

Wiedza, Kondycja ludzka

Religia

— Góry, góry! — głos Torquemady starczo zaskrzypiał. — Powierzchnie, mój synu, pojmujesz naukę Chrystusa. Nie zgłębiłeś jeszcze całej jej prawdy. Cóż wiesz o drogach, którymi należy prowadzić ludzkość ku zbawieniu? Co wiesz o powolnym poprzez wieki budowaniu Królestwa Bożego? Ty ze swoim doświadczeniem niklejszym od garsteczki piasku. Co widziałeś, co przeżyłeś?

— Wiele, ojcze, widziałem. Widziałem najpotworniejsze gwałty zadawane ludziom, widziałem upodlenie człowieka...

— A coż wiesz o wcielaniu nauki Chrystusa w życie? Co ci jest wiadomym z zawitych procesów przekształcania słów w czyny? Znasz kształty i rozmiary zła? Nawet się nie domyślasz konieczności towarzyszących rządzeniu. A człowiek, natura człowieka! Cóż ty wiesz o człowieku?

— Jestem człowiekiem.

— Jakim?

— Człowiekiem.

— Kształty ludzkie posiadają również heretycy i i poganie. Czy uznajesz, że nauka, którą głosi Kościół, jest jedyną prawdą i nie ma prócz niej i poza nią prawdy innej?

— Ojcze, nie jestem odszczepieńcem.

— A prawda nie jest dobrem?

— Jest, ojcze. Największym dobrem.

— Jeśli zatem prawda znaczy dobro, czym jest wypaczanie jej? Nie jest to zło? A zła, czy nie należy łamać i niszczyć? Mamy pozwolić, aby wzrastało w siły? Nie, mój synu, nie jest rzeczą wystarczającą wyznawać prawdę. Prawdy trzeba bronić przed wszelkimi jawnymi i zamaskowanymi zakusami zła. Prawdę trzeba umacniać codziennie, o każdej godzinie.

„Skąd to światło?” — znów pomyślał Diego. I powiedział z akcentem rozterki:

— Ojcze, a jeśli bronimy prawdy środkami niegodnymi, to czy nie musi się stać tak, że zło poczyna się lęgnąć w samym sercu prawdy?

— Co nazywasz środkami niegodnymi? Stosowanie siły? Miecz sprawiedliwości? Pomyśl, czymże by się stała prawda, gdyby nie była zdolna do stosowania siły i jeśliby jej ramię nie było uzbrojone prawami oraz bezwzględny przestrzeganiem praw? Nie, nic nie wiesz o naturze człowieka!

— Wiem, że ludzie się męczą i cierpią ponad miarę swoich win, a często bez win.

— Ja także to wiem.

— Ty?

— Święta Inkwizycja, mój synu, dostatecznie mocno wspiera się o ziemię i dobrze wie, co się na niej dzieje. Lecz któż się ośmielił twierdzić, że Królestwo Boże można zbudować bez cierpień, krzywd i ofiar? Człowiek, mój synu, jest istotą ułomną, słabą i kruchą. Łatwo ulega pokusom zła i częstokroć nawet świadomości dobra nie potrafi przeciwstawić tym swoim naturalnym skłonnościom. Niestety! Żadnemu ludzkiemu uczuciu nie podobna całkowicie zawierzyć ani żadnym myślom nie można w ostateczny sposób zaufać. Najlepsze uczucia mogą, jak dym obracany podmuchami wiatru, zmieniać kierunek. Myśl człowieka może dziś klęczeć, jutro kasać.

— Ojcze, czy zło istotnie jest tak potężne i powszechne?

— Niebezpieczeństwo zła, mój synu, wcale nie polega na jego potędze. Dzięki istnieniu Kościoła zło jest u samych swych korzeni osłabione i rozdarte sprzecznościami. Wzajemnie zbrodnie się pożerają, a występki i grzechy, jakkolwiek walczą ze sobą, wspólnie gniją, herezje, odrywając się od prawdy, targane są tymi samymi konwulsjami. Nie, zło nie jest potężne ani niezwalczone! To człowiek jest słaby i dzięki jego ułomnościom, skazom i nieświadomości zło wciąż się może odnawiać, przybierając kształty tym bardziej gwałtowne, choć zamaskowane, im prawda mocniej się poczyna ugruntowywać. Czegoż dokonałby człowiek zdany na własne siły? Synu mój, Królestwo Boże nie dotarło jeszcze do świadomości ludzi. Lecz czy znaczy to, że ludzkość zbawienia nie osiągnie? Nie! Trzeba zbawiać ludzi wbrew ich woli. Trzeba przez wiele lat budować świadomość człowieka, niszcząc w niej to, co złe i nadejście Państwa Bożego opóźniające. Ludźmi trzeba kierować i rządzić, pojmujesz, mój synu? Rządź! I to jest nasze zadanie. Na nas, na Świętej Inkwizycji spoczywa ten ogromny trud. My jesteśmy tymi, których Bóg po-

stawiał w pierwszych szeregach swoich wojsk. My jesteśmy mózgiem i mieczem prawdy, ponieważ myśl i czyn muszą stanowić jedność.

— Ludzie cierpią — powiedział cicho Diego.

— Wiem. Ale przecież nie kto inny tylko my chcemy ich uwolnić od cierpienia. Chcemy, żeby nie było żadnych cierpień i sprzeczności.

— Kiedy?

— Pytasz się: kiedy? Za sto, za dwieście, może za tysiąc lat. Mądrości musi towarzyszyć cierpliwość. Wiele czasu upłynie, zanim ludzkość, już uwolniona od przymusu koniecznego teraz, dobrowolnie i świadomie, myśląc tymi samymi zasadami i dążąc do jednego: zbawienia — powszechnie przyjmie światło wiecznej prawdy, aby się sama stać wiecznością.

Diego ukrył twarz w dłoniach.

— Ojciec mój, w głowie mi się mąci, czuję się tak, jakbyś mnie strącił w głąb strasznej przepaści.

— Walczymy w jej mrokach, aby wyprowadzić ludzkość ku pełnemu światłu.

— Cóż ci mogę, ojciec wielbny, powiedzieć? Kocham ludzi, teraz, dzisiaj.

— *Hic et nunc*<sup>23</sup>? To dobrze. Z miłości rodzi się litość, ta zaś nieuchronnie zmienia się w pogardę.

Diego poruszył się gwałtownie.

— Nie!

— Gdybyś nie kochał ludzi dzisiaj, nie mógłbyś pogardzać nimi jutro.

— Nie chcę ludźmi pogardzać.

— A potrafisz kochać istoty ułomne i szpetne? Skażone występkami, wiarołomne i zdradzieckie?

— Mogę je rozumieć. Mogę im pomagać.

— Dobru, nie złu trzeba pomagać. A coż tu miłość? Czy nie mąci ona równowagi duszy? Czy nie przyćmiewa jasności rozpoznania i nie podszeptuje przebaczenia tam, gdzie surowa bezwzględność jest konieczna? Miłości musi nieuchronnie towarzyszyć jej cień — słabość.

— Nie! — zawołał Diego. — Miłość jest siłą.

— Miłość jest słabością. Ta zaś nie tylko nie umacnia w nas nienawiści do zła, lecz poprzez litość, która jest niczym innym jak uznaniem ludzkiej nędzy oraz zgodą na nią, musi nas na koniec zmusić do ukorzenia się przed złem. Nie, mój synu, miłość nie mieści się w naturze walczącej prawdy. Miłując prawdę, nie możesz ani kochać, ani litować się nad tym, co się prawdzie przeciwstawia. Wobec prawdy nie ma ludzi nie podejrzanych. Wszyscy są podejrzani. W każdym człowieku może się zalęgnąć zło, zło zaś w porę nie przychwycione — pogłębia się, przeżera duszę i krok jeden stawowi granicę, poza którą człowiek błędzący staje się już niebezpiecznym wrogiem, nosicielem zbrodniczych poglądów heretyckich. Każdy grzech, mój synu, jest u swych korzeni grzechem przeciw prawdzie. I coż miłość wobec tego ogromu skażenia? Coż dusza ogarnięta miłością, lecz ogłuszona bólem cierpienia i udręczona litością?

— A coż pogarda? — szepnął Diego.

— Pogarda dla słabości i występków, ona jedna pozwala sądzić i wyrokować, ona jedna uczy, jak słabość przełamywać i występkę niszczyć.

— Chcicie zatem wygnać ze świata miłość? Boże, zabraliście już ludziom wszystko: godność, odwagę, czystość uczuć, wolność...

— Dlaczego mówisz: wy? Przecież chcesz tego samego co my, tylko jeszcze nas w sobie samym nie odnalazłeś.

— Nienawidzicie miłości.

— Mylisz się, wciąż się mylisz. Jeśli kto kocha prawdę i całe życie jej podporządkowuje, wówczas miłość musi pozostać dla niego uczuciem wszechogarniającym i niejako nadrzędnym w swojej nieziemskiej doskonałości.

— Nieziemskiej?

— Ponieważ miłość tryumfująca wznosi się ponad nami jak gwiazda, jak światło wśród nocy, i ona, chroniąc od zbłądzenia na bezdrożach, wskazuje właściwe drogi. Któż

<sup>23</sup>*hic et nunc* (łac.) — tu i teraz. [przypis edytorski]

jednak śpieszący do celu niesie w dłoniach gwiazdę lub żywy ogień pochodni? Ich żar oślepiłby nas i w popiół obrócił. Tylko odbłask miłości nam służy.

— Odblask?

— Tym zaś jest pogarda. Miłość, istotnie, pozwala widzieć i ogarnia wielkie cele przeznaczenia, jednak nie przez nią, lecz poprzez surową pogardę możemy owe wielkie cele kształtować.

— Ojczy, gubię się, biegnąc za twymi myślami. Mówisz: pogarda. Cóż więc jest pogarda?

— Ziemskie ramię miłości. I pomyśl teraz, jak mocnym i nieugiętym, żarliwym i odważnym musi być to ramię, jeśli w taki sam sposób ma przeorywać ludzkie dusze i umysły, w jaki pługi przeorywają ziemię, aby spulchnić glebę, powyrywać chwasty i przygotować grunt pod zasiew i przyszłe plony.

— Wciąż mówisz o przyszłości. Królestwo Boże!

— Dla niego żyjemy.

— Człowiek ma tylko jedno życie.

— Jedno ziemskie i jedno wieczne. Czyż jednak z tej niepowtarzalności nie wynika nakaz, aby swoim życiem, myślami i uczynkami nie rzucił człowiek cienia na tych, którzy po nim nadejdą? Czemu jedno chore istnienie ma zatruwać inne, i grzechy i występki jednego człowieka mają się kłaść ciężarem na barki innych?

Diego milczał. Wydało mu się, że bardzo daleko, w głębi niezmiennie martwej i zimnej poświaty roztaczającej się wśród nocy, biją dzwony. Chwilę nadsluchiwał. Była cisza.

Spytał półgłosem:

— Ojczy, dlaczego mówisz mi to wszystko? Czyż nie zostałem już osądzony?

Torquemada podniósł się z krzesła i wyprostował.

— Tak, to prawda — powiedział prawie młodzieńczym głosem. — Wyrok na ciebie zapadł.

Diego pochylał głowę. „Nie wolno mi się bać” — pomyślał.

— Ty sam na siebie wydałeś wyrok — rzekł Torquemada.

— Ja?

— Czyż nie jesteś odważny i żarliwy?

— Ja?

— Ty! I dlatego jesteś nasz. Nic nie mów, potem będziesz mówić. Nigdy nie zrezygnujemy z tego, co nasze. Sądzisz, iż nie wiem, że dokoła Świętych Trybunałów gromadzą się, a i do nich samych przenikają, jednostki małe i nędzne, tchórzliwe, karłowatą mściwością i żądzą zysku przeżarte?

— Wiesz i godzisz się?

— Niestety, musimy na razie i z ich usług korzystać, więcej: musimy nawet tolerować ich małość, dopóki służą naszym celom. A myślisz może, mój synu, iż nie dostrzegam, że nie tyle prawdziwe zrozumienie naszego dzieła i naszych celów, ile czerpanie materialnych korzyści dla umocnienia świeckiej władzy usposabia tak bardzo życzliwie dla Świętej Inkwizycji najwyższe dostojne osoby Królestwa? Tak, rzeczywiście dajemy im ogromne majątki i pieniądze, ale jakkolwiek rośnie i rosnąć będzie potęga władzy świeckiej — nasza jest ponad nią i kiedy całkowicie oładnie ludzkimi umysłami, nikt, żadna siła nie zdoła się jej przeciwstawić. Musimy być konieczni i jedyni, rozumiesz, mój synu? Abyśmy się jednak takimi stali, trzon naszej władzy muszą trzymać w swych dłoniach ludzie nieugięci jak stal, żarliwi i czujni, odważni i bezgranicznie oddani. Ty będziesz jednym z nich. Ty nie zawiedziesz, ja to wiem, dlatego przyszedłem do ciebie, jak do samego siebie. Należysz do rzadkich ludzi, którzy rodzą się z dążeniem do prawdy. Potrzeba jej żyje w tobie jak krew, jak oddech, jak bicie serca. Myliłeś się, błędziłeś, ale nosząc w sobie potrzebę prawdy, jakże możesz od niej uciec? Chcesz w przepaść skoczyć?

— Prawda, o której mówisz, ojczy, jest także jak przepaść. Czemu tak jest?

Torquemada milczał.

— Ojczy!

— Synu mój, możesz wielu zawyłych spraw świata jeszcze nie pojmować, lecz jedno powinieneś wiedzieć z całą, na jaką cię stać, pewnością, z większą nawet, niż cię stać, ponieważ całkowite posłuszeństwo musi wypełniać wszystkie myśli i uczynki człowieka

Sąd, Pokusa

Pieniądz, Władza

walczącego o prawdę. Chcąc służyć wierze, trzeba się jej obowiązującym zasadom podporządkowywać bez wahań, pytań i wątpliwości, bez cienia ubocznych myśli, z nieograniczonym zaufaniem do zwierzchnictwa.

— Nawet nie rozumiejąc?

— Kiedy prawda wypełni tak wszechstronnie twoje myśli, pragnienia i uczynki, iż ty i ona staniecie się jednością, wtedy zrozumiesz wiele.

— Znowu się odwołujesz, ojcze, do przyszłości.

— A czymże jest dzisiaj bez przyszłości? Od ciebie wszakże zależy, aby ją przybliżyć.

— I wówczas?

— Czas, który idzie, mój synu, jest jak góra. Wstępujesz po niej ku szczytowi lub staczasz się w dół.

— A szczyt kiedy się osiąga?

— Nie wiem — rzekł po długim milczeniu Torquemada. — Tęgo człowiek nie może wiedzieć. To wie tylko Bóg.

Diego ukrył twarz w dłoniach. Policzki i skronie płonęły mu podskórnym gorącem, lecz ręce miał zimne. W sobie też czuł przejmujący chłód.

— Czego więc ode mnie żądasz, ojcze? Co mam uczynić?

— Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy człowiekiem odważnym i tchórzliwym?

Diego cofnął się o krok.

— Wiesz?

— Wiem — powiedział cicho. — Ale wiem nie swoimi myślami. To są już twoje myśli, ojcze.

— Znowu wracasz do pozornego rozgraniczenia: ty i ja, a to są tylko myśli wyrażające prawdę. Jeszcze się lękasz samego siebie? Czyż nie pomyślałeś, że człowiek odważny przyjmuje posłuszeństwo dobrowolnie, natomiast tchórz słucha ze strachu?

„Nie wolno mi się bać” — pomyślał Diego.

— Nie powinno tak być, żeby ludzie musieli się bać — powiedział.

— Przeciwnie — zawołał Torquemada — człowiek jest nędzny i jego strach jest nie tylko potrzebny, lecz konieczny. Chcąc piętnować zło, musimy wciąż je ujawniać i obnażać, aby ukazane w całej swej brzydocie budziło wstręt, a przede wszystkim strach. Oto prawda władzy! Gdyby pewnego dnia zabrakło winnych, musielibyśmy ich stworzyć, ponieważ są nam potrzebni, aby nieustannie, o każdej godzinie występki były publicznie poniżane i karane. Prawda, dopóki ostatecznie nie zwycięży i nie zatryumfuje, nie może istnieć bez swego przeciwieństwa — fałszu. Konieczność naszej władzy, mój synu, od tego przede wszystkim zależy, aby strach, wyjąwszy garstkę posłusznych z dobrej woli, stał się powszechnym, tak wypełniając wszystkie dziedziny życia, wszystkie najtajniejsze jego szczeliny, by nikt już sobie nie mógł wyobrazić istnienia bez lęku. Żona niech nie ufa mężowi, rodzice niech się lękają własnych dzieci, narzeczony oblubienicy, przełożeni podwładnych, a wszyscy wszechwiedzącej i wszędzie obecnej, każącej sprawiedliwości Świętej Inkwizycji. Musimy mieć dużo praw i dużo strachu, rozumiesz, mój synu?

Zimny poblask łuny począł nagle wypełniać celę i wśród tej nieziemskiej poświaty czarna sylwetka czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora zdawała się rosnąć i ogromnieć. Diego, porażony martwym światłem, przysłonił oczy.

— Ojcze! — krzyknął z rozpaczą — królestwo strachu czyż nie jest królestwem szatana?

I w tym momencie, słysząc echo własnego głosu, począł spadać w przepaść.

Obudził się zlany potem i z sercem pulsującym w krtani. W celi był półmrok zmierzchu. W głębi palił się oliwny kaganek. Natomiast nie opodał łoża, z rękoma wsuniętymi w rękawy habitu, stał padre de la Cuesta.

Fray Diego pośpiesznie się zerwał i chociaż ledwie się trzymał na nogach, skłonił się przyzwyczajenia głowę i dłonie skrzyżował na piersiach.

— Pokój z tobą, bracie Diego — rzekł półgłosem wielebny ojciec. — Przynoszę ci wielką nowinę.

Daleko odezwała się sygnaturka od siostr karmelitanek. Diego nie śmiał się wyprostować.

Czas

Kara

— Sądzę — podniósł cokolwiek głos padre de la Cuesta — że się nawet nie domyślasz, mój synu, jak ogromne spotyka cię szczęście.

— Ojczy — szepnął Diego.

Tamten chwilę milczał.

— Jako twemu przełożonemu dostojny i czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor — powiedział wreszcie — polecił mi powiadomić cię, mój synu, że zostałeś powołany na stanowisko osobistego sekretarza Wielkiego Inkwizytora.

Diego stał nieruchomy. O niczym nie myślał. Ciągle czuł zimny pot na skroniach i serce w gardle.

— Czeka cię, mój synu, wielka przyszłość — rzekł padre de la Cuesta.

Fray Diego dopiero teraz odważył się spojrzeć. Przeor stał o parę kroków przed nim. Uśmiechał się dobrotliwie, lecz w jego oczach była nienawiść.

Nagły spokój ogarnął Diega. „Boże — pomyślał — jak nędzną istotą jest człowiek!”

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zapisuje autor starej kroniki, że Wielki Inkwizytor, padre Tomas Torquemada, opuściwszy Villa-Réal, udał się do Toledo<sup>24</sup>, stamtąd zaś, w otoczeniu zwiększonej ilości domowników Świętego Officium, podążył na teren królestwa Aragonii<sup>25</sup>, do Saragossy<sup>26</sup>. Bawił<sup>27</sup> tam tydzień, kierując śledztwem mającym na celu wykrycie spisku, którego ofiarą padł wielebny Pedro d'Arbuez<sup>28</sup>, i działawszy w tym kierunku więcej niż ktokolwiek inny — pośpieszył najkrótszą drogą do Valladolid<sup>29</sup>, ponieważ, jak się spodziewano, obie Ich Królewskie Moście, król Ferdynand<sup>30</sup> oraz pobożna królowa Izabela<sup>31</sup>, miały akurat pod koniec miesiąca września opuścić wojenny obóz pod Malagą<sup>32</sup> i powrócić do stolicy.

Fray Diego, objąwszy zaszczytnie obowiązki sekretarza Wielkiego Inkwizytora, przebywał odtąd blisko osoby swego przełożonego, uczestnicząc we wszystkich naradach, nawet najbardziej sekretnych, jakie padre Torquemada przeprowadzał w ścisłym gronie ze swymi doradcami prawnymi, doktorami don Juanem Gutierrez de Chabes i don Tristaniem de Medina. Tak więc, znalazłszy się w samym sercu doniosłych spraw państwowych i religijnych, fray Diego szybko się począł orientować, iż tylko dzięki dotychczasowemu odosobnieniu oraz nieświadomości mógł się być dopatrywać w działaniach Świętej Inkwizycji tryumfu bezprawia. Nie potrzebował też wielu dni, aby zrozumieć, iż nie w środku złowrogięgo chaosu się znalazł, lecz przeciwnie: nie obeznany z wieloma zawilościami tego świata, stanął teraz wobec zrębów nowych praw, wznoszonych przez Świętą Inkwizycję rozważnie i dalekowzrocznie, a przede wszystkim w oparciu o wnikliwą znajomość skazonych ludzkich natur oraz troskę o ich zbawienie.

Pozostając w roli milczącego świadka, a zobowiązany z polecenia czcigodnego ojca tylko do zapisywania najistotniejszych sądów i orzeczeń wypowiedzianych na tajnych naradach, przysłuchiwał się z jak największą uwagą wszystkiemu, co mówiono, i wciąż poszukując śladów okrutnych gwałtów, nie zetknął się przecież z żadną decyzją, która by prawu przeczyła lub z przewrotnych zamiarów wynikała. Lecz nowy stanowiąc porządek, skąd się rodziły ustawy kształtujące ów ład? Rozważając to podstawowe w swoim rozumieniu zagadnienie, fray Diego doszedł do przekonania, że każda z powoływanych

Prawo

<sup>24</sup>Toledo — miasto w Hiszpanii, stolica prowincji o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>królestwo Aragonii — państwo, którego zjednoczenie z królestwem Kastylii dało początek Hiszpanii; istniało w latach 1035–1707, od 1469 w unii z Kastylią. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Saragossa — miasto w pld.-wsch. Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Arbuez, Pedro (1440/42–1485) — inkwizytor, zabity przez przeciwników politycznych pochodzenia żydowskiego, uznany za świętego męczennika. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Valladolid — miasto w Hiszpanii, obecnie stolica wspólnoty autonomicznej Kastylii i León. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Ferdynand II Aragoński (1452–1516) — król Sycylii i Aragonii; jego małżeństwo z królową Izabelą I Kastylijską (1469) i wspólne rządy dały początek unii Kastylii z Aragonią (1479), w której efekcie powstało nowożytne Królestwo Hiszpanii; w 1492 zdobył Grenadę, stolicę ostatniego państwa muzułmańskiego na Płw. Pirenejskim; w latach 1501–1503 podbił Neapol. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Izabela I (1451–1504) — określana przydomkiem Katolicka bądź Kastylijska, królowa Kastylii i Leonu; jej małżeństwo z Ferdynandem II Aragońskim dało początek unii personalnej, która doprowadziła do zjednoczenia Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Malaga — miasto w Hiszpanii, położone nad Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

do działania ustaw, bez względu na to, czy z tradycji się wywodziła, czy też w duchu nowych pojęć została ustanowiona — wszystkie logicznie, a przede wszystkim według potrzeb, wynikały ze zdarzeń i w uporczywym dążeniu do uporządkowania ich i oceny w imię wyższych racji boskich tak szybko i zdecydowanie ulegały przeistoczeniu w formułę litery, iż z nieomylną celnością potrafiły wyprzedzać to, z czego były wyrosły, wywołując wrażenie, że wbrew swym źródłom stawały się same w sobie istnieniem absolutnym i z tych względów nadrzędnym wobec rzeczywistości, choć równocześnie związanym nierozzerwalnie z oceną jej natury.

Przejrzystość oraz powszechny charakter tych praw, porządkujących szczegóły istnienia w jednolitą i wszystko wyjaśniającą całość, budziły w młodym braciszku podziw i szacunek, natomiast skutki ich oddziaływania wciąż się mu wydawały sprzeczne z odruchami jego sumienia. Czuł się zatem w tym czasie szczególnie samotny i z samym sobą skłócony. Usiłował nie powracać wspomnieniami do przeszłości, a o dniach, które nadejdą, również starał się nie myśleć.

Przecież czas w miejscu się nie zatrzymywał i każda godzina wbrew temu, czego pragnął, była po brzegi pełna rzeczy minionych oraz tych, które w swych różnorodnych, lecz raczej mglistych kształtach zaludniały przyszłość. Zresztą z racji swych obowiązków więcej miał teraz do czynienia z czystym mechanizmem praw niż z ich działaniem wśród ludzi. Jedyne też chwile równowagi i wewnętrznego spokoju osiągał wówczas, gdy rozmyślając nad złożoną strukturą kierowniczej władzy, odpowiedzialnej wobec Boga i ludzkości, pozostawał sam na sam z jednoznacznym sensem liter prawa.

Pierwsze wiadomości o wydarzeniach, które po śmierci wielbego Pedra d'Arbuez miały miejsce w Saragossie, dotarły na dwór królewski jeszcze przed przybyciem Wielkiego Inkwizytora do Valladolid<sup>33</sup>. Wiadomym zatem było, iż spisek, który zrazu, na skutek nie dość dokładnych, a nawet sprzecznych w szczegółach relacji, mógł się wydawać dziełem kilku nazbyt gwałtownych i awanturnicznych ludzi, protestujących w ten sposób przeciw konfiskatom majątków przez Świętą Inkwizycję, w istocie okazał się ogromnym sprzysiężeniem, zagrażającym bezpieczeństwu Królestwa i Kościoła. Jeden z zabójców wielbego d'Arbuez, młody Vidal d'Uranso, sądząc, że w ten sposób uratuje życie (później koźmi był wleczony po ulicach Saragossy, poćwiartowany, a strzępy jego ciała rzucone do Ebra<sup>34</sup>) — wymienił wiele znakomitych osób pozostających w zażyłych stosunkach z jego panem, don Juanem de la Abadia. Ten, jak głosiła wieść, targnął się podobno w więzieniu na swoje życie. Kilku innym, oskarżonym o współudział w spisku, wśród nich sławnemu rycerzowi de Santa Cruz, udało się zbiec do Tuluzy. Były to wszakże wypadki nieliczne.

Straże Świętego Officium działały szybko i sprawnie. Pozbawiano wolności nie tylko tych, którzy byli podejrzani o współudział w spisku, lecz również i tych, którzy uciekinierom udzielali pomocy. Osadzono także w więzieniach rodziny obwinionych, te zwłaszcza, których ojcowie lub synowie zdołali uciec. Teraz dopiero stało się publicznie wiadomym, jak ogromna ilość znakomitych panów królestwa Aragonii, cieszących się powszechnym poważaniem oraz piastujących wysokie godności, skażona była żydowskim pochodzeniem. Prawdziwe oblicze tych ludzi zostało ujawnione w całej podstępnej i chytrze się maskującej obłudzie. Nowe zatem w tej wyjątkowej sytuacji należało ustanowić prawa i istotnie padre Torquemada, doceniając konieczność zapobieżenia rozszerzaniu się zła, bezzwłocznie opracował dla potrzeb Świętych Trybunałów dekret, który dzięki kilkudziesięciu precyzyjnie sformułowanym paragrafom pozwalał nieomylnie wytropić ludzi maskujących swoje prawdziwe przekonania i po kryjomu wyznających wiarę żydowską. Zresztą cień zbrodniczych knozań padł również i na osoby, których *limpieza de sangre*<sup>35</sup>, czyli świadectwo czystości krwi, wolne było od jakichkolwiek domieszek żydowskich lub maurytańskich<sup>36</sup>. Podstępny wróg głębiej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, zdołał zatruci ludzkie umysły i dusze. Jak zaś wysoko potrafiła się wedrzeć zbrodnia, świadczył

<sup>33</sup>Valladolid — miasto w Hiszpanii, obecnie stolica wspólnoty autonomicznej Kastylia i León. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Ebro — najdłuższa rzeka Hiszpanii, przepływająca przez północną część tego kraju. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*limpieza de sangre* (hiszp.) — czystość krwi. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>maurytański — właśc. mauretański, odnoszący się do Maurów, które to słowo w średniowieczu oznaczało muzułmanów zamieszkujących Półwysep Iberyjski i północną Afrykę. [przypis edytorski]

fakt, uznany wprawdzie przez wielu za mało wiarygodny, jednak w świetle dowodów zgromadzonych przez Święty Trybunał — prawdziwy, ten mianowicie, iż w spisek aragoński wmieszany się być okazał między innymi jeden z członków rodziny królewskiej, siostrzeniec króla Ferdynanda<sup>37</sup>, młody książę Nawarry, don Jaime, syn królowej Eleonory<sup>38</sup>.

A przecież, mimo tak zatrważającego obrazu moralnych spustoszeń, niewyciężone światło katolickiej wiary mocniej niż kiedykolwiek wznosiło się w tych dniach ponad brudnymi odmętami heretyckich występków. Bracia dominikanie, przemawiając do wiernych z ambon kościołów, przekonywająco pouczali lud, iż w mordzie dokonanym na osobie świętobliwego sługi Kościoła łatwo rozpoznać mądre działanie boskiej opatrności, gdyby bowiem owego zbrodniczego czynu nie popełniono, wrogowie wiary nie zostaliby ujawnieni i nadal korzystając z wolności oraz z należnych im przywilejów — ileż niecnym występkom mogliby bezkarnie poczynić, jak wiele zła zasiać w ludzkich duszach! Słowa psalmu wypisane na godłach i na purpurowych chorągwiach Świętej Inkwizycji: „*Exurge Domine et iudica causam Tuam*”<sup>39</sup> nabierały w związku z ostatnimi wydarzeniami szczególnego blasku. Istotnie, powstał Bóg, aby walczyć o swoją sprawę.

W kilku miastach Królestwa, w Sewilli, w Jaén i w Cuenca, posiadających już od paru lat własne trybunały inkwizycyjne, przyspieszono uroczyste autodafé<sup>40</sup> i procesje skazańców, przyodzianych w hańbiące spiczaste kapelusze, w grube żółte koszule, z obrożami z żarnowca<sup>41</sup> na szyjach, martwe zielone świece trzymających w dłoniach, wyruszyły przy biciu dzwonów na place straceń, zwane *quamadero*, wcześniej, niż to było zapowiadane. Płonęły stosy, żelazne łańcuchy dusiły heretyków, którzy się w ostatniej chwili pokajali, setki pomniejszych grzeszników zsyłano na galery, lecz opróżnione więzienia szybko się zapelniały nowymi winowajcami. Chcąc dopomóc błądzącym, ogłaszano w kościołach dni świąteczne i po odczytaniu aktów wiary wzywano w ten czas wszystkich wiernych, aby będąc winnymi lub o winie drugich cokolwiek wiedząc, sami w ciągu najbliższych dni trzydziestu oskarżyli siebie przed odpowiednim Trybunałem. Jedni czynili to, drudzy padali ofiarą pierwszych i już nikt nie był pewien życia, czci i mienia. Nawet po umarłych sięgało karzące ramię Świętych Trybunałów i jeśli na skutek czyjegoś oskarżenia imię zmarłego popadło w niesławę — wygrzebywano ciało z poświęconej ziemi i palono je *in effigie*<sup>42</sup> na stosie, rodzinę nieboszczyka pozbawiając majątku oraz wszelkich godności i przywilejów. Tak zatem wzrastała wśród ludzi pobożność i szerzył się jej wierny cień — strach.

Tymczasem stolica Królestwa przygotowywała się do uroczystego powitania Wielkiego Inkwizytora. Oczekiwano, że zgodnie z utartym zwyczajem umyślny goniec zawczasu uprzedzi władze miejskie oraz duchowne o zbliżaniu się orszaku czcigodnego ojca. Stało się jednak tym razem inaczej, padre Torquemada przybył do Valladolid nie zapowiedziany, co najmniej o dzień wcześniej, niż się go spodziewano.

Wjechał do miasta ze swymi domownikami późną nocą, po czym nie dowódcy familiantów, don Carlosowi de Sigura, lecz bratu Diego zleciwszy w cztery oczy szereg zarządzeń, zamknął się w klasztornej celi przy kościele Santa Maria la Antigua, gdzie na czas pobytu w stolicy zwykł się był zatrzymywać.

Zaciszny klasztor zmienił się w ciągu paru godzin w wojenny obóz. Na dziedzińcu, pod nocnym niebem, rozbili biwaki familianci Świętego Officium. Zbrojne straże stanęły przy murach. Nikomu nie wolno było klasztoru opuszczać i wstęp na jego teren też został surowo wzbroniony, z tej zaś części starożytnego budynku, w której zamieszkał padre Torquemada, pośpiesznie wyprowadzili się braciszkwowie i cele ich zajęli wyżsi rangą

<sup>37</sup>Ferdynand II Aragoński (1452–1516) — król Sycylii i Aragonii; jego małżeństwo z królową Izabelą I Kastylijską (1469) i wspólne rządy dały początek unii Kastylii z Aragonią (1479), w której efekcie powstało nowożytne Królestwo Hiszpanii; w 1492 zdobył Grenadę, stolicę ostatniego państwa muzułmańskiego na Płw. Pirenej-skim; w latach 1501–1503 podbił Neapol. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Eleonora I (1425–1479) — regentka, a pod koniec życia królowa Nawarry. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Exurge Domine et iudica causam Tuam* (łac.) — Powstań panie i osądź swoją sprawę. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*autodafé* — akt publicznej pokuty osądzonego przez Świętą Inkwizycję; w znaczeniu potocznym: egzekucja przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*żarnowiec* — rodzaj roślin z rodziny bobowatych. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*in effigie* (łac.) — w postaci obrazu; rodzaj symbolicznej kary wykonywanej zamiast kary rzeczywistej, polegającej np. na spaleniu bądź powieszeniu na szubienicy wizerunku osoby karanej. [przypis edytorski]



familianci. Miejskim dostojnikom oraz specjalnym wysłannikom Dworu, którzy jeszcze nocną porą poczuli przybywać do Santa Maria la Antigua, wyjaśniano przy klasztornej bramie, że Wielki Inkwizytor spędza czas na zamkniętych rekolekcjach i zarówno dzisiaj, jak jutro nikogo przyjąć nie może. Istotnie, czcigodny ojciec przez parę dni nie opuszczał celi, a jedynymi osobami, które miały do niego dostęp, byli fray Diego oraz młody don Rodrigo de Castro, w tym właśnie czasie i w okolicznościach szczególnie dramatycznych mianowany kapitanem domowników Wielkiego Inkwizytora.

Fray Diego nie kładł się tej pierwszej nocy. Z gorliwością nowicjusza, a także ze sprzecznymi uczuciami człowieka osiągającego wyższy stopień wtajemniczenia, przekazywał zlecone sobie zarządzenia, osobiście dopilnowując, czy są dokładnie wykonywane, i jakkolwiek zmęczony był śmiertelnie — senność oraz znużenie odeszły go całkowicie, kiedy w trakcie sprawowania tych odpowiedzialnych czynności nagle się zorientował, iż wszyscy dokoła, począwszy od sędziwego przeora klasztoru, odnoszą się do niego z jak największym szacunkiem, a również i z odcieniem lęku. Zrozumiał wówczas, że w tę noc, wolno zdążającą ku świtowi, stawał się wbrew wszelkim o sobie wyobrażeniom żywym uosobieniem woli najpotężniejszego człowieka Królestwa. Było to dla niego przeżycie nowe i oszałamiające. Czuł własne ciało, słyszał swój głos, dostrzegał swoje ruchy, lecz w pewnych chwilach, gdy obchodząc strażę przystawał w ciemnościach pod niebem ogromnym i nieruchomym wśród chłodnych gwiazd, zacierała się w nim naraz świadomość samego siebie i wówczas poczynało go wypełniać przejmujące aż do bólu uczucie, iż skupia w swym sercu odbłask siły przerastającej go wprawdzie, lecz godnej bezgranicznego umiłowania i poświęceń.

Niósł właśnie w sobie ze skupieniem to wzniosłe olśnienie, gdy pośród pustego mroku małego dziedzińca wewnątrz klasztoru natknął się na kapitana domowników Świętego Officium, pana don Carlosa de Sigura. Noc jeszcze była i cisza. Spod niskich krużganków dobiegały kroki wartowników.

— Czemu nie śpicie, panie? — spytał z akcentem łagodnego wyrzutu. — Świtać będzie niebawem. Wystarczy, że ja czuwam.

Pan de Sigura milczał. Był chudy i kościsty, o ciemnej twarzy pooranej twardymi bruzdami. Sława wojennych czynów oraz chrześcijańskich cnót opromieniała od wielu lat imię tego człowieka.

— Powiniście wypocząć, panie — powiedział fray Diego. — O ile się mogłem przekonać, wykonaliście bardzo dokładnie wszystkie polecenia czcigodnego ojca. Możecie spokojnie spać. Każę was zbudzić, gdyby zaszła potrzeba.

Stary rycerz, wciąż milcząc, przyglądał się chwilę bratu Diego, po czym odwrócił się i wolno, cokolwiek pochylony w ramionach, odszedł w głąb dziedzińca.

Wczesnym rankiem, prawie o świcie, fray Diego odebrał z rąk klasztornej służki posiłek przeznaczony dla czcigodnego ojca i osobiście zaniósł go do celi. Padre Torquemada leżał na wąskim łożu, w głębi celi. Nie spał, oczy miał otwarte. Fray Diego postawił na stole cynowy talerz z chlebem i serem, obok kubek oraz dwa dzbany, jeden z wodą, drugi napełniony winem.

— Przyniosłem wam posiłek, czcigodny ojcie — powiedział półgłosem.

Po czym, sądząc, że czcigodny ojciec pragnie zostać sam, chciał się wycofać po cichu z celi. Wtedy tamten powiedział:

— Zostań!

Fray Diego pochylił głowę.

— Tak, ojcie.

— Przybliź się.

Uczył to.

— Co mówią?

— Kto, ojcie?

— Ludzie.

— Przyjeżdżał marszałek dworu Ich Królewskich Mości...

Torquemada niecierpliwie poruszył ręką.

— Nie o to pytam. Co ludzie mówią? Moi domownicy, bracia.  
— Wykonują twoje rozkazy, ojcze.  
Torquemada podniósł się i oparł na łokciu. Twarz miał bardzo zmęczoną, szarą, jak po nie przespanej nocy, lecz w spojrzeniu jego ciemnych, głęboko osadzonych oczu czuwało napięte skupienie.  
— Tylko tyle?  
— Ojcze wielebny — powiedział fray Diego, odnajdując jasność swego młodzieńczego głosu — osobiście sprawdzałem, aby wszystkie twoje rozkazy zostały wykonane. Staralem się być wszędzie.  
— Nikt z moich domowników, żaden z tutejszych braci nie wypowiadał niewłaściwych uwag?  
— Ojcze czcigodny, stale przebywałem nie opodal czuwających, często nawet przez nich nie zauważony, nie słyszałem jednak, aby z czyichkolwiek ust padły słowa niegodne chrześcijanina.  
— Buntownicze zamysły — powiedział Torquemada w taki sposób, jakby pomyślał na głos — nie zawsze potrzebują słów.  
Fray Diego zawahał się, po czym śmiało spojrzął Wielkiemu Inkwizytorowi w oczy.  
— Widzę, że masz mi coś więcej do zakomunikowania — rzekł Torquemada.  
— Tak, ojcze.  
— Mów zatem.  
— Wybacz, ojcze, może się mylę. Istotnie nie słyszałem słów zasługujących na potępienie, przemilczałbym jednak zbyt wiele, gdybym nie wyznał, iż według mego rozeznania istnieje, niestety, w twoim otoczeniu człowiek, który budzi we mnie niepokój.  
Torquemada milczał, lecz fray Diego bez zmieszania wytrzymał jego spojrzenie.  
— Czy wiesz, mój synu — powiedział wreszcie czcigodny ojciec — iż czujność wymaga, aby każde oskarżenie zostało sprawdzone?  
— Wiem, ojcze.  
— Żadne nie może być zlekceważone i ktokolwiek kieruje przeciw drugiemu człowiekowi choćby cień zarzutu, musi sobie zdawać sprawę, iż jeszcze winy nie udowadniając, stwarza przecież prawdopodobieństwo jej istnienia.  
— Wiem o tym, ojcze.  
— Przemyślałeś swoje oskarżenie?  
— Tak, ojcze, przemyślałem je bardzo dokładnie.  
— A zatem?  
— Myślę o kapitanie twoich domowników, ojcze.  
Torquemada nie wydawał się zdziwiony, pobłażliwie się tylko uśmiechnął.  
— Wysoko sięgasz oskarżeniem, mój synu. Pan de Sigura cieszy się sławą nieskazitelnego chrześcijanina i rycerza.  
— Wiem, ojcze. Wydaje mi się wszakże, że jest równocześnie człowiekiem nadto zamykającym się w swych myślach.  
— I to wszystko, co masz mu do zarzucenia?  
Fray Diego milczał. Wówczas Torquemada wstał i położył dłoń na jego ramieniu.  
— Człowiek jest istotą myślącą, mój synu.  
— Tak, ojcze. Toteż nie czynię panu don Carlosowi zarzutu, że myśli, natomiast zaufaniem lękałbym się go obdarzać.  
— Jednak?  
— Sprawia wrażenie, jakby swoje myśli chciał tylko dla siebie zachować.  
„Boże — pomyślał równocześnie — znasz moje intencje, wiesz, że to, co czynię, nie czynię z urażonej miłości własnej”.  
— Czym cię obraził pan de Sigura? — spytał Torquemada.  
Rumieniec pociemnił twarz Diega.  
— Czym mnie obraził, ojcze? O, ojcze, nawet okazując mi milczącą pogardę, jakżeż mógłby mnie pan de Sigura obrazić, jeśli byłem z twego rozkazu kimś więcej niż samym sobą?  
Padre Torquemada nic nie odpowiedział. Podeszedł do okna i wsunął dłonie w rękawy habitu.

— Powinniście się posilić, czcigodny ojcze — powiedział cicho Diego. — Nie jedliście nic od wczorajszego południa.

„Boże — myślał Torquemada — czyż wolno mi zapomnieć, iż nie mam prawa uczynić nic takiego, co by czyste intencje tego chłopca mogło podać w wątpliwość? Czy ponad utwierdzenie młodej wiary istnieje coś ważniejszego? A w obliczu zła, które wszędzie może powstać, czy nie lepiej narazić się na pomyłkę wobec jednego człowieka niż na krótkowzroczne przeoczenie możliwości istnienia zła? Jakże zresztą może istnieć wina bez oskarżyciela? Tylko poprzez prawdę, która jest jedyna, możemy rozpoznać zaprzeczenie prawdy. Kto zatem stwarza winę? Oskarżający? Jeśli on, to czemu należy bardziej zawierzyć: oskarżeniu czy faktom, które bez oskarżenia nie mogą jeszcze posiadać znamion błędu?”

— Mój synu — powiedział.

— Tak, ojcze.

— Myślę, iż zrozumiałeś, co chciałem powiedzieć mówiąc, że każde oskarżenie wymaga sprawdzenia?

— Tak, ojcze.

— Idź więc i poszukaj pana don Carlosa. Każ go zbudzić, jeśli śpi. Powiedz, że chcę go zobaczyć.

Fray Diego uczynił ruch, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie rzekłszy nic, wyszedł z celi.

Dzień się rozjaśniał powoli, niskie chmury zalegające niebo przedłużały ciemność nocy. W głębi mroku biły poranne dzwony miejskich kościołów. Tu, pomiędzy murami Santa Maria la Antigua, trwała cisza.

Padre Torquemada stał przy oknie zamyślony, na koniec odwrócił się i podszedł do stołu. Nie sięgnął jednak po jedzenie. Podniósł dłoń, aby uczynić nad stołem znak krzyża, po czym wyciągnął spod habitu szkaplerz<sup>43</sup>, otworzył go i to, co w nim było, wyspał do dzbanka z winem.

Gdy niebawem pan de Sigura, poprzedzony przez brata Diega, wszedł do celi — czcigodny ojciec klęczał przy łóżku pogrążony w modlitwie. Stary rycerz przeżegnał się krótkim, żołnierskim ruchem i usunąwszy się pod ścianę czekał w milczeniu, aż Wielki Inkwizytor skończy modły. Po chwili padre Torquemada podniósł się. Fray Diego, bardzo blady, skierował ku niemu pytające spojrzenie.

— Zostań — powiedział czcigodny ojciec.

Po czym zwrócił się do pana don Carlosa.

— Pokój z tobą, szlachetny kapitanie.

Ten z szacunkiem skłonił głowę.

— I z tobą, czcigodny ojcze. Brat Diego powiedział, że chcieliście mnie zobaczyć. Czy macie dla mnie jakieś rozkazy?

— Żadnych. Raczej twojego doświadczenia i rady potrzebuję.

Bliżej okna przysunął ciężki fotel i tak usiadł, żeby twarz mieć w świetle.

— Rozmyślałem ostatnio nad wieloma sprawami — zaczął cicho, w skupionym zamysleniu, jakby mówił do samego siebie. — Myślałem również i o tym, co powiedzieliście mi przed kilkoma dniami, jeszcze w Saragossie.

Pooraną ciemnymi bruzdami twarz pana de Sigura rozjaśnił blask prawie młodzieńczej żarliwości.

— Pamiętam, czcigodny ojcze. I nadal utrzymuję, że powinniście pozwolić, aby większą niż dotychczas przykładano troskę o bezpieczeństwo waszej osoby. Wrogowie...

— Tak mnie nienawidzą?

— Ojciec czcigodny, nienawiść wrogów...

— Wiem, masz słusność. Istotnie, dopóki prawda nie zwycięży, możemy jej siłę mierzyć nienawiścią naszych wrogów.

— Jakżeż zatem mają cię wrogowie nie nienawidzić? Twoje życie, czcigodny ojcze...

— Słusznie. Nie sądz, mój synu, iż nie wiem, że z racji moich obowiązków właśnie na mnie spoczywa szczególny nakaz, abym wszystkie siły swego umysłu i ciała poświęcił

<sup>43</sup>szkaplerz — wierzchnia część habitu mnisiego (płat materiału zakrywający piersi, ramiona i plecy, z otworem na głowę pośrodku); tu w drugim znaczeniu medaliku z Matką Boską, zastępującego szkaplerz sukienki. [przypis edytorski]

budowie fundamentów pod dzieło Świętej Inkwizycji. Boże Wszechmogący, trzeba niestety powiedzieć, dzieło tak jeszcze w świecie chrześcijańskim nie umocnione, iż śmiało i bez obawy posądzenia nas o pychę możemy twierdzić, że my tutaj, w naszym Królestwie, stanowimy wzór jedyny i największej doniosłości, przekazując wszystkim innym katolickim narodom naukę naszych doświadczeń, jak ustanawiać porządek na ziemi oraz jakimi sposobami należy niszczyć opór wrogów.

— Niech Bóg czuwa nad naszym dziełem — powiedział wzruszonym głosem pan de Sigura.

Padre Torquemada podniósł obie dłonie.

— O to samo i ja się modłę. Dlatego, mój synu, chętnie się przychyliam do twoich uwag. Istotnie, nie wolno mi zaniedbać żadnych środków zapewniających bezpieczeństwo.

— Ojciec czcigodny, możesz zawsze liczyć na mnie i na moich żołnierzy. Pozwól mi jednak, ojciec, powiedzieć, miałbym spokojniejsze sumienie i mój honor rycerski byłby mocniej ugruntowany, gdybym wszelkie zarządzenia, szczególnie te, które odbiegają od ustalonego dotychczas porządku, otrzymywał z twoich, ojciec, ust bezpośrednio. Wybacz, ojciec, że o tym mówię. Nie mam powodów przypuszczać, aby obecny tu brat Diego nie przekazał mi wiernie twoich zaleceń. Przyznaję jednak, iż zdumiony ich surowością pomyślałem: „Boże wielki, jeśli tu, w miejscu poświęconym obecnością Boga, nie ma dla ciebie bezpieczeństwa, to gdzie ono jest?”

— Nigdzie! — powiedział twardo Torquemada. — Wielebny ojciec d'Arbuez nie zginął w miejscu poświęconym obecnością Boga?

Stary rycerz pochylił głowę.

— Jestem tylko żołnierzem i niekiedy trudno mi ogarnąć rozmiary podstępów. Kiedy jesteś, ojciec, wśród swoich domowników i ja czuwać nie opodał, wtedy mam pewność, że jesteś bezpieczny.

— Myślisz, że i pomiędzy nas nie potrafi się wślizgnąć wróg? Są tacy, których nie zwalczysz przy pomocy miecza. Spójrz choćby na ten posiłek. Któż może wiedzieć, czy wróg nie ukrywa się w nim właśnie?

Pan de Sigura pobałdł. Podniósł rękę do czoła i zmęczonym ruchem przesunął po nim dłonią. Spytał cicho:

— Przypuszczasz więc, czcigodny ojciec?

Na to odpowiedział Torquemada:

— Tylko wtedy w należyty sposób zabezpieczymy się przed wrogiem, jeśli podejrzeniami wyprzedzić będziemy jego działanie. Wszystko jest możliwe. A zatem, abyśmy sobie nie mieli nic do wyrzucenia, niech odtąd nasze posiłki stale kontroluje człowiek przez ciebie oczywiście wyznaczony, pobożny, a nade wszystko rozumiejący, co w tej sprawie znaczy milczenie.

— Nie sądzisz, ojciec, że ten obowiązek do mnie powinien należeć?

— Nie, mój synu — odparł Torquemada. — Zbyt blisko stoisz mojej osoby, abyś się miał narażać choćby na cień niebezpieczeństwa. Wystarczy, jeśli uczynisz to raz jeden, dzisiaj. I niech to będzie uznane tylko za akt symboliczny wynikający z twojej godności.

— Ojciec mój! — powiedział pan de Sigura z akcentem rozterki.

Padre Torquemada podniósł powieki, jego oczy pełne były troski i znużonego smutku.

— Spowiadałem się dzisiejszej nocy i jeszcze nie zdążyłem przystąpić do Pańskiego Stołu.

Czcigodny ojciec podniósł dłoń i uczynił nad panem don Carlosem znak krzyża.

— Rozgrzeszam cię więc, mój synu, ponieważ to, co chcesz uczynić, czynisz z prawdziwej wiary i dla jej umocnienia.

— Niech Bóg zachowa cię dla nas przez długie lata, mój ojciec — powiedział pan de Sigura.

Po czym podszedł do stołu i ruchem człowieka nie przywiązującego wagi do jedzenia sięgnął po chleb i ser, do kubka zaś nalał wina. Wypił je z tym samym nieuwważnym pośpiechem, odstawił puchar i wówczas, gdy sięgał po chleb — pobałdł, dreszcz nim wstrząsnął, poderwał więc rozwarłe, lecz już sztywniejące palce do gardła i równocześnie z krzykiem, który uwiązał mu w porażonej krtani, zachwiał się, raz jeszcze, nieporadnie coś bełkocąc, usiłował się podźwignąć, lecz w tej samej sekundzie, z oczyma uderzonymi ślepotą, zwałił się swym wysokim ciałem na stół, ten się gwałtownie pod jego ciężarem

Jedzenie, Trucizna

przechylił i wtedy stało się, że wśród brzęku i klekotu spadających naczyń pan de Sigura upadł na ziemię, twarzą do kamiennej posadzki.

— Boże! — krzyknął z mrocznego kąta celi fray Diego.

Nastąpiła cisza. Po chwili padre Torquemada powiedział:

— Mój synu.

Fray Diego, skulony pod ścianą, przysłonił dłońmi twarz.

— Mój synu — powtórzył czcigodny ojciec — istotnie stała się rzecz straszna, ale ten człowiek stoi już przed najwyższym sądem i tylko jeden Bóg zna w tej chwili odpowiedź na pytanie: zbrodniarz to czy nieszczęsna ofiara zbrodni? Prośmy Boga, abyśmy i my tę prawdę poznali.

Fray Diego, drżący, z twarzą poszarzałą, przypadł do kolan Wielkiego Inkwizytora.

— Ojcze mój, błagam cię, pozwól mi wrócić do mego klasztoru. Przyznaję, urażona miłość własna skłoniła mnie do potępienia tego człowieka, lecz skąd mogłem wiedzieć, że moje oskarżenie aż tak daleko sięga? Za wysoko mnie, ojcze, wyniosłeś. Przeraza mnie nędza ludzkiej natury. Pozwól mi być sobą, ojcze. Jestem małym człowiekiem, który tylko w ciszy i w spokoju potrafi służyć Bogu.

Padre Torquemada położył dłoń na jego głowie.

— Cóż jest ciszą i spokojem?

— Nie wiem, ojcze. Wiem tylko, że przeraza mnie ogrom straszliwego zła.

— I sądzisz, że można uciec od tego, co się już poznało?

— Ojcze, ty najlepiej wiesz, że to, co zdążyłem poznać i zrozumieć, jest tylko drobną cząstką pełnej prawdy.

— Jej się tak lękasz?

— Za wysoko chcesz mnie, ojcze, poprowadzić.

— Prawdy o naturze ludzkiej lękasz się?

— Ojcze mój!

— Istotnie strach przed tą prawdą tobą kieruje? Obawa przed pełnym ogarnięciem i zrozumieniem ludzkich występków?

Fray Diego podniósł udręczoną twarz.

— Masz słuszność, ojcze. Mojej nienawiści i mojej pogardy przede wszystkim się boję.

— Nieprawda!

— Tak, mój ojcze.

— Kłamiesz albo tchórzliwie chcesz oszukać samego siebie. Nie, nie pogardy i nienawiści się boisz, lecz miłości.

— Miłości?

— Czymże jest pogarda i nienawiść zła? Czyż nie są obie zbrojnymi ramionami miłości dobra?

— Ojcze mój, przecież nie źródło, lecz rzeka, która czerpie z niego swoje siły, bywa straszna i groźna.

— Znów się mylisz. I jak naiwnie! Rzeki istotnie bywają groźne i wiele mogą wyrządzić spustoszeń, jednak nie dzięki swym źródłom, lecz dlatego, że ich wody zasilane są przez deszcze oraz topniejące w górach śniegi.

— A myślom i uczuciom płynącym z miłości, ojcze, czyż także nie zagraża wtargnięcie rzeczy obcych jej naturze? Jakaż mogę mieć pewność, iż powodowany<sup>44</sup> umiłowaniem dobra obronię się przed postępkami, które są jemu przeciwne? Czyż potrafię przewidzieć, dokąd mnie mogą zaprowadzić nienawiść i pogarda?

— Owszem, możesz to przewidzieć. Zaprowadzą cię nie dalej i nie głębiej, niż potrafi sięgnąć twoja miłość. Będzie ona jednolita i mężna, taką się też stanie twoja nienawiść grzechu. Na kruchą i chwiejną stać cię tylko miłość, nie innymi będą twoje uczucia nienawiści i pogardy. Niestety, mój synu, wielkiej miłości się lękasz. Boisz się jej siły, jej zasięgu, a nade wszystko jej nagłych i nieodpartych wymagań. Przed miłością chcesz uciec. Uciekaj zatem. Wracaj do swego klasztoru. Nie będę cię zatrzymywał.

— Zawiodłeś się na mnie, ojcze — szepnął Diego.

Torquemada znów dotknął dłonią jego pochylonej głowy.

<sup>44</sup>powodowany — tu: kierujący się. [przypis edytorski]

— Spójrz mi w oczy.  
 — Tak, ojcze.  
 — Obawiam się, mój synu, że to, co ja w swym omylnym sądzie mógłbym ci powiedzieć teraz, kiedyś, już nieomylnie, powie Bóg.  
 Oczy Diega zaszyły łzami.  
 — Ojcze mój, nie w potęgę miłości wątpię, lecz w swoje siły.  
 — Naiwny głuptasie! A w co byś wątpił, gdybyś na moje stygnące ciało patrzył w tej chwili?  
 Diego zadrżał.  
 — Ojcze, moje intencje nie były czyste.  
 — A ich następstwa? Czemu według skutków nie mierzysz swoich intencji? Sądzisz, że fakty zawodniejsze są od twoich zmęczonych myśli? Doprawdy, i ja ci to mówię, tylko z wielkiej miłości może się zrodzić tak nagły błysk czujnego pogotowia, jaki tobie był dany.  
 Łzy spływały po policzkach Diega.  
 — Ojcze mój, istotnie była to miłość?  
 Torquemada pochylał się nad klęczącym.  
 — Mój synu, moje dziecko... jest w tobie więcej chrześcijańskiej miłości, niż przypuszczasz.  
 — Czemu więc w siebie zwątpiłem?  
 — W prawdę zwątpiłeś.  
 — Ojcze, przysięgam, moja wiara...  
 — Miłość i prawda nie są jednością?  
 — Tak, ojcze.  
 — Myśl więc do końca. Zwątpiłeś w swoje siły? A cóż jest ich źródłem? Miłość służąca prawdzie i z nią jednoznaczna. Jakże więc, wierząc prawdzie, ty, jej nosiciel, możesz wątpić w siebie? Czyż nie ona stanowi niewyczerpane źródło ludzkich sił? Dopiero kiedy w nią poczyna człowiek wątpić, przychodzi zwątpienie i w siebie.  
 Fray Diego podniósł głowę, był blady, lecz oczy miał już suche.  
 — Nie chciałem, ojcze, świadomie kłamać.  
 — Nie rozmawiałbym z tobą, mój synu, gdybym tego nie wiedział.  
 — Zbłądziłem, ojcze, lecz wszystko teraz dzięki tobie widzę jasno. Istotnie zło wydało mi się tak wszechpotężne, iż przestałem przez chwilę słyszeć prawdę, przestałem jej ufać. Powiedz mi jednak: dlaczego przenikliwiej niż ja sam potrafisz czytać w moich myślach?  
 — Mój synu — odpowiedział łagodnie Torquemada — służę prawdzie, tylko prawdzie i z niej czerpię siły. To wszystko.  
 Przez chwilę było milczenie. Fray Diego pochylał się i gorącymi wargami przywarł do nieruchomo na poręczy krzesła spoczywającej dłoni czcigodnego ojca. Wówczas ten podniósł z powolnym namysłem prawą rękę i kreśląc nad pochyloną głowę znak błogosławieństwa powiedział:  
 — *Ego te absolvo. In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen*<sup>45</sup>.

Bezpośrednio po rozmowie z Wielkim Inkwizytorem don Rodrigo de Castro wrócił do celi, którą dzielił z młodzieńcem don Lorenzem. Ten na widok wchodzącego zerwał się z łóżka.

— I co? — spytał niecierpliwie.  
 Don Rodrigo bez słowa podszedł do stołu, sięgnął po dzban z winem i jak człowiek spragniony począł łapczywie pić.  
 Don Lorenzo z niepokojem wpatrywał się w przyjaciela.  
 — Co się stało, Rodrigo?  
 — Nic.  
 — Miałeś przykrości?  
 Don Rodrigo hałaśliwie odstawił dzbanek.

<sup>45</sup>*Ego te absolvo. In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen* (łac.) — Rozgrzeszam cię. W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, amen. [przypis edytorski]

— Słuchaj, Lorenzo, jesteś mi zawsze miły i takim, mam nadzieję, pozostaniesz, musisz jednak wiedzieć, że od dzisiaj przestałem być dla ciebie Rodrigiem.

Lorenzo zmieszał się.

— Nie rozumiem cię. Co to znaczy?

— Jestem twoim dowódcą, rozumiesz teraz?

— Ty? O, Rodrigo...

W pierwszym odruchu radości chciał się rzucić przyjacielowi w ramiona, lecz ten szorstko go odsunął.

— Przed chwilą czcigodny ojciec raczył mnie mianować kapitanem swoich domowników. Poczekaj, nie przerywaj. To jedno. I drugie: jesteś bardzo młody, Lorenzo, musisz się jednak szybko nauczyć, że żołnierz nie zadaje pytań, pamiętaj.

— Wybacz — szepnął Lorenzo — nie wiedziałem...

— A teraz wiesz — przerwał oschle don Rodrigo. — Chodź więc i milcz.

Fray Diego, wpuściwszy obu rycerzy do celi ojca Torquemady, w milczeniu wskazał im ciało spoczywające na podłodze. Przykryte było ciemnym płaszczem. Lorenzo omal nie krzyknął, gdy chcąc równocześnie z Rodrigiem podmieść zwłoki, nieostrożnym ruchem zsunął nakrycie z głowy zmarłego. Opanował się jednak, spotkawszy się z twardym spojrzeniem don Rodriga. Z powrotem przykrył szerniałą twarz i mocno ramionami przytrzymując sztywniejące ciało, skierował się z pochyloną głową za Rodrigiem w stronę drzwi. W celi panował półmrok, mimo to w kłęzącym przy łóżku człowieku Lorenzo od razu rozpoznał czcigodnego ojca.

Korytarz klasztorny był pusty, strażę u jego końców czuwały w ciszy, same niewidoczne, tak więc przez nikogo nie zauważeni przenieśli ciało pana de Sigura do celi, którą ten do niedawna zajmował, złożyli okryte płaszczem zwłoki na łożu nie tkniętym tej nocy snem, po czym powrócili do siebie.

Don Rodrigo ciężko usiadł na ławie przy stole i rozpiąwszy przy szyi skórzany kaftan, sięgnął po wino. Pił je tym razem długo i wolno, aż wreszcie odjąwszy od ust ciężki dzban spojrzął na stojącego nie opodal Lorenza.

— Czego się gapisz? — spytał z nieprzyjaznym akcentem.

Lorenzo milczał.

— Siadaj — rozkazał don Rodrigo.

Po czym posunął ku niemu wino.

— Pij.

Tamten, sztywno wyprostowany na końcu ławy, potrząsnął głową.

— Pij — powtórzył kapitan.

Lorenzo zawahał się, usłuchał jednak. Don Rodrigo przyglądał się mu z pochmurną niechęcią.

— Dość — powiedział nagle — upijesz się.

Lorenzo, gwałtownym ruchem odstawiwszy dzban, poderwał się z ławy.

— Dlaczego mnie dręczysz, Rodrigo?

W jego wysokim, łamiącym się głosie zabrzmiały gniew i żal. Don Rodrigo pogardliwie się uśmiechnął.

— Siadaj.

— Co ja ci zrobiłem, Rodrigo? Kochałem cię jak brata.

— Zostaw te dzieciństwa. Usiądź, chcę z tobą poważnie porozmawiać. Podnieś głowę.

— Pozwól mi odejść — szepnął Lorenzo.

— Nie teraz.

Sięgnął po wino i wypił je do dna.

— Posłuchaj, Lorenzo, pomimo młodego wieku spotyka cię szczególnie zaszczytne wyróżnienie, mam nadzieję, że potrafisz je ocenić. Od dzisiaj będziesz każdego dnia osobiście sprawdzał wszystkie posiłki czcigodnego ojca. To jest polecenie jego i moje.

Przez chwilę była cisza.

— Rozumiesz, Lorenzo, o co chodzi? Pierwszym, który dzisiaj rano podjął tę próbę, był tamten człowiek.

— Rodrigo, powiedz...

— Żadnych pytań, Lorenzo!

Odepchnął ramieniem stół i ciężko się podniósł. Jego smagła<sup>46</sup>, pochmurna twarz była nabrzmiała, oczy miał zmacone i nabiegłe krwią.

— Lorenzo, świat jest gnojowiskiem, pojmujesz to? Nie, ty nic jeszcze nie przeżyłeś, nic nie wiesz. Gdziekolwiek się obrócisz, zobaczysz zbrodnię, zdradę, co krok nikczemne jady karłów. Dręczyłem się niedawno, że popełniłem podłość. Boże wielki, jakież głupiec był ze mnie! Człowiek, który uważał się za mego przyjaciela i w którym ja również przyjaciela widziałem, siedzi teraz w lochach Świętej Inkwizycji. Dzięki mnie, rozumiesz? I nie żałuję, Bóg mi świadkiem, że postąpiłem słusznie. Czym są więzy przyjaźni i wszystkie uczucia wobec mojej służby? Słuchaj, Lorenzo, powiedziałem, że jesteś mi miły. Powiedziałem tak?

— Powiedziałeś — szepnął Lorenzo.

— Jesteś młody, jesteś piękny, w twoich oczach, jak w zwierciadle, odbija się czystość twojej duszy, ale wiedz, że chociaż cię bardzo kocham, więcej może nawet, niż przypuszczasz, to przecież, gdybym dostrzegł w tobie choć cień występnej myśli, jedną bodaj płamę na twojej wierze i wierności, ja pierwszy uczynię wszystko, żeby cię zniszczyć, jak się niszczy wroga. Strzeż się mnie!

Lorenzo także się podniósł. Pobladł, oczy mu pociemniały. Don Rodrigo spojrział na niego i głośno, nieoczekiwanie dźwięcznie się roześmiał.

— Szczeniaku, nawet swoich myśli nie potrafisz ukryć. Widzę po twoim spojrzeniu, co sobie pomyślałeś. Pomyślałeś: ty się też mnie strzeż.

Jeszcze chwilę się śmiał, naraz umilkł i krótkim ruchem dłoni rozkazał:

— Idź, chcę być sam.

Don Lorenzo, wciąż błądy i z ciemnymi oczami, służyście się wyprostował.

— Tak jest, dostojny kapitanie — powiedział chłopięcym, niezwykle jasno wibrującym głosem.

Po czym nienagannie wykonawszy przepisowy zwrot wyszedł z celi, cokolwiek za głośno zatrzaskując drzwi.

Wkrótce potem, bo nie więcej niż po upływie godziny, przybył do Santa Maria la Antigua inkwizytor Świętego Trybunału w Valladolid, padre Cristobal Galvez, dominikanin. Na dziedzińcu powitał gościa przeor Santa Maria, siwowłosy padre Agustin d'Acugna, po czym obaj ojcowie udali się do najstarszej części klasztoru, gdzie w refektarzu, pamiętającym odległe i sławne czasy króla Alfonsa VI<sup>47</sup>, oczekiwali przybywającego: kapitan domowników oraz fray Diego.

Padre Galvez mimo swego kalectwa, utykał bowiem na lewą nogę, wszedł szybkim krokiem i nieuważnie się rozejrzawszy po rozległym i surowym wnętrzu, tym samym, trochę niecierpliwym spojrzeniem objął obecnych.

— Dawno nie odwiedzałem tych pobożnych murów — zwrócił się do przeora. — Jestem więc. Gdzie się znajduje czcigodny ojciec? Wezwał mnie. Czemu tak późno?

Pan Rodrigo de Castro wysunął się spod kolumny, w której cieniu dotychczas stał.

— Pozwól, wielbny ojcze, złożyć sobie wyjaśnienie.

— Tak — powiedział krótko padre Galvez.

— Czcigodny ojciec istotnie wezwał was, lecz osobiście nie będzie mógł, niestety, z wami rozmawiać, ponieważ cały swój czas poświęca modlitwie i rozmyślaniom.

— Teraz? — zdziwił się gniewnie padre Galvez. — Skąd ta decyzja? Co się tu dzieje? Dlaczego przybyliście do stolicy nocą i nie zapowiedziani? Miasto trzęsie się od plotek. Czemu czcigodny ojciec nie chce z nikim rozmawiać?

— Wybacz, wielbny ojcze — odpowiedział spokojnie pan de Castro — nie jestem upoważniony do roztrząsania decyzji czcigodnego ojca.

Padre Galvez szybkim spojrzeniem obrzucił postać młodego rycerza.

— Jesteście, panie?

— Kapitanem domowników Wielkiego Inkwizytora — rzekł pan de Castro.

Po czym wskazując na stojącego nie opodal, dodał:

— Zaś tu obecny brat Diego jest osobistym sekretarzem czcigodnego ojca.

Padre Galvez, powłócząc przykrótką nogą, podszedł do Diega.

<sup>46</sup>smagły — o ciemnej, oliwkowej cerze. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Alfons VI Mężny (1040–1109) — władca hiszpańskich królestw Leonu, Kastylii i Galicji. [przypis edytorski]



— Winszuję, mój synu. Musisz posiadać szczególne cnoty i zdolności, skoro tak młodego postawił cię czcigodny ojciec blisko swojej osoby.

Fray Diego skłonił głowę.

— Czcigodny ojciec kazał was pozdrowić oraz przekazać wam swoje błogosławieństwo. Równocześnie czcigodny ojciec wyraził ubolewanie, iż z racji swoich obowiązków musicie, i to nie zwlekając, zająć się pewną sprawą nad wyraz ciężką i bolesną.

Padre Galvez słuchał nieuważnie, spoglądając w bok i gniewnie marszcząc ciemne, krzaczaste brwi. Nagle się wyprostował.

— Siądźmy zatem — powiedział tonem nie przywykłym do sprzeciwu.

Pierwszy swym porywczym, kulejącym krokiem skierował się w stronę stołu stojącego w głębi refektarza<sup>48</sup> i usiadłszy czekał, aż wszyscy zajmą miejsca.

— Słucham — powiedział.

Fray Diego, który skromnie zajął odległe miejsce, wstał i zwięźle, głosem prawie monotonnym, opowiedział, co zaszło. Skończywszy usiadł i dłonie wsunął w rękawy habitu.

— To wszystko? — spytał padre Galvez.

— Reszta jest w waszych rękach, wielbny ojcze — odpowiedział fray Diego.

— Tak — zgodził się tamten obojętnie. — I cóż wy na to, ojcze Agustinie?

Sędziwy przeor nie ukrywał przygnębienia.

— Straszliwie ciężko doświadczył nas Bóg — powiedział drżącym głosem człowieka złamanego nieszczęściem.

— Bóg? — zdziwił się padre Galvez. — Chyba nie sądzisz, ojcze Agustinie, że Bóg przyprowadził trucizną wino czcigodnego ojca? To wszystko, co masz do powiedzenia?

Padre d'Acugna bezradnie rozłożył dłonie.

— Wszystko? — krzyknął padre Galvez uderzając pięścią w stół. — Jak to, pod dachem twego klasztoru wylega się najpotworniejsza zbrodnia, przygotowuje się podstępny cios, który skrytobójczo ma nas uderzyć w sam mózg i serce, a ty nic nie wiesz, niczego nie widzisz, ślepy jesteś i głuchy? Na jakim żyjesz świecie? Modlić się tylko potrafisz? Z aniołami i ze świętymi prowadzisz jedynie rozmowy? Rozum na starość straciłeś? Doprawdy, gdyby nie twoja znana pobożność, inaczej by z tobą, ojcze Agustinie, porozmawiał Święty Trybunał.

Stary przeor nie próbował się bronić. Skulony w ogromnym krześle, coraz niżej pod spadającymi nań oskarżeniami pochylał siwą głowę. Mimo to nie mógł zapanować nad jej drżeniem. „Taka więc jest siła strachu” — pomyślał Diego. I chociaż od dzieciństwa przyuczony do szacunku dla pobożności oraz podeszłego wieku, uśmiechnął się szyderczo. Z tego jednak, że to uczynił, zdał sobie sprawę wówczas dopiero, gdy na twarzy pana de Castro, który w blasku swojej złocistej zbroi siedział u przeciwnego krańca stołu nieruchomy jak posąg, dojrzał uśmiech podobny. Spojrzenia obu młodych ludzi spotkały się i natychmiast rozeszły. Fray Diego spuścił powieki. „Boże!” — pomyślał krótko, nie bardzo zdając sobie sprawę, co pragnie tym bezgłośnym okrzykiem wyrazić. Tak przecież wśród swych myśli w jednym błysku chwili zagubiony, poczuł się pełen ogromnego smutku, a także gwałtownej i słodkiej równocześnie tęsknoty — za czym? ku czemu? tego nie zdążył nazwać, ponieważ w tym akurat momencie padre Galvez, z nieukrywaną pogardą odwróciwszy się plecami do ojca Agustina, pochylił się w stronę Diega, ten zaś, nagle głosem ojca inkwizytora wytrącony z zamyślenia, doznał niemałego zadowolenia, iż potrafił zachować niezmacony spokój.

— Wspomniałeś, mój synu — powiedział padre Galvez — że pan de Sigura pod pozorem odbytej spowiedzi usiłował się zrazu wymówić od skosztowania posiłku czcigodnego ojca.

— Tak było, wielbny ojcze — potwierdził fray Diego.

— Mało, niestety, znałem pana don Carlosa. Cieszył się, o ile wiem, wielką sławą chrześcijańskiego rycerza. Czy tak?

— Nie inaczej, ojcze. Wzrostowi sławy sprzyjają niekiedy w oczach ludzkich duma i nieprzystępność.

— Był więc dumny?

<sup>48</sup>refektarz — sala jadalna w klasztorze. [przypis edytorski]

— Sądzę, że nie z nadmiaru skromności niechętnie wyjawiał przed ludźmi swoje myśli.

— A zatem?

Diego doznał takiego uczucia, jakby się znalazł nad skrajem przepaści.

— Ojciec wielebny — powiedział po cokolwiek przydługim namyśle — wydaje mi się, że jestem zbyt młody i niedoświadczony, abym nieomylnie potrafił osądzić, gdzie się kończy pozór winy, a zaczyna wina rzeczywista.

Padre Galvez poruszył się niecierpliwie.

— Pozór? Cóż ty opowiadasz, mój synu? Czymże jest twój pozór winy? Tylko naszą chwilową i wyłącznie subiektywną nieumiejętnością ujrzenia winy. Istnieje więc pozór jako fakt? Nie istnieje, to jasne. Liczy się tylko wina, a ona jest albo jej nie ma. To wszystko.

Fray Diego zaczerwienił się ze wstydu i upokorzenia. Jakże się mógł w podobnie naiwny sposób pomylić! Teraz dopiero zrozumiał, iż posłuszeństwo wobec przełożonych nie na tym polega, żeby się od wypowiadania swego zdania uchylać, lecz na tym, by sądy wyżej postawionych odgadywać i potwierdzać.

— Ojciec wielebny — powiedział, po raz pierwszy w życiu świadomie wykorzystując młodzieńczą szczerotę swego głosu — jeśli użyłem pojęcia „pozór winy”, to właśnie w znaczeniu, jakie ty owym słowom nadajesz.

— Ród pana de Sigura zalicza się do najstarszych rodów królestwa Aragonii — odezwał się z drugiego końca stołu pan de Castro.

Na to rzekł padre Galvez:

— Niestety, doświadczenie wciąż nas poucza, że im kto świetniejszą posiada przeszłość, tym mniej należy mu ufać. Zdawałoby się, że sława, bogactwo, uznanie zasług, blask imienia i rodu powinny z racji samych swych natur służyć prawdzie. Tymczasem właśnie pośród nich lęgną się tak często i panoszą najohydniejsze występki. Doprawdy, słowa pana naszego Jezusa Chrystusa: „Błogosławieni ubodzy duchem”, większą zawierają mądrość, aniżeli potrafi to ocenić ograniczony ludziki umysł. I nie prędzej Królestwo Boże zapanuje na ziemi, aż ludzkość stanie się społecznością prostaczków.

Fray Diego słuchał z poważną twarzą, lecz bez skupienia. Sądził do tej pory, iż obca mu jest jakakolwiek zawiść. Tymczasem właśnie to zjadliwe uczucie jątrzyło się w nim teraz. Czyż nie wiedział równie dobrze jak don Rodrigo, że pan de Sigura wywodzi się z wielkiego aragońskiego rodu? Czemuż więc nie potrafił w porę wykorzystać tej ważnej, jak się okazało, wiadomości, pozwalając się ubiec tamtemu?

Spojrzał na pana de Castro i na widok jego młodzieńczej twarzy, wyrażającej doskonały spokój oraz zdyscyplinowaną pewność siebie, znów go objęła fala zawiści.

Przez chwilę była cisza.

— Co zamierzasz uczynić, wielebny ojciec? — spytał cicho stary przeor.

— Zaraz się dowiesz, ojciec Agustinie — odparł padre Galvez. — Ponieważ nie wydaje się wiarogodnym, by w jakimkolwiek wypadku zbrodniarz mógł działać sam, najsluszniejszą rzeczą byłoby zawezwać wszystkich braci przed Święty Trybunał.

Padre Agustin podniósł drżącą głowę. Stare, zmęczone oczy pełne miał łez.

— Boże wielki, doprawdy chcesz to uczynić?

Tamten wzruszył ramionami.

— Nie, na razie nie uczynię tego. Święta Inkwizycja bynajmniej nie jest zainteresowana, żeby to starożytne i czcigodne miejsce okryć cieniem niesławy. Wierzymy zresztą, że mimo twojej, ojciec, słabości, większość braci jest bezgranicznie wierna tradycjom tych murów, a także, co najważniejsze, duchowi naszego stowarzyszenia. Tak więc was tylko, panie de Castro — zwrócił się do don Rodriga — zobowiązujemy, abyście bezzwłocznie przekazali Świętemu Trybunałowi owego służkę, z którego rąk brat Diego przyjął posiłek przeznaczony dla czcigodnego ojca.

— Ojciec Cristobalu — zawołał padre Agustin — to przecież chłopię jeszcze niewinne!

Padre Galvez uśmiechnął się zjadliwie.

— Dla ciebie, ojciec Agustinie, wszyscy ludzie są niewinni. Aż trudno, słuchając cię, pojąć, skąd wśród tego ogromu powszechniej niewinności rodzą się występki, herezje i zbrodnie. A może ich nie ma? Może do takich pobożnych wniosków doszedłeś? Jeśli

Wina

tak, to czemu się o to chłopię niepokoisz? Święty Trybunał bardziej niż jakikolwiek inny sąd ziemski szanuje prawdziwą niewinność, ponieważ zwalczając zło, jej właśnie broni.

To powiedziawszy wstał, uznając zebranie za skończone.

Już nazajutrz okazało się, że wielebny padre Galvez nie mylił się, zarzucając ojcu Agustinowi krótkowzroczność oraz karygodny brak czujności. Szesnastoletni Pablo Zarate, od paru zaledwie miesięcy odbywający nowicjat<sup>49</sup> w Santa Maria la Antigua, zeznał po niedługim śledztwie, iż kiedy niósł posiłek czcigodnego ojca — zatrzymał go na dziedzińcu pan de Sigura, każąc mu pozostawić jedzenie i wrócić samemu do klasztornej kuchni, a to celem umycia nie dość czystych rąk. Wszystko zatem było teraz jasne. Wróg, jak stugłowa hydra<sup>50</sup>, wciąż się odradzał mimo zadawanych mu ciosów. Zdemaskowany i unicestwiony w Saragossie, natychmiast podnosił zbrodnicze macki gdzie indziej, usiłując za wszelką cenę podkopać porządek, siać w umysłach zamęt i w sercach niepokój.

Wśród tak ustalonych okoliczności przewinienie Pabla nie wydawało się szczególnie ciężkie i jakkolwiek ze względu na następstwa zamykała się przed nim na zawsze możliwość powrotu w klasztorne mury — przecież dopiero to, co zaszło potem, rzuciło ciężki cień na zdrowie duszy tego wyrostka, tak niestety nieopatrznie dopuszczonego do odbywania duchownego nowicjatu. Oto niebawem po złożeniu zeznań, a więc jak najbardziej zobowiązany w swym sumieniu do okazania żalu oraz odbycia należytej pokuty, Pablo Zarate, zamiast po drodze wiary podążyć — powiesił się w więziennej celi, składając tym bezbożnym czynem świadectwo, iż nad uczciwe życie chrześcijanina przekłada hańbę i wieczne potępienie.

Wieść o tym godnym ubolewania wydarzeniu dotarła do Santa Maria la Antigua wczesnym rankiem, jeszcze przed pierwszą mszą poranną, którą zwykł był od wielu lat odprawiać ojciec przeor. I tego również dnia wyszedł o oznaczonym czasie ze świętą ofiarą, tak wszakże niedołężnie, niczym ślepiec, poruszał się przy ołtarzu, a głos, nawet przy cichym czytaniu, tak dalece odmawiał mu posłuszeństwa, iż pomiędzy zgromadzonymi braćmi wszczął się najpierw pełen niepokoju szmer, potem zaś zaległa cisza i zgrzybiałemu mamrotaniu starca tylko samotne organy odpowiadały w głębi kościoła. Niemale też zdumienie wszystkich ogarnęło, gdy pobłogosławiwszy na zakończenie zebranych, padre Agustin pozostał przy ołtarzu, po czym cicho, lecz w sposób szczególnie mocny i przejmujący powiedział:

— A teraz, bracia, zrózmy „Ojcze Nasz” i „Zdrowaś Maria” za czystą i niewinną duszę naszego młodszego brata Pabla.

Śmiertelna cisza zapanowała po tych słowach. Nie poruszył się ani brat Diego stojący samotnie z boku ołtarza, ani pan de Castro, który w swej złotej zbroi wyprzedzał o krok zwarty zastęp familiantów<sup>51</sup>. Taka przecież od tych obu ludzi biła siła, iż nikt z braci nie odważył się klęknąć.

Padre Agustin patrzył chwilę na tłum nieruchomy w półmroku kościoła, coraz większa błądź pokrywała jego pooraną cierpieniem twarz, przymknął oczy, aż wreszcie odwrócił się i klęknąwszy u stóp ołtarza, samotnie począł się modlić. Wówczas fray Diego oraz pan de Castro, przeżegnawszy się wprzódy, równocześnie skierowali się ku drzwiom zakrystii. Za nimi poczęli wychodzić familianci czcigodnego ojca i kościół wypełnił się ciężkim szczękiem pancerzy. Potem, już w ciszy, jeden za drugim, z pochylonymi głowami i wzajemnie unikając spojrzeń, opuszczali kościół bracia.

Niebawem ojciec Agustin pozostał sam. Długo się modlił, jakby zapomniał o świecie. Świt ciepłym poblaskiem słonecznym rozjaśniał na witrażach sylwetki aniołów i świętych. Dopalały się w lichtarzach świece. Z klasztornego dziedzińca dochodziły odgłosy zmieniających się wart.

<sup>49</sup>nowicjat — początkowy, około dwuletni okres pobytu we wspólnocie zakonnej, poprzedzający złożenie ślubów wieczystych. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>hydra (mit. gr.) — potwór z wieloma głowami, odrastającymi po ścięciu, zabity przez Heraklesa. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>familiant (z łac.) — domownik (tu: stanowisko w Świętej Inkwizycji). [przypis edytorski]

W pewnej chwili padre Agustin podniósł głowę i odnalazłszy wysoko w górze ogromny krzyż, zawołał głosem pełnym rozpacz:

— Panie, jak długo ciemności mają panować nad nieszczęsną ziemią?

Oślepiiony łzami nie mógł zrazu dojrzeć, kto nagle przypadł mu do kolan i wstrząsany szlochom żarliwie przycisnął gorące wargi do jego dłoni. Sam na klęczkach, poszukał po omacku głowy klęczącego i kiedy poczuł pod palcami gęste, miękko się wijące włosy — rozpoznał małego służkę klasztornego imieniem Francisco. Objął wówczas to drobne, jeszcze dziecięce ciało i gładząc małego po włosach, wyszeptał łamiącym się ze wzruszenia głosem:

— Moje dziecko, moje biedne dziecko, nie trzeba tracić nadziei. Trzeba mieć nadzieję. Zawsze nadzieję.

Była to ostatnia msza, jaką stary przeor odprawił w Santa Maria. Najbliższej nocy opuścił z polecenia przełożonych klasztor i miasto, udając się do odległej pustelni San Inigo w górach Estramadury<sup>52</sup>, aby tam, poświęciwszy się przyrodzonej sobie potrzebie modlitwy, spokojnie mógł dokończyć pobożnego życia.

Nazajutrz zaś sam ojciec Wielki Inkwizytor, zakończywszy dwudniowe rekolekcje, odprawił w Santa Maria poranną mszę. Fray Diego wygłosił do zebranych braci krótkie kazanie na temat słów pana Jezusa według ewangelii św. Mateusza: „Nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz”.

Tymczasem, jak się to zazwyczaj zdarza w dziejach, iż nie samymi zwycięstwami umacniana bywa droga prawdy — różne wieści niebudzące wesela nadchodziły do stolicy u schyłku roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego piątego. I tak, stało się pewnego dnia wiadomym, iż wojska królewskie pod dowództwem pana hrabiego d’Arcos poniosły przy obleganiu pogańskiej Malagi ciężkie straty, natomiast z Aragonii donosili gubernatorzy o zamieszkach, wciąż od czasu wiadomych wypadków w Saragossie wnoszących niepokój i zamęt do wielu miast, wszędzie zaś powodowanych tą samą ręką żydowskiego wroga, uciekającego się do jak najnikczemniejszych środków, byle tylko podstępnie działać na szkodę Królestwa.

W Walencji na przykład, nie licząc pomniejszych tumultów<sup>53</sup>, obalamucone przez ukrytych prowokatorów pospólstwo podpaliło pałac Talavera, stanowiący siedzibę Świętego Trybunału, w Teruelu zaś tłum, w podobny sposób podżegany, kamieniami i cegłami obrzucił przy wieży San Martin orszak ojca Inkwizytora, gdy ten w pierwszą niedzielę grudnia zdążył na nabożeństwo do katedry. W obu miastach były ofiary i tylko dzięki natychmiastowemu wyprowadzeniu na ulice żołnierzy Świętej Hermandady<sup>54</sup> uniknięto rozszerzenia się zamieszek oraz ofiar jeszcze liczniejszych. Również w Barcelonie zdławiono bunt w samym zarodku, rozpędzając przy pomocy miejskich pacholków gawieź, która poczęła się gromadzić w okolicach więzienia Świętego Officium, zatrzymując przy tej sposobności i pod sąd oddając wielu podejrzanych osobników.

Król Ferdynand<sup>55</sup>, powiadomiony o tych wydarzeniach, natychmiast przez specjalnych kurierów zarządził stosowanie bezwzględnie surowych restrykcji wobec wszelkich przejawów heretyckich prowokacji. Również Święte Trybunały, zwłaszcza działające na terenie Aragonii, zostały wezwane specjalnym pismem ojca Wielkiego Inkwizytora do wzmożenia czujności oraz pogłębienia metod swego działania. Jeszcze raz więc przeliczył się i pomylił wróg, sądząc, iż uda mu się osłabić wojujący Kościół lub wykopać przepaść między nim a wierzącymi masami. Nikt, prócz zbrodniczych heretyków oraz garstki ludzi chwilowo sprowadzonych na manowce, nie wątpił, iż cały naród bezgranicznie jest

<sup>52</sup>*Estramadura* — region w Hiszpanii, graniczący z Kastylią i Leonem; jego nazwa oznacza „tereny najdalej”. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*tumult* — tu: zamieszki. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Święta Hermandada* — służba administracyjno-poborowa zorganizowana przez Izabelę I Kastylijską na bazie istniejących wcześniej bractw miejskich. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Ferdynand II Aragoński* (1452–1516) — król Sycylii i Aragonii; jego małżeństwo z królową Izabelą I Kastylijską (1469) i wspólne rządy dały początek unii Kastylii z Aragonią (1479), w której efekcie powstało nowożytne Królestwo Hiszpanii; w 1492 zdobył Grenadę, stolicę ostatniego państwa muzułmańskiego na Płw. Pirenejskim; w latach 1501–1503 podbił Neapol. [przypis edytorski]

oddany Ich Królewskim Mościom i Kościołowi, jednomyślnie potępiając wszelkie próby osłabienia tej jedności.

Mimo to, jak zwykle w podobnych okolicznościach, wieści o pewnym niezdrowym podnieceniu umysłów nadal dochodziły z prowincji i jakkolwiek w samej stolicy panował spokój — ojciec inkwizytor Galvez podjął decyzję, aby przyspieszyć autodafé<sup>56</sup>, od dłuższego już czasu i z wielkim nakładem pracy przygotowywane na połowę stycznia roku następnego. Gdy padre Torquemada przychylił się do tej decyzji, uczyniono wszystko, aby uroczystość, wyznaczona na szczególnie bliski ludowi dzień świętego Dominika z Silos<sup>57</sup>, wypadła pod każdym względem okazale. I tak w ciągu tygodnia, który poprzedzał autodafé, zamknięto wiele procesów ospale się wlokących od miesięcy, wszczęto również rozliczne nowe i pomyślnie je przed terminem ukończono. We wszystkich klasztorach, szczególnie u dominikanów, wieczorne modlitwy braci towarzyszyły tym poczynaniom, bowiem jedność synów Kościoła wydawała się w tych dniach bardziej potrzebna niż kiedykolwiek indziej. Zresztą, jak się tego spodziewano, lud nie pozostał obojętny na głos swych duchowych przewodników. Ożywiony szczerą wiarą, począł ze wszystkich miasteczek i wsi starożytnego królestwa León ścierać do Valladolid. Także i z dalszych okolic przybywali pobożni pątnicy<sup>58</sup>. Niebawem też zbrakło miejsc w gospodach i oberżach, więc lud, mimo grudniowych chłódów, koczował na placach pod gołym niebem.

Wobec tak wielkiego poruszenia w chrześcijańskim narodzie obie Ich Królewskie Moście, jakkolwiek ze względu na sytuację wojenną pod Malagą tam się zamierzały udać, teraz, osobiście uproszone przez ojca Wielkiego Inkwizytora, postanowiły odłożyć ową nagłą podróż, aby obecnością swego Majestatu przysporzyć uroczystościom znaczenia i blasku. Przewidywano, że około dwóch tysięcy skazanych na różne kary grzeszników weźmie udział w pokutniczych obrządkach w katedrze, a później podąży w procesji na quamadero<sup>59</sup>, natomiast ilość heretyków ostatecznie wyrokiem Świętego Trybunału usuniętych ze wspólnoty kościelnej dochodziła do siedemdziesięciu kilku. Jednym spośród nich i jedynym, którego ciało w otoczeniu żywcem palonych miało tylko pośmiertnie spłonąć na stosie, był o świętokradczą próbę trucicielstwa obwiniony pan don Carlos de Sigura. Zdawało się w świetle gruntownie przeprowadzonego śledztwa, iż Święty Trybunał nie mógł w tej tak pod każdym względem oczywistej sprawie powziąć wyroku bardziej sprawiedliwego, tymczasem to właśnie orzeczenie stało się na Królewskiej Radzie Inkwizycyjnej przedmiotem burzliwej wymiany zdań.

Królewska Rada Inkwizycyjna, przed paroma laty powołana przez Ich Królewskie Moście celem mocniejszego powiązania z tronem działalności Świętego Officium, dość rzadko w pełnym komplecie zbierała się w minionym czasie. Teraz wszakże i jak się zdaje, przychylając się do opinii kilku świeckich panów, król Ferdynand uznał za konieczne, aby ze względu na ostatnie wydarzenia Rada podjęła swoje zadania, i to nie zwlekając. Tak więc w ostatni dzień listopada, na świętego Andrzeja, po wczesnej mszy w zamkowej kaplicy, trzech dostojników kościelnych z ojcem Wielkim Inkwizytorem na czele, tyłuż znakomitych panów Królestwa oraz dwóch sławnych doktorów, doradców prawnych Świętego Officium, wszyscy najbliższe swoje otoczenie pozostawiając na przedpokojach, zgromadzili się w tronowej sali, oczekując przybycia Króla i Królowej. Ich Królewskie Moście nie kazały na siebie długo czekać. Towarzyszył im minister, fray Francisco Ximenes, franciszkanin.

Padre Galvez nie próbował ukryć gestu niezadowolenia, gdy po kilku słowach króla Ferdynanda, mówiącego, jak zwykle, trochę przyciężko na skutek zadyszki, na którą tyjąc coraz bardziej cierpiał — podniósł się celem zabrania głosu don Alfonso Carlos, książę Medina Sidonia, markiz Kadyksu. Wiadomą było powszechnie rzeczą, że gdy przed

<sup>56</sup> *autodafé* — akt publicznej pokuty osądzonego przez Świętą Inkwizycję; w znaczeniu potocznym: egzekucja przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *święty Dominik z Silos* (1000–1072) — hiszp. mnich benedyktyński, reformator zakonu, święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *pątnik* — pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *quamadero* — miejsce egzekucji dokonujących przez Świętą Inkwizycję, wybudowane w Sewilli w roku 1481. [przypis edytorski]

pięcioma laty pierwsi judaisantes<sup>60</sup> poczęli opuszczać miasta i grody podległe Świętemu Officium w Sewilli — nie kto inny jak pan książę Medina Sidonia udzielał im na swoich ziemiach schronienia. Odległe to wszakże już były sprawy i być może młody książę, oświecony z biegiem lat duchem prawdy, właśnie od tej swojej przeszłości pragnął się obecnie odciąć, to bowiem, co mówił, było nad wyraz rozumne, przeniknięte pobożnością oraz pełne synowskiego uznania dla zasług Świętych Trybunałów. Trudno było, doprawdy, o słowa lepiej wyrażające myśl chrześcijańską nad te, które ze spokojną rozważą oraz godnością wcale nie pyszną wypowiadał ów potomek jednego z najznakomitszych rodów Królestwa.

Obie Ich Królewskie Moście słuchały księcia z wyraźnie życzliwą uwagą, również pozostali panowie, szczególnie stary książę Cornejo, wydawali się pełni uznania dla rozumu najmłodszego spośród siebie. Wśród tej ogólnej aprobaty tylko ojcowie inkwizytorzy oraz pan kardynał de Mendoza, arcybiskup Toledo, zachowali wyczekującą wstrzeźliwość. I rzeczywiście, powodując się doświadczeniem oraz rozważą słusznie nie dali się unieść przedwczesnej radości, bowiem niebawem pan Medina Sidonia odsłonił swoje prawdziwe oblicze.

— Niestety — powiedział podnosząc cokolwiek po chwili milczenia głos — uchybiłbym i powadze tego zgromadzenia, i samej nade wszystko prawdzie, gdybym nie wyznał, iż patrząc na wiele dziejących się obecnie w Królestwie spraw, obok uczuć radości i dumy doznaję również, a na pewno nie ja jeden, troski, i to jak najbardziej dotkliwej.

Cisza zaległa w sali. Padre Galvez porywczo poruszył się w swym krześle, natomiast padre Torquemada podniósł głowę i przenikliwym spojrzeniem ogarnął młodego księcia. Ten zwrócił się wprost ku niemu.

— Widzę po waszym spojrzeniu, czcigodny ojcze, iż chcielibyście się spytać, co to za troska mnie niepokoi?

Na to odpowiedział padre Torquemada:

— Istotnie, nie omyliliście się, dostojny panie. W obliczu tak powszechnego rozplenienia się rozlicznych występków przeciw wierze każdy chrześcijanin musi odczuwać głęboką troskę. Czy o tej właśnie trosce myślicie?

— Owszem, o niej również, lecz nie tylko o niej jednej. Najjaśniejszy Panie, Królowo! Doceniam surowość, z jaką Święte Trybunały ścigają i karzą heretyków, obawiam się wszakże, że kiedy owa surowość pocznie dotykać najpierwszych panów Królestwa, niesławą okrywając ludzi wysoko wyrastających ponad tłum urodzeniem, godnościami i mieniem, wówczas stokroć więcej szkód niż korzyści musi dla nas wyniknąć. To jest właśnie, czcigodni ojcowie, troska, która mi ciąży.

Książę Cornejo zawołał:

— Co zyskacie, wydając pospółstwu na hańbę i poniżenie synów znakomitych rodów? Czegoście dokonali w Aragonii? Czyż nie my jesteśmy trwałym fundamentem, na którym musicie się wspierać?

Ogromny i tęgi pan markiz de Villena, zapominając o szacunku należnym Ich Królewskim Mościom, uderzył pięścią w poręcz krzesła.

— Ślepi jesteście, ojcowie, czy szaleni? Na kogóż się porywacie? Jeśli dalej pójdziecie tą drogą, może mnie także postawicie przed swoim trybunałem?

Znów cisza zaległa. Pierwszy odezwał się padre Torquemada i jego głos, ściszyony i pełen spokoju, ze szczególną wymową odciął się od gwałtownego wystąpienia pana de Villena. Powiedział:

— Nie mylicie się, dostojny panie. I niech Bóg wszechmocny zachowa was w swojej opiece, aby nie stało się to koniecznością.

Krew uderzyła panu de Villena do głowy.

— Grozicie, czcigodny ojcze? Mnie?

— Komu jest potrzebne zniesławianie po śmierci pana de Sigura? — krzyknął książę Medina. — Skoro pan de Sigura stanął przed sądem boskim, niech Bóg rozsądzi jego winy.

<sup>60</sup>judajzanci — w początkowych wiekach istnienia Kościoła osoby domagające się od chrześcijan spełniania zasad religii żydowskiej; tu raczej w znaczeniu Żydów nawróconych na chrześcijaństwo, lecz zachowujących swoje zwyczaje i rytuały. [przypis edytorski]

Padre Galvez obrócił ku niemu pociemniałą twarz.

— I kogoż to bronicie, książę? Wiarołomcy i truciciela?

— Mylisz się, wielbny ojczy — odparł tamten. — Nie pana de Sigura bronię, lecz powagi rycerskiego stanu. Wiem, że wszędzie może się wcisnąć grzech, a występki, nawet szczególnie ciężkie, mogą się stać udziałem możnych tego świata, lecz czy znaczy to, że należy je wówczas wyносить na światło dzienne? Czemu zgorszenie, które raczej ukryć należy i milczeniem otoczyć, wydajecie na pastwę pospólstwa? Ciemny motłoch chcecie zwrócić przeciw nam?

Król Ferdynand siedział na podwyższeniu tronu przymknąwszy wypukłe powieki i obie tłuste, nieco przykrótkie dłonie wspierając o szeroko rozstawione uda. Pobożna królowa Izabela wydawała się zamyślona i smutna. W ciszy słychać było ciężki oddech pana de Villena.

— Pan książę Medina słusznie powiedział — rzekł padre Torquemada — iż grzech i występki nie omijają na tym świecie nawet najwyższej postawionych. Głęboko się jednak myli, namawiając nas, abyśmy odwagę mówienia prawdy zastąpili tchórzliwym milczeniem. Cóż doradzacie nam, dostojni panowie? Czyżbyście mieli tak mało zaufania do prawdy, iż fałszywie pojętą sławę waszego stanu wyżej nad nią stawiacie?

— Osłabiając nasz stan, prawdę osłabiacie — odparł książę Cornejo.

— Nie! — zawołał padre Torquemada. — Jeśli mamy odwagę odsłaniać najbardziej nawet bolesne rany, to właśnie dlatego, iż jesteśmy dość silni, aby wszelkie zło ujawnić i ukarać. Raz jeszcze pytam was, co nam doradzacie? Czym są dla was prawa, czym sprawiedliwość? Milczycie? Więc ja wam odpowiem: wasza pycha przerasta waszą wiarę. A skoro wiara w was słabnie, jakże możecie ufać w zwycięstwo? Lecz i to także wam powiem, nigdy Święta Inkwizycja nie ulegnie podobnym podszeptom, nigdy nie da się zwieść jakimkolwiek próbom osłabienia swojej jedności. Bezlitośnie będziemy odcinać od pnia żywota każdą chorą lub usychającą gałąź.

Pan książę Medina Sidonia, pobladły z gniewu, zerwał się ze swego miejsca.

— Najjaśniejszy Panie, Królowo! Pan de Sigura ciężko zgrzeszył, to prawda, przecież w jego żyłach płynęła krew najznakomitszych rodów Hiszpanii. Nie dopuście do tak straszliwego pohańbienia.

Na to odezwał się milczący dotychczas kardynał de Mendoza:

— Co jest hańbą, występki czy kara?

— Słyszymy tutaj głosy — powiedział padre Galvez — które do hańby występków chciałyby dołożyć hańbę bezkarności.

Król Ferdynand podniósł powieki. Zrazu jego wypukłe, bladoniebieskie oczy, jak gdyby zaskoczone światłem, zdawały się wyrażać tylko senne znużenie. Przecież po chwili, wciąż pozbawione blasku, stały się skupione i zimne. Natomiast na pięknych ustach zamyślonej królowej Izabeli pojawił się ledwie widoczny, bardzo delikatny i pełen smutnej słodyczy uśmiech.

Ferdynand zaczął mówić z wolnym namysłem:

— Jeśli Król i Królowa stanowią prawa, nie przystoi poddanym, i to najpierwszym w Królestwie, prosić Majestat, aby się przyczynił do ich łamania.

Tu wyprostował się i głos jego nabrał nagle siły.

— Królowa i ja, wciąż dla triumfu prawdy mając na celu ostateczne zjednoczenie Królestwa, łączymy się z całym narodem w wierze, iż nie moglibyśmy podjąć dzieła bardziej godnego naszych obowiązków. Pan de Sigura dopuścił się zbrodni tak straszliwej, iż my ze stopni tronu nie możemy mieć dla niego żadnego przebaczenia. Sądzymy wszakże, iż przeznaczając odziedziczone po nim dobra na cel tak miły Bogu, jakim jest wojna z poganami, tym samym i u Pana Najwyższego będziemy wyjednywać łaskę dla duszy skalanej niegodnym czynem. To wszystko, co dla pana de Sigura i jemu podobnych możemy uczynić. Co ty o tym sądzisz, moja Izabelo?

Odpowiedziała Izabela:

— Sądzę to samo, co i ty, panie.

— Pan Król — rzekł markiz de Villena — zapomina, ile jego przodkowie, a również i on sam winni są panom Królestwa. Od kiedy to czarna niewdzięczność zadomowiła się w sercach królów?

Szlachcic, Prawda, Duma

Zdawało się przez chwilę, że król Ferdynand wybuchnie gniewem. Również i królowa Izabela przestała się uśmiechać. Wówczas wysunął się do przodu fray Ximenes.

— Gniew i obraza nie są zazwyczaj dobrymi doradcami — powiedział półgłosem, z akcentem łagodnej perswazji. — Natomiast kiedy mowa o zapominaniu, rozsądek każe stwierdzić, że skazą pamięci nie Ich Królewskie Moście są dotknięte. To raczej niektórzy panowie zapominają lub pamiętać nie chcą, iż nie oni jedni stanowią podporę tronu i Kościoła. Popelnilibyśmy, jak sądzę, wielki błąd, gdybyśmy nie doceniali, jak bardzo do umacniania porządku w Królestwie przyczyniają się miasta oraz grody zjednoczone w Świętej Hermandadzie<sup>61</sup>. Przecież nie słyszeliśmy nigdy, aby w obliczu Świętych Trybunałów mieszkańcy miast domagali się dla siebie szczególnych przywilejów.

— Katolicki lud — powiedział padre Torquemada — nie tylko w obliczu wiary nie żąda dla siebie przywilejów, lecz wdzięczny jest Świętej Inkwizycji za to, że uwalnia go od jednostek, dla których w społeczności nie ma miejsca.

Długa cisza zaległa po tych słowach.

— A zatem motłochem chcecie nas straszyć? — rzekł wreszcie głuchym głosem pan de Medina.

A pan de Villena dorzucił:

— Zniszczyć nas chcecie i na plebsie się oprzeć?

Wówczas, gwałtownym ruchem odsunąwszy krzesło, podniósł się padre Torquemada.

— Na Boga żywego! — zawołał — któż w tym gronie ośmiela się mówić: my i wy? Nie stanowimyż jedności? Nie łączy nas ta sama wiara i ten sam Bóg nie mieszka w naszych sercach? Do tego doszło, abyśmy jak między wyznawcami prawdy i niewiernymi rozłam wśród siebie wykopywali? Pomyślcie, nie śpi nieprzyjaciół, wróg zewsząd nas otacza, do stu podstępów o każdej godzinie się ucieka, zdradzieckie ciosy w ciemnościach nam przygotowuje, na słabość naszą liczy, na każdy nasz błąd niecierpliwie czyha, rozłamu wśród nas pragnie, z każdej naszej pomyłki przewrotnie się cieszy, a tu, gdzie szczególna jedność powinna panować, stanowiąc najwyższe prawo, wyższe pomad wszelkie małostkowe względy, mówi się: my i wy? Kim zatem jesteście wy, kim jesteśmy my? Nie wiem, doprawdy, kim wy, dostojni panowie, chcecie być, lecz ja, skromny mnich, mogę wam powiedzieć, czego my, sprawie wiary służąc, pragniemy. Jedności pragniemy i posłuszeństwa dla niej. Wszyscy jesteśmy wobec tej jedności równi i te same prawa jednoczą nas w posłuszeństwie. Znamy wasze sławne imiona, znamy wasze zasługi, znamy wielkość waszych przodków, lecz wszystko to znając i wysoko ceniąc, chcielibyśmy również znać wasze myśli, aby także je wysoko cenić, jeśli są myślami naszymi.

— Pan Król powiedział swoje ostatnie słowo — rzekł stary książę Cornejo.

— Nie sięgniemy po miecze w obronie pana de Sigura — dodał pan de Medina.

Na to odparł czcigodny ojciec:

— Gdyby mnie spytano, dostojni panowie, który z dwóch buntów jest groźniejszy, bunt miecza czy bunt myśli, ten drugi uznałbym jako niosący niebezpieczeństwa bardziej nieobliczalne. Istotnie tylko z wolą królewską się liczycie? A z Prawdą Najwyższą, z Bogiem?

Taką siłą głos jego zabrzmiał, iż trzej panowie pochylili głowy. Na koniec podniósł się pan Cornejo i rzekł:

— Niech Bóg wszechmogący nigdy nas nie opuszcza i zawsze prawda świętej wiary mieszka w naszych sercach.

Pisze zaś w związku z owym posiedzeniem Królewskiej Rady Inkwizycyjnej autor kroniki przekazujący potomnym historię swoich czasów:

„Tak więc, kiedy ze wszystkich opresji, nawet powodowanych przez ludzi najwyżej stojących, prawda obronną ręką zawsze wychodziła i nadal, mimo różnych przeszkód i zasadzek, zwycięsko tryumfuje — słuszną możemy posiadać pewność, iż niedaleki jest czas nastania Królestwa Bożego na ziemi”.

<sup>61</sup>*Święta Hermandada* — służba administracyjno-poborowa zorganizowana przez Izabelę I Kastylijską na bazie istniejących wcześniej bractw miejskich. [przypis edytorski]



Zima z roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego piątego na osiemdziesiąty szósty okazała się takiej surowości, jakiej od wielu lat ani w León, ani w Starej Kastylii nie pamiętano. Niezwykle obfite śniegi spadły pod koniec grudnia, a po krótkiej odwilży na Trzech Króli mrozy znów chwyciły i burzliwe zawieje poczęły szaleć.

Ich Królewskie Moście natychmiast po uroczystościach na świętego Dominika z Siles udały się wraz z dworem do wojennego obozu pod Malagą, natomiast czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor, jakkolwiek pilno mu było do Rzymu, gdzie z rąk nowoobranego Ojca świętego, Innocentego VIII<sup>62</sup>, osobiście miał odebrać potwierdzenie swojej godności, musiał ze względu na nieprzychylny czas odłożyć na wiele tygodni podróż. Dopiero w ostatniej dekadzie stycznia surowa zima zaczęła się przesilać, śniegi pod łagodnymi podmuchami południowych wiatrów szybko topniały, zapowiadała się wczesna i piękna wiosna.

Ponieważ wszystkie przygotowania do italskiej podróży były już od dawna poczynione, padre Torquemada, nie chcąc dłużej zwlekać, mimo wieści donoszących zewsząd o gwałtownych powodziach, zarządził wyjazd na dzień Panny Marii Gromniczej.

W tym właśnie czasie, kiedy już powszechnie było wiadomym, że czcigodny ojciec najkrótszą drogą podąży ze swymi domownikami wprost do Barcelony, skąd specjalny okręt królewskiej armady przewiezie go do Neapolu — przybył do Valladolid i natychmiast zjawił się w Santa Maria la Antigua niejaki fray Alvaro, ze specjalnymi zleceniami wysłany przez wielbnych ojców inkwizytorów w Villa-Réal. I oto stało się, że jeszcze tego samego dnia czcigodny ojciec odwołał po rozmowie z bratem Alvaro swoje plany dotychczasowe i jakkolwiek pociągało to za sobą niemałe trudy uciążliwej podróży oraz co najmniej ma parę tygodni odwlekało przybycie do stolicy Piotrowej, postanowił udać się wpierw do Villa-Réal, rozumiejąc, że jeśli tak wielkie przykładano tam znaczenie, aby osobiście zechciał uczestniczyć w uroczystym autodafé wyznaczonym na dzień świętego Romualda, jemu, ojcu wszystkich świętych trybunałów Katolickiego Królestwa, podobnie pobożnych życzeń i próśb zlekceważyć nie wolno.

Padre Torquemada nadspodziewanie dużo czasu poświęcił dominikaninowi z Villa-Réal. Fray Diego obecny był przy tej rozmowie i gdy fray Alvaro, jak najchlubniej wywiązawszy się ze swojej misji, pożegnał wreszcie czcigodnego ojca, dał gościowi znak, by podążył za nim.

Akurat sygnaturka kościelna obwieszczała porę wieczornych modlitw. Szli w milczeniu, aż naraz fray Alvaro spytał:

— Wy jesteście brat Diego?

Ten przystanął.

— Tak — powiedział.

I wyprzedzając swego towarzysza, poszedł dalej.

— Przywożę wam pozdrowienia od brata Mateo — rzekł po chwili fray Alvaro.

Fray Diego szedł szybkim krokiem, zatrzymał się dopiero przed niskimi drzwiami.

— Oto wasza cela — powiedział. — Jesteście zapewne zmęczeni drogą i potrzebujecie odpoczynku.

— Tak — odparł tamten. — Kiedy wyjeżdżałem, brat Mateo prosił mnie, żeby wam odnaleźć i pozdrowić. Kazał mi powiedzieć: „Brat Mateo myśli o tobie i modli się za ciebie”. Dokładnie tak powiedział brat Mateo, na pewno dobrze powtarzam.

Diego musiał uczynić duży wysiłek, aby podnieść głowę i spojrzeć przybyszowi z Villa-Réal wprost w oczy. Fray Alvaro był tego samego wzrostu co on, podobnie szczupły i drobny, a lat też nie musiał dużo więcej liczyć. W jego ciemnych, nad wiek poważnie zamysłonych oczach Diego odnalazł przyjazną życzliwość.

— Odpoczywajcie w spokoju, bracie Alvaro — powiedział, umykając spojrzeniem.

Po czym, nagle ogarnięty przejmującym uczuciem marznięcia, podążył pośpiesznie w głąb korytarza i minawszy wewnętrzny, pusty teraz krużganek, wszyscy już bowiem bracia zgromadzili się w kościele na niesporach, począł schodzić na dół, nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie i w jakim celu idzie, wciąż z tym samym wrażeniem, że kark, ramiona,

<sup>62</sup>Innocenty VIII — właśc. Giovanni Battista Cibo (1432–1492), papież od 1484; zatwierdził Tomasa Torquemadę na stanowisku Wielkiego Inkwizytora. [przypis edytorski]

plecy i piersi ma owinięte pod habitem zlodowaciałą szmatą.

Na dole, nie opodal schodów, pan de Castro rozmawiał z młodym don Lorenzem. Diego chciał ich wyminąć, lecz pan don Rodrigo, uważnie się mu przyjrząwszy, zatrzymał go i spytał:

— Co ci jest, bracie Diego? Chory musisz być, gorączkę chyba masz?

Głos pana de Castro, zazwyczaj silny i dźwięczny, teraz wydał się bratu Diego całkiem płaski, jak gdyby spod ziemi szedł lub wilgotną mgłą był przygłuszony. Podniósł nie bez wysiłku rękę do czoła i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że całe jego ciało rzeczywiście jak w gorączce dygoce. Nieskładnie też, trzęsącym się głosem począł coś mamrotać, czuł, że mu krew spod czaszki i z twarzy gwałtownie odpływa, a śmiertelny chłód, o jakim nie miał dotąd pojęcia, poczyna go coraz szybciej wciągać w głąb martwego zimna. Resztką zanikającej świadomości rozpoznał, że pan de Castro dotyka jego ramienia. Raz jeszcze usłyszał głos don Rodriga, lecz co tamten mówił — tego już nie zdołał zrozumieć.

— Tak — powiedział możliwie najgłośniejszy, lecz świadomy, że wydobył z siebie szept cichszy od oddechu.

I odwróciwszy się od obu rycerzy, z powrotem począł wchodzić na schody. Szedł bardzo wolno, prawie jak po omacku, każdy krok wydawał mu się zrazu przerstającym siły, potem — ostatnim.

Gdy doszedł do połowy schodów, tuż obok, bliżej, niż mogło sięgnąć ramię, odezwał się fray Mateo:

— Diego, coś ze sobą zrobił? Czemu dobrowolnie wydajesz się w ręce nieprzyjaciela?

— Milcz! — szepnął Diego. — Ciebie nie ma.

Był jednak.

— Diego, cokolwiek się stanie, błagam cię, zachowaj swoje sumienie.

— Kłamiesz, ciebie nie ma.

Podniósł oczy, by dojrzeć szczyt schodów. Zobaczył ciemność.

— Czemu nie śpisz, panie? — spytał z akcentem łagodnego wyrzutu. — Świtać będzie niebawem. Wystarczy, że ja czuwam.

Nikt nie odpowiadał. Diego, poszukując wyciągniętymi rękoma oparcia, wspiął się o stopień wyżej.

— Ty jesteś! Odpowiedz.

Nie było go.

— Buntownicze zamysły — rozległ się głos czcigodnego ojca — nie zawsze potrzebują słów.

— Niech Bóg czuwa nad naszym dziełem — odpowiedziało dalekie echo głosem pana de Sigura.

— Ciebie nie ma! — zawołał Diego.

— Dlaczego chcesz się zgubić? — spytał tuż obok fray Mateo.

— Znów jesteś? — zdziwił się Diego. — Przecież ciebie nie ma.

— Gdybyś nie kochał ludzi dzisiaj, nie mógłbyś nimi pogardzać jutro — odpowiedział z wysoka, od niewidocznego szczytu schodów, głos ojca Torquemady.

— Ojcie mój! — zawołał Diego.

Chcąc się wspiąć na jeszcze jeden stopień, potknął się i czołem uderzył o coś twardego i zimnego. Natychmiast oprzytomniał. Stał przy jednej z kolumn podtrzymujących niski strop klasztornego korytarza. Cisza była dokoła. Tylko z kościoła dochodził śpiew braci. W pewnym momencie ścichł i wtedy rozległy się organy.

Po chwili fray Diego znalazł się w celi czcigodnego ojca. Padre Torquemada stał przy wysokim pulpicie i ważną najwidoczniej pracą musiał być pochłonięty, ponieważ zawsze tyle łaskawości okazujący swemu młodemu sekretarzowi, teraz spojrzął na niego z niechęcią i spytał szorstko:

— Czego chcesz, mój synu? Nie widzisz, że pracuję?

Skoro jednak Diego rzucił mu się do nóg, surowość znikła z jego twarzy.

— Mój synu, co się stało?

— Ojcie mój! — zawołał Diego — wybacz, że ośmieliłem się przyjść nie wzywany, lecz to, co ci chcę wyznać, muszę uczynić natychmiast.

— Uspokój się przede wszystkim, mój synu.

— Jestem spokojny, ojcze. Jestem nim na tyle, na ile potrafi zachować spokój człowiek, który znalazł się o krok od popełnienia błędu nieodwołalnego. Przejrzałem jednak, ojcze, w porę i o pomoc cię proszę. Ojcze mój, ciężko zawiniłem. Z powodu skrupułów, wynikających i z mojej słabości, i z mego nie dość jeszcze ugruntowanego rozeznania, chciałem zataić przed tobą pewne moje myśli. Kiedy się dowiedziałem, że mamy jechać do Villa-Réal, pierwszą moją myślą było uciec się do znanych mi środków lekarskich i przy ich pomocy wywołać krótkotrwałe, lecz bardzo silne objawy ciężkiej choroby.

— Chciałeś tu zostać?

— Tak, ojcze.

— Musiały cię do tego skłonić ważne, jak sądzę, przyczyny?

— Ojcze mój, jeśli były ważne, to jedynie dlatego, iż ukazały mi moją słabość. Strach mnie, ojcze, ogarnął na myśl, że znajdę się w murach klasztoru, który był świadkiem niejednej chwili mego zabląkania.

— Mury milczą, mój synu.

— Ojcze czcigodny, ty wiesz, może być tak, iż człowiek, dzisiaj ze wszystkich swoich sił pragnący służyć wierze, wczoraj jeszcze nieświadom wielu rzeczy, ulegał występnyemu myśłom.

— Cóż ci mogę na to powiedzieć, mój synu? Świadomość własnych błędów jest pierwszym i nieodzownym krokiem do ich przewyciężenia.

— Wiem, ojcze. Ale może się również i tak zdarzyć, że ów człowiek nie był w swych występnych myślach osamotniony, dzielił się bowiem nimi z drugim człowiekiem.

— Zło, mój synu, zawsze nieporównanie gorzej niż dobro znosi samotność. Żyje ów człowiek?

— Tak, ojcze. Pamięta o mnie i przysłał mi pozdrowienia.

— Sądzisz, iż ujrawszy cię mógłby rzucić cię na twoje dobre imię i na twoją pobożność?

— Tego nie wiem, ojcze. To jest człowiek zamknięty w sobie i pokorny, jakkolwiek nie we wszystkich sprawach myśli, jak nam nakazuje Kościół.

— Obludny zatem?

— Nigdy mnie, ojcze, do niczego złego nie namawiał. Jeśli ci jednak czynię to wyznanie, to dlatego, iż zdaję sobie sprawę, że będąc tak blisko ciebie postawiony i takim przez ciebie zaufaniem obdarzony, nie powinienem zaniedbać żadnych środków, aby nawet cię szkodliwej i krzywdzącej mnie teraz obmowy mógł na mnie paść. Gdybym tylko do siebie należał, mój ojcze, nie niepokoiłbym się tak o swoje imię.

— Wszyscy, mój synu, służymy sprawie, która wielkością przerasta każdego z nas.

— Dlatego klęczę przed tobą, ojcze. Wyznałem ci wszystko, dopiero przed chwilą ostatecznie zrozumiałem, że moje myśli, zawsze narażone na ułomność i skażenie, nie mogą do mnie jednego należeć. Pojąłem, że tylko w wyznawaniu swych błędów oraz w szukaniu pomocy u przełożonych mogę uchronić od wszelkich niebezpieczeństw i siebie, i swoją wiarę.

— Weź pióro i pergamin — powiedział Torquemada.

Diego podniósł się z klęczek.

— Tak, ojcze.

— Jesteś gotowy?

— Tak, ojcze.

— Pisz zatem: Do wielbnych ojców inkwizytorów arcybiskupstwa Toledo w Villa-Réal. Napisałeś?

— Tak, ojcze.

— My, fray Tomas Torquemada, dominikanin, przeor klasztoru Santa Cruz w Segowii, spowiednik Króla i Królowej, Wielki Inkwizytor królestw Kastylii i Aragonii, zlecamy wam mocą naszego urzędu, aby oskarżony o ciężkie występki przeciw wierze...

— Fray Mateo Dara, dominikanin — powiedział Diego.

— ...fray Mateo Dara, dominikanin, natychmiast został odosobniony w więzieniu Świętej Inkwizycji oraz poddany surowemu śledztwu tak długo, dopóki nie wyjawia swych heretyckich poglądów lub w przypadku uporczywego trwania w kłamstwie nie zostanie uznany za usuniętego po wieczne czasy spośród wiernych przynależących do świętego

Kościół katolickiego. Skończyłeś?

— Tak, ojcze.

— Podaj mi pióro.

Diego, uczyniwszy to, usunął się na bok. Padre Torquemada wyprostowany, z dużej odległości, jak to zwykli czynić ludzie dalekowzroczni, przeczytał podyktowany tekst, po czym szybkim pociągnięciem pióra złożył podpis.

— Ojcze mój — szepnął Diego, znów się pochylając do kolan Torquemady.

Ten położył rękę na jego głowie.

— Wiele miesięcy czekałem na tę chwilę, mój synu.

— Ty, ojcze?

— Wiedziałem, że wcześniej czy później musi nadejść dzień, kiedy ostatecznie, już bez żadnych wahań, zastrzeżeń i wątpliwości, odnajdziesz swoją prawdziwą naturę. I oto dzisiaj ten dzień nadszedł. Bogu niech będą dzięki, mój najukochańszy synu.

Diego, zbyt wzruszony, by móc mówić, bez słowa przypadł ustami do dłoni Torquemady. Czuł się bezgranicznie szczęśliwy, pełen wolności i bezpieczeństwa, jakby nad zamętem, który go dotychczas zewsząd napastował, zatrzasnęły się nagle i na zawsze ciężkie drzwi.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Mijały lata i wśród rozlicznych wydarzeń tego czasu wielkie dzieło jednoczenia Katolickiego Królestwa zwycięsko posuwało się naprzód.

W sierpniu roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego siódmego, w dzień świętej Heleny Cesarzowej, poddać się musiała chrześcijańskim wojskom Malaga, a w niespełna pięć lat później, akurat u samego progu roku dziewięćdziesiątego drugiego, król Ferdynand zdobył po długotrwałym oblężeniu Grenadę. Ostatni pogański skrawek potężnego niegdyś królestwa Maurów przestał na ziemi hiszpańskiej istnieć i współczesny poeta z dumą w pełni usprawiedliwioną mógł zaśpiewać: „Jedna trzoda, jeden pasterz, jedna wiara, jeden król, jeden miecz”.

Istotnie, gdy nadchodził pokój, zdobyty kilkoma wiekami krwawych walk, większą niż dotychczas można było przyłożyć troskę, aby jedność wiary poczęła triumfować na zjednoczonej ziemi. Wprawdzie w minionym roku, z polecenia czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora, wiele tysięcy bezbożnych ksiąg hebrajskich spłonęło na rynkach miast i przed kościołami, również i Święte Trybunały, coraz skuteczniej wspomagane przez policję Świętej Hermandady, z niezmienną czujnością stały na straży czystości wiary, przecież, jakkolwiek tyle czyniono dla chronienia i umacniania prawdy — setki tysięcy nieochrzczonych Żydów wciąż przebywały na hiszpańskiej ziemi, bogacąc się na wyzysku i oszustwach oraz bezkarnie uprawiając swoje wszeteczne praktyki. U samych zatem korzeni należało podciąć zło.

Wkrótce po uroczystym wyjeździe Ich Królewskich Mości do Grenady rozeszły się po kraju pogłoski, że w niedalekim czasie Król i Królowa zamierzają ogłosić edykt skazujący wszystkich Żydów na konfiskatę majątków oraz wygnanie z granic Królestwa. Więści te, jakkolwiek jeszcze niepewne, spotkały się z jak najprzychylniejszym oddźwiękiem w szerokich rzeszach wiernych. Równocześnie bogate rodziny żydowskie, chcąc zapobiec grożącej katastrofie i pozorując swój krok chęcią pokrycia wydatków poniesionych w ostatniej wojnie, wyraziły gotowość zaofiarowania Ich Królewskim Mościom okupu w wysokości trzydziestu tysięcy dukatów. Była to suma ogromna i król Ferdynand, doceniając wagę złota, począł się wahać, czy jej nie przyjąć. Również królowa Izabela uległa skrupułom, bowiem pod wpływem nazbyt wolnomyślicielskich umysłów skłonna była sądzić, iż zamysł wygnania Żydów pozostaje w pewnej sprzeczności z zasadami chrześcijańskiego miłosierdzia. Tak więc, gdy na skutek tych pogłosek niepokój i troska ogarnęły ludzi myślących po bożemu, Żydzi ze swej strony nie tracili nadziei, iż los, który ich przesładował tak rozlicznymi nieszczęściami, oszczędzi im nieszczęścia ostatecznego. Tyle wszakże pokładając zaufania w chwiejności monarchów oraz w potędze złota, nie docenili sił, które dobro prawdy zawsze stawiają najwyżej. W drugiej połowie miesiąca stycznia czcigodny ojciec Torquemada opuścił Toledo i niebawem przybył do Sewilli, gdzie wraz ze swym dworem, szczególnie teraz rojnym i hucznym, bawiły Ich Królewskie Moście.

Żyd

Do odległej, już nieomal zamierchłej przeszłości należały owe czasy sprzed lat zaledwie dwunastu, kiedy pierwsi inkwizytorzy Kastylii, bracia dominikanie, Miguel Morillo<sup>63</sup> i Juan de Saint-Martin, przybywszy do Sewilli, nie mogli znaleźć ludzi niezbędnych dla podjęcia urzędowych czynności i Ich Królewskie Moście musiały wysłać z Medina del Campo nowe pismo wzywające świeckie władze miasta oraz diecezjalne Kadyksu do udzielenia pomocy nowomianowanym dostojnikom. Dymy stosów, które w ciągu minionych lat płonęły na sewilskim *quamadero*<sup>64</sup> częściej i w ilościach większych niż w jakimkolwiek innym mieście, niosły ze sobą, jak się okazywało, moc cudownego oczyszczania ludzkich umysłów i serc.

Nieprzebrane tłumy wyległy na ulice i place witać Wielkiego Inkwizytora. Żołnierze Świętej Hermandady<sup>65</sup> z trudem utrzymywali porządek. Dzień był ciepły i słoneczny. Dzwony kościołów były zarówno w mieście, jak i na przedmieściu Triana, leżącym po drugiej stronie Guadalquiviru<sup>66</sup>. W stronę północnej Puerta del Sol od wczesnego rana ciągnęły z chorągwiami i z feretronami<sup>67</sup> procesje braci zakonnych oraz świeckich księży. Wraz z nimi najznakomitsi panowie i rycerze Andaluzji witali czcigodnego ojca przy murach miasta. Markiz Kadyksu, pan don Alfonso Carlos książę Medina Sidonia pierwszy zeskoczył ze swego rumaka, aby ucałować dłoń czcigodnego ojca.

Niestety pobożne pragnienia wiernych, żeby ujrzeć ojca Inkwizytora w pełnym blasku, nie zostały całkowicie zaspokojone, bowiem ze względu na podeszły wiek i siły coraz bardziej nadwątlone padre Torquemada nie mógł już podróżować rycerskim zwyczajem. Wjechał do miasta we włoskiej karecie zaprzężonej w cztery białe konie, a ponieważ domownicy i rycerstwo ciasno ze wszystkich stron otaczali wolno toczący się pojazd — mało kto spośród tak licznie zgromadzonych tłumów zdołał dojrzeć twarz Wielkiego inkwizytora.

Fray Diego Manente, niedawno mianowany sekretarzem Królewskiej Rady Inkwizycyjnej, towarzyszył czcigodnemu ojcu. Padre Torquemada wydawał się bardzo znużony uciążliwą podróżą i raczej własnymi myślami pochłonięty aniżeli tym, co się działo dookoła, nie okazywał zainteresowania ani uroczystym powitaniem, ani rzeszami pospólstwa oczekującymi od niego błogosławieństwa. Minione lata nie oszczędziły ojca Torquemady. Bardzo się postarzał, zaostrzyły się rysy jego wychudzonej twarzy, skórę na niej, szczególnie na skroniach, miał przeźroczystą i poólkłą, pooraną zmarszczkami, wargi bezkrwiste, a głęboko zapadnięte oczy już bez dawnego blasku, znużone i coraz częściej nieobecne, jak gdyby zwrócone ku sprawom nie tego świata.

Natomiast fray Diego w przeciwieństwie do czcigodnego ojca najżywiej przejęty był uroczystą chwilą. Jego również ubiegły czas znacznie odmienił, lecz ku męskiej dojrzałości, a nie ku kresowi życia posunął. Zmęźniał i przytył, twarz miał nieporównanie pełniejszą niż dawniej, cokolwiek już nalaną i mało co z jego skupionej powagi oraz z pełnego wewnętrznej godności opanowania przypominało młodzieńca, który jeszcze przed kilkoma laty dręczony był gwałtownymi niepokojami.

Orszak Wielkiego Inkwizytora mijał właśnie pałac książąt Cornejo i zbliżał się do kościoła Santa Maria. Dzwony okolicznych świątyń, zwłaszcza od San Marcos, San Julian i z klasztoru sióstr hieronimek Santa Paula, potężnie i wieloma tonami huczały ponad tłumem wznoszącym entuzjastyczne okrzyki na cześć Jezusa i Przenajświętszej Panny Marii. Bracia dominikanie, zdążający w nieskończenie długim dwuszeregu, zaintonowali w tym momencie pobożny hymn i ich śpiew, łącząc się z okrzykami tłumu, szczękami zbroi, tupotem kopyt końskich oraz biciem dzwonów, wysoko ponad tłum i domy się wznosił, zdając się tryumfem wiary sięgać aż nieba rozpostartego w górze ogromnym błękitem.

— Doprawdy — powiedział fray Diego mocnym, męskim głosem — trudno o widok bardziej budujący.

<sup>63</sup>Morillo, Miguel (ok. 1428–ok. 1491) — hiszpański dominikanin, inkwizytor. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>quamadero — miejsce egzekucji dokonywanych przez Świętą Inkwizycję, wybudowane w Sewilli w roku 1481. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Święta Hermandada — służba administracyjno-poborowa zorganizowana przez Izabelę I Kastylijską na bazie istniejących wcześniej bractw miejskich. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Guadalquivir — rzeka w pld. Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>feretron — przenośny obraz religijny w ozdobnych ramach, malowany dwustronnie. [przypis edytorski]

Padre Torquemada podniósł znużone oczy. Tuż przy karocy jechał na ogromnym, czarnym andaluzyjczyku, cały zakuty w zbroję, kapitan familiantów<sup>68</sup>, pan don Lorenzo de Montesa. Jego to było zasługą, iż przed kilkoma miesiącami, podczas dłuższego pobytu w Toledo, wyszły na jaw rozwiązłe stosunki, jakie pan don Rodrigo de Castro utrzymywał potajemnie z pewną dziewczyną żydowską. Zhańbiwszy się tak niegodnie został pan de Castro wyrokiem Świętego Trybunału szlachectwa oraz mienia pozbawiony i na dożywotnie wygnanie skazany, natomiast dowództwo po nim objął pan de Montesa, żaden bowiem spośród szlachetnie urodzonych domowników czcigodnego ojca nie dorównywał mu wiernością oraz czystości obyczajów.

— Spójrz, ojcze — zawołał fray Diego — jak wielką i powszechną cieszysz się u ludzi miłością!

Padre Torquemada cofnął się w głąb karocy.

— Tak — powiedział.

Fray Diego zdążył się już oswoić z milczeniem, które ostatnimi laty coraz częściej wyrastało pomiędzy nim i czcigodnym ojcem. Zrazu w sobie doszukiwał się winy i nie znajdując jej, cierpiał. Od pewnego wszakże czasu dość mocno począł ufać swojej niedostępnej dla wątpliwości wierze, aby niestosowną pokorą gmatwać jasność sądenia. Raczej więc podeszłemu wiekowi czcigodnego ojca przypisywał owe chwile zamyślenia oraz pewne zobojętnienie wobec spraw, które do niedawna nigdy dla niego obojętnymi nie były. Zresztą, mimo lat coraz większym ciężarem kładących mu się na ramiona, padre Torquemada, gdy zachodziła potrzeba działania, zachowywał tę samą co dawniej siłę umysłu i nieugiętą wolę. Głosiła nawet opinia, iż wobec odstępstw od wiary okazywał więcej nieprzejednanej surowości niż dawniej, i jeśli sam ze względu na słabnące siły musiał ograniczać swoje podróże — imię jego, otoczone podziwem i uwielbieniem, a także strachem i zacieklą nienawiścią, istniało i czuwało wszędzie tam, gdzie żył człowiek.

Fray Diego, od wielu lat towarzysząc codziennemu życiu czcigodnego ojca, w większym niż ktokolwiek inny stopniu zdawał sobie sprawę, w jakiej mierze ten wielki starzec swoją, jakby z jednego kruszcu ukształtowaną osobowością przewyższał wszystkich współczesnych.

Tak więc i tym razem padre Torquemada, jakkolwiek wydawał się szczególnie znużonym, nie zawiódł wiary brata Diega.

Ich Królewskie Moście bardzo dobrze się domyślały, co spowodowało przybycie Wielkiego Inkwizytora do Sewilli. Zarówno Król, jak Królowa umieli liczyć, więc nie wątpili, że godząc się na wypędzenie Żydów, uzyskają ze skonfiskowanych majątków sumę wielkocroć przewyższającą ofiarowywany okup. Tym niemniej królowa Izabela, powodowana względami miłosierdzia, gotowa była poprzestać na okupie i tak się już z tą myślą oswoiła, iż część owych żydowskich pieniędzy, które miały wpłynąć do skarbu, przeznaczała na morską wyprawę do Indii Zachodnich, od dawna i uporczywie, jako rokującą ogromne zyski, przedkładaną jej przez genueńczyka, niejakiego Cristobala Columba<sup>69</sup>. Król Ferdynand ze swej strony, mniej od swej małżonki wrażliwy na moralne subtelności spraw politycznych, nie lekceważył wszakże opinii tych doradców, którzy dalej wybiegali myślą w przyszłość, przewidując, że na skutek wygnania ośmiuset bez mała tysięcy Żydów handel Królestwa może doznać poważnego wstrząsu i niemałego z biegiem czasu nadwątlenia. Tak przecież tę sprawę trzeźwo oceniając, nie mógł się równocześnie opędzić trosce, iż małodusznie rezygnuje z wielkiej idei katolickiego państwa, owej wyższymi racjami natchnionej myśli, która zarówno jemu, jak i Królowej przyświecała od chwili objęcia tronu połączonych królestw. W takiej to rozterce odkładał z dnia na dzień ostateczną decyzję, a ponieważ oczywistym było dla niego, czego się zechce domagać padre Torquemada — źle przyjął wiadomość o jego przyjeździe.

Chłód, z jakim obie Ich Królewskie Moście przyjęły czcigodnego ojca, był szczególnie rażący w porównaniu z entuzjazmem, który towarzyszył jego wjazdowi do miasta.

Padre Torquemada wsparty na ramieniu brata Diega, trudno mu już bowiem było, szczególnie po tak uciążliwej podróży, poruszać się samemu, powiedział na powitanie:

<sup>68</sup>*familiant* (z łac.) — domownik (tu: stanowisko w Świętej Inkwizycji). [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Kolumb Krzysztof* (1451–1506) — włoski żeglarz i podróżnik, dowódca i organizator czterech wypraw morskich, finansowanych przez Izabelę I Kastylijską, a mających na celu znalezienie drogi morskiej do Indii; w ich trakcie odkrył Haiti i Amerykę, oraz założył miasto Santo Domingo. [przypis edytorski]

— Cieszę się, że widzę Ich Królewskie Moście w zdrowiu, a przede wszystkim w chwale tak upragnionego przez cały naród zwycięstwa.

Na to rzekła Izabela:

— Istotnie, *tych* naszych pragnień wysłuchał Bóg.

Padre Torquemada milczał chwilę, jak gdyby znalezienie właściwych słów sprawiało mu nadmierny trud. Wreszcie powiedział:

— Myślę, że i wszystkie inne słuszne pragnienia Waszych Królewskich Mości zostaną spełnione.

Wówczas król Ferdynand zaczął mówić głosem, który rwał mu się na skutek gniewu i zadyszki:

— Słuszne? Niestety, w niektórych sprawach, mój ojcze, różnimy się w ocenie, co jest, a co nie jest słuszne. Skargi na ciebie, czcigodny ojcze, do nas dochodzą. Twoja nieopatrzna surowość kłopotów nam przyczynia. Nie dalej jak przed paroma dniami otrzymałem *breve*<sup>70</sup> Ojca świętego, Aleksandra. Pan papież jest zgorszony i oburzony procesem, który dzięki tobie wszczęto przeciw arcybiskupowi Sewilli. Oskarżyłeś Jego Eminencję o żydowskie pochodzenie, nie mając, jak się okazuje, dostatecznych po temu dowodów. Pan papież czyni nam wyrzuty, że dopuściliśmy do podobnego zgorszenia. Co mam panu papieżowi odpowiedzieć? Jak się mam tłumaczyć?

Padre Torquemada, wciąż wsparty o ramię brata Diega, w milczeniu słuchał królewskich oskarżeń. Skoro wszakże Król, zmęczony swym wybuchem, umilkł, aby zaczerpnąć oddechu — czcigodny ojciec wyprostował się i postąpił krok naprzód.

— Wybaczą Wasze Królewskie Moście — powiedział nadspodziewanie mocnym głosem — lecz nie w sprawie arcybiskupa przybyłem. Prawdą jest, co głoszą plotki, że nieochrzczeni Żydzi mają w Królestwie pozostać?

Królowa Izabela zarumieniła się, natomiast Król spode łba spojrział na stojącego przed nim starca.

— Tak — powiedział — taka jest nasza wola.

Na to zawołał Torquemada:

— Dobrze więc, niech się stanie wasza wola i niech się dowiedzą wszystkie chrześcijańskie kraje, jak tu, w Katolickim Królestwie, zasady wiary są szanowane. Jezus już raz jeden został sprzedany za trzydzieści srebrników. Wasze Królewskie Moście chcą sprzedać Jezusa po raz drugi za trzydzieści tysięcy dukatów.

Król Ferdynand drgnął i szeroko rozwartymi ustami zaczerpnął oddechu.

— Ojcze, mówisz do Królowej i Króla.

Padre Torquemada jeszcze krok bliżej postąpił i ująwszy srebrny krzyż stojący obok na stole, podniósł go do góry.

— Oto Jezus! Weźcie go i sprzedajcie.

Nazajutrz królewska kancelaria ogłosiła edykt, który heroldowie natychmiast poczęli odczytywać na placach miasta. Głosił zaś ów edykt, że z woli los Reyes Catolicos<sup>71</sup> wszyscy nieochrzczeni Żydzi, pod groźbą najsurowszych kar i pozostawiając całe swoje mienie, mają w ciągu trzech miesięcy opuścić na zawsze hiszpańską ziemię.

Również tego samego dnia, nie uprzedzając zawczasu ani Dworu, ani najbliższego otoczenia, wyjechał z Sewilli padre Torquemada. Czcigodny ojciec dopiero pod wieczór zawezwał pana de Montesa, komunikując mu swoją decyzję natychmiastowego wyjazdu do Segowii.

Niebawem zbrojny regiment, otaczający karocę Wielkiego Inkwizytora, wyruszył z klasztoru Santa Clara, a ponieważ mrók już był, pacholkiwie musieli pochodniami oświetlać drogę wśród pustych i uśpionych ulic. Minąwszy miejskie mury przy Puerta del Sol<sup>72</sup> oddział domowników ruszył traktem na Kordobę<sup>73</sup>.

Noc była gwiaździsta, bezwietrzna, bardzo spokojna i co najważniejsze zapowiadała się na jasną, ponieważ w głębi ciemności, w poblasku łuny, wschodził wielki, rudy księżyc.

Padre Torquemada milczał, lecz nie wydawał się sennym. Coraz mniej potrzebował ostatnio wypoczynku i zazwyczaj wiele godzin nocnych, a czasem i wszystkie aż do świtu,

<sup>70</sup>*breve* (łac.) — dokument papieski niższej rangi niż bulla. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*los Reyes Catolicos* (hiszp.) — katolicy królowie; tu: katolicka para królewska. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Puerta del Sol* (hiszp.) — brama słońca. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Kordoba* — miasto w pld. Hiszpanii, w Andaluzji. [przypis edytorski]

spędzał na samotnym czuwaniu. Zrazu fray Diego chciał swoją przytomnością dotrzymać towarzystwa czcigodnemu ojcu, lecz niebawem znużenie oraz monotonne kołysanie karocy zmożyły jego dobrą wolę.

Noc powoli się rozjaśniała wschodzącą poświatą, zgaszono pochodnie i zbrojny orszak, wśród równego tętentu koni, szybko się posuwał po gładkiej, coraz wyraźniej się wylaniającej z mroku równinie. Fray Diego, z głową wspartą na ramieniu, głośno pochrapywał. Natomiast padre Torquemada wciąż siedział wyprostowany i tylko od czasu do czasu, jak gdyby marzył, podciągał pod szyję płaszcz.

Północ już musiała dochodzić, a może i minęła, gdy naraz<sup>74</sup> padre Torquemada poruszył się niespokojnie, i głośno, jakby odpowiadał komuś, z kim prowadził rozmowę, powiedział:

— A jeśli pomyłką jest to wszystko?

Fray Diego ocknął się natychmiast.

— Wołałeś mnie, ojcze? — spytał.

Torquemada odpowiedział po chwili:

— Nie, mój synu. Śpij spokojnie.

#### ROZDZIAŁ PIĄTY

Pisze autor wspomnianej kilkakrotnie kroniki:

„W pierwszej połowie września roku pańskiego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego, a zatem w szesnastym roku sprawowania swego urzędu, zaś lat sobie licząc siedemdziesiąt i osiem, Wielki Inkwizytor królestw Kastylii i Aragonii, czcigodny ojciec Tomas Torquemada, przybywszy do miasta Toledo, obłożnie zaniemógł.

Współcześni, jak najbardziej wiarygodni świadkowie, szczególnie najbliższy powiernik Wielkiego Inkwizytora, sekretarz Królewskiej Rady Inkwizycyjnej, wielbny ojciec Diego Manente, dominikanin, w późniejszym czasie inkwizytor Saragossy, zaś w owych szczęśliwych latach, gdy te słowa o niedawnych wydarzeniach historycznych wiernie dla pomnożenia chwały bożej spisujemy, Wielki Inkwizytor Katolickiego Królestwa, jednomyślnie stwierdzają, iż pomimo podeszłego wieku oraz nadwątłego zdrowia czcigodny ojciec postanowił narazić siebie na trudy podróży z Valladolid do Toledo li tylko w tym celu, żeby osobiście wyjaśnić i w pełnym świetle katolickiej wiary ukazać zawiłą sprawę niejakiego Lorenza Pereza, rzemieślnika z Burgillos.

Jeśli więc mąż tak pobożny i znakomity przykładał do tej sprawy tyle znaczenia, i my nie możemy jej zbyć kilkoma słowami, na słuszny bowiem mogliśmy się narazić zarzut, iż uwiedzeni blaskiem zewnętrznych pozorów gonimy tylko za sławnymi wypadkami, pomijając lekkomyślnym milczeniem to wszystko, co w zdarzeniach mniej świetnych świadczy o wielkości nieprzemijających prawd. Tyle zatem procesowi Lorenza Pereza słów poświęcimy, ile tego służba w słodkich okowach wiary wymaga.

Ów Lorenzo Perez, mężczyzna lat trzydziestu ośmiu, w czasie, o którym opowiadamy, został uwięziony i postawiony przed Świętym Trybunałem w Toledo, a to z tej racji, iż z bezwstydną jawnością, cechującą zatwardziały herezyków, szerzył bezbożne poglądy, jakoby nie istniały żadne diabły, demony oraz inne istoty piekielne, które zdolne by były zawiadnąć ludzką duszą.

Czcigodny ojciec Torquemada, otrzymawszy do wglądu zeznania oskarżonego, uznał nie tylko za wskazane, lecz nawet za konieczne osobiście rzecz na miejscu zbadać i jakkolwiek najbliższe otoczenie, a — jak twierdzą świadkowie — nawet Ich Królewskie Moście odradzali mu podróż równie uciążliwą, zdecydował się na nią, dając tym postanowieniem przykład ofiarności, jakiej każdy z nas nie powinien szczędzić dla potrzeb wiary.

<sup>74</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]



Według zgromadzonych przez nas świadectw, wiernie za zezwoleniem zwierzchności kościelnej odpisanych z sądowych protokołów Świętej Inkwizycji, wymieniony Lorenzo Perez zeznał przed Świętym Trybunałem dosłownie, co następuje:

«Doświadczyłem w moim życiu i to od najwcześniejszego dzieciństwa tak wielu zgryzot i nieszczęść, że gdy mój los począł mi się już wydawać ponad wszelką miarę godny pożałowania, wezwałem w chwili rozpaczyci diabła, aby dopomógł mi w niedoli, ofiarowując mu w zamian swoją duszę. Wzywałem go kilkakrotnie, lecz nadaremnie. Diabeł nie zjawiał się. Zwróciłem się zatem do pewnego ubożego człowieka, który uchodził za czarownika. Powiedział mi, że zaprowadzi mnie do jednej kobiety obrotniejszej niż on w czarach, chodziły bowiem o niej słuchy, iż przybierając postać czarnego kozła, potrafiła w nocy księżycowe zwabiać na pustkowia młodych chłopców, po czym ci po bezwstydnym wpród obnażeniu się, również za jej przyczyną w czarne capy przemienieni, natarłszy sobie ciała wydzielinami ropuchy i kruka, społem uczestniczyli w bluźnierczym nabożeństwie zwanym czarną mszą. Poszedłem do tej kobiety. Poradziła mi, żebym przez trzy dni z rzędu chodził poza wieś na wzgórze San Esteban i wzywał Lucyfera, wołając: „Aniele Światłości!”, bluźniąc Trójcy Świętej oraz religii chrześcijańskiej. Uczyniłem wszystko, co mi ta kobieta kazała. Nic nie zobaczyłem. Wtedy poradziła mi, żebym wyrzucił różaniec, szkaplerz, a także żebym własną krwią napisał cyrograf. I to także uczyniłem. Ale diabeł nie zjawił się. Wyczerpawszy zatem wszystkie możliwości zacząłem myśleć, że gdyby istniały diabły i gdyby było prawdą, że walczą o ludzkie dusze, to trudno byłoby dla nich o okazję piękniejszą, ponieważ istotnie bardzo szczerze pragnąłem swoją duszę zaprzedać Lucyferowi».

Diabeł

Trudno w tym miejscu nie zawołać chrześcijaninowi: Boże wszechmogący, czyż można opętaniu przez demona wystawić świadectwo bardziej wiarygodne nad to przytoczone? Zaprawdę, na tym się przede wszystkim diabelskie sprawki zasadzają<sup>75</sup>, iż opętaniu odjęta zostaje zdolność rozpoznania nieprzyjaciela.

Takie przecież przewrotne igraszki wyczyniając z ciemnym rzemieślnikiem, skapitulować musiał Szatan wobec przenikliwej mądrości czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora.

Wiadomą było powszechnie rzeczą, że ojciec Torquemada rzadko kiedy osobiście badał heretyków oskarżonych o przestępstwa przeciw wierze, bowiem pobożność, rozległa wiedza teologiczna oraz głęboka znajomość ludzkiej natury były w nim tak mocno ugruntowane, iż mógł sobie wyrobić właściwy sąd o każdej sprawie tylko na podstawie aktu oskarżenia. Mało kto w tak doskonałym stopniu, co on, posiadał rozeznanie, iż nadmiar szczegółów może jedynie zaciemnić obraz przestępstwa, również i to jego umysł cechowało, iż nie zapominał, że grzech, choćby najbłaższy, nigdy nie bywa odosobniony i tam, gdzie się rodzi jeden występki — musi ich być więcej. W tym wszakże wypadku ojciec Torquemada odstąpił od swoich zwyczajów i nie zważając na ciężki stan zdrowia ani nie szczczędząc wielkiego wysiłku umysłu, osobiście przewodniczył Świętemu Trybunałowi, sam zadając pytania, aby mimo oporów oskarżonego dotrzeć do sedna prawdy.

Było naszym pierwotnym zamysłem własnymi słowami opowiedzieć przebieg tego posiedzenia Świętego Trybunału, w porę jednak zostaliśmy przez Ducha Świętego oświeceni, aby temu, co jest natchnione wyższą mądrością, nie przeciwstawiać osobistych ambicji, łatwo przy podobnym zmierzeniu sił spelzających do pospolitego niedołęstwa. Zatem prawdziwie służąc, jej oddajmy głos.

<sup>75</sup>zasadzać się na czymś (daw.) — opierać się na czymś. [przypis edytorski]

Według udostępnionych nam protokołów Lorenzo Perez stanął przed Świętym Trybunałem ósmego września roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego, w obecności czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora, ojców inkwizytorów Świętego Officium w Toledo, wielbnego ojca Diega Marente, sekretarza Królewskiej Rady Inkwizycyjnej, oraz pisarzy, braci dominikanów, imieniem Nicolas i Pascual.

Czcigodny ojciec Torquemada pytał, zaś Lorenzo Perez odpowiadał, co następuje:

T. — Niech oskarżony szczerze i niczego nie zatajając opowie Świętemu Trybunałowi o swoich grzechach.

P. — (milczy)

T. — Czy oskarżany zna akt oskarżenia?

P. — Tak, Wasza Miłość.

T. — Czy oskarżony przyznaje się do winy?

P. — Przyznaję się, Wasza Miłość, że wzywałem diabła, który się nie zjawił.

T. — Nie pytam, kogo oskarżony wzywał, lecz czy oskarżony przyznaje się do winy?

P. — Nie, Wasza Miłość.

T. — Czy oskarżony uważa się za chrześcijanina?

P. — Tak.

T. — Czy oskarżony uważa, że przynależy do rzymskiego Kościoła Katolickiego?

P. — Tak, Wasza Miłość.

T. — Czy oskarżany zna prawdy podane przez Kościół wiernym do wierzenia?

P. — Wasza Miłość, jeśli istnieje diabeł, to dlaczego nie wziął mojej duszy, przecież dobrowolnie chciałem mu ją ofiarować.

T. — Pytam, czy oskarżony zna prawdy podane przez Kościół wiernym do wierzenia?

P. — Jestem prostym człowiekiem, Wasza Miłość.

T. — Oskarżony zeznał, że nie wierzy w istnienie Szatana oraz diabłów. Czy oskarżony podtrzymuje to zeznanie?

P. — Wasza Miłość, przysięgam, że diabeł naprawdę nie zjawił się po moją duszę.

T. — A zatem oskarżony podtrzymuje swoje zeznanie?

P. — Tak, Wasza Miłość.

T. — Oskarżony powiedział przed chwilą, że jest prostym człowiekiem.

P. — Jestem nim, Wasza Miłość.

T. — A więc swego twierdzenia, że Szatan nie istnieje, nie opiera oskarżony na studiach?

P. — Nie, Wasza Miłość.

T. — Na czym wobec tego oskarżony opiera to swoje twierdzenie?

P. — Wasza Miłość, przysięgam, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Niczego nie zatailem.

T. — Niech oskarżony uważa. Pytam, na czym oskarżony opiera swoje twierdzenie, że Szatan nie istnieje i istoty piekielne nie mają zgubnego wpływu na ludzkie dusze.

P. — (milczy)

T. — Oskarżony powołuje się na swoje doświadczenie. Może więc zdrowy rozsądek podyktował oskarżonemu przekonanie, iż Szatan nie istnieje?

P. — Tak jest, Wasza Miłość.

T. — Święty Trybunał zgodnie z nauką Kościoła wierzy w istnienie Szatana oraz w jego zgubny wpływ na ludzkie dusze. Czy oskarżony uważa, że Święty Trybunał jest pozbawiony zdrowego rozsądku?

P. — (milczy)

T. — Dlaczego oskarżony nie odpowiada?  
P. — Nie wiem, Wasza Miłość. To przerasta mój rozum. Ja wiem tylko, że wzywałem diabła, chciałem mu zaprzedać duszę i on się nie zjawił, więc go chyba nie ma.  
T. — Czy według oskarżonego istnieje na świecie zło?  
P. — O tak, Wasza Miłość! Dużo jest zła.  
T. — Czy oskarżony zaznał w swoim życiu zła?  
P. — Tylko zła, Wasza Miłość, zaznałem, niczego innego.  
T. — Oskarżony nadal podtrzymuje swoje twierdzenie, że Szatan nie istnieje?  
P. — Gdyby istniał, Wasza Miłość...  
T. — Pytam, czy oskarżony podtrzymuje swoje twierdzenie, że Szatan nie istnieje?  
P. — Podtrzymuję, Wasza Miłość.  
T. — Jeśli więc Szatan nie istnieje, kto według oskarżonego jest sprawcą zła na ziemi?  
P. — (milczy)  
T. — Czy oskarżony wierzy w Boga, Stworzyciela nieba i ziemi?  
P. — Jakżeżbym mógł nie wierzyć, Wasza Miłość?  
T. — Zatem według oskarżonego Bóg wszechmogący stworzył zło na ziemi?  
P. — Ja tego nigdy nie powiedziałem, Wasza Miłość, przysięgam.  
T. — Oskarżony wciąż podtrzymuje swoje twierdzenie, że Szatan nie istnieje?  
P. — Wasza Miłość, jeśli się nie zjawił...  
T. — Jest Szatan czy go nie ma?  
P. — Wasza Miłość, Bóg nie stworzył zła.  
T. — Święty Trybunał daje wiarę oskarżonemu, iż ten szczerze odżegnuje się od bluźnierczej myśli, jakoby Bóg mógł być sprawcą zła na ziemi.  
P. — Dziękuję, Wasza Miłość.  
T. — Czym poddanym jest oskarżony?  
P. — (milczy)  
T. — Czy Ich Królewskich Mości Katolickich, króla Ferdynanda i królowej Izabeli?  
P. — Tak, Wasza Miłość.  
T. — Kto w Królestwie Katolickim stanowi prawa?  
P. — (milczy)  
T. — Królewski Majestat?  
P. — Tak, Wasza Miłość.  
T. — I kto jeszcze?  
P. — (milczy)  
T. — Kościół Katolicki?  
P. — Tak, Wasza Miłość.  
T. — Oskarżony zeznał, że według jego jak najbardziej świadomego rozeznania wszelkie prawa w Katolickim Królestwie stanowione są przez Królewski Majestat oraz Kościół Katolicki. Czy oskarżony potwierdza to?  
P. — Tak, Wasza Miłość.  
T. — Święty Trybunał stwierdza, iż w świetle swoich dotychczasowych zeznań oskarżony jawnie się przyznał do buntu przeciw najwyższej władzy świeckiej i duchownej.  
P. — Wasza Miłość, ja buntownikiem? Nie jestem buntownikiem!  
T. — Święty Trybunał opiera się na zeznaniach oskarżonego i nie daje w tej chwili wiary jego głośnym zaprzeczeniom. Oskarżony stwierdził, że na ziemi istnieje zło? Oskarżony przyznał, że sam wiele zła doświadczył?  
P. — Tak, Wasza Miłość, powiedziałem to.

Zło

T. — Nie Szatan zdaniem oskarżonego jest sprawcą zła, ponieważ Szatan według oskarżonego nie istnieje. Boga wszechmogącego również oskarżony nie obwinia o zło na ziemi. Któż zatem według oskarżonego może być sprawcą zła, jeśli nie ci, którzy stanowią prawo?

P. — (milczy)

T. — Święty Trybunał stwierdza, że oskarżony Perez, obwiniony o ciężki grzech herezji i odstępstwa od zasad wiary katolickiej, ujawnił w czasie śledztwa szczególnie buntownicze myśli, twierdząc, że za zło istniejące na ziemi jedyną i wyłączną odpowiedzialność ponosi władza świecka oraz duchowna.

P. — Wasza Miłość, przysięgam, że nigdy tak nie myślałem.

T. — Zatem Święty Trybunał kłamie?

P. — (milczy)

T. — Zarzucając Świętemu Trybunałowi kłamstwo, oskarżony potwierdza własne zeznania o swoich buntowniczych zamysłach.

P. — Wasza Miłość, przyznaję się!

T. — Do czego oskarżony przyznaje się?

P. — Zbłądziłem, Wasza Miłość, dałem się zwieść swojej głupocie i nieświadomości, ale przysięgam, że nie jestem buntownikiem i nigdy nim nie byłem. Wierzę w istnienie Szatana, on jest sprawcą wszystkiego zła.

T. — Święty Trybunał nie ma żadnych podstaw, aby wierzyć w szczerść tego zeznania. Czy oskarżony wie, że bunt przeciw Królewskiemu Majestatowi karany jest śmiercią?

P. — Wiem, Wasza Miłość, ale ja nie jestem buntownikiem. Zbłądziłem, przyznaję się. Wielki to mój grzech. Wierzę w Szatana i on jest sprawcą zła.

T. — Święty Trybunał nie może dać wiary oskarżonemu, ponieważ jego obecne zeznanie podyktowane zostało nie tyle przez szczerą skruchę, ile przez uświadomienie sobie kary, która go czeka. Jedno może oskarżonego uratować, wyznać Świętemu Trybunałowi pełną prawdę.

P. — Boże wielki, mówię prawdę!

T. — Niech oskarżany przestanie się bać. Święty Trybunał po to jest, żeby błędzących wyprowadzać na proste drogi. Niestety Święty Trybunał nie może oskarżonego uratować, jeśli oskarżony sam się uratować nie chce. Niech oskarżony wyzna pełną prawdę.

P. — Uczynię to, Wasza Miłość.

T. — Łaska Boga miłosiernego jest nieograniczona. Niech oskarżony wyjawi Świętemu Trybunałowi imiona i nazwiska ludzi, z którymi spiskował przeciw Ich Królewskim Mościom oraz Kościołowi.

P. — Boże!

T. — Przypominam oskarżonemu, że wzywianie imienia boskiego nie jest zeznaniem, ma które cierpliwie czeka Święty Trybunał.

P. — Wasza Miłość, ojcowie dostojni, nigdy nie należałem do żadnego spisku.

T. — Niech oskarżony sięgnie do swojej pamięci.

P. — Przysięgam, nigdy nie spiskowałem, jestem prostym człowiekiem. Czego chcecie ode mnie?

T. — Prawdy.

P. — Szatan jest sprawcą zła.

T. — Kto wraz z oskarżanym należał do spisku przeciw Ich Królewskim Mościom i Kościołowi?

P. — Nie należałem do żadnego spisku, Wasza Miłość. Błagam, uwierzcie mi. Zbłądziłem, Szatan mnie opętał, to on mnie w to wszystko uwikłał.

T. — Święty Trybunał, powodując się jedynie troską o duszę oskarżanego, chętnie uwierzy oskarżonemu.

P. — Dziękuję, Wasza Miłość.

T. — Wpierw jednak musi oskarżony udowodnić swoje zeznanie.

P. — Nie rozumiem, Wasza Miłość.

T. — Oskarżony twierdzi, że nie żywił żadnych myśli buntowniczych oraz nie należał do żadnego spisku przeciw władzy świeckiej i duchownej. Jakie dowody może ma to oskarżony złożyć?

P. — Jestem niewinny, Wasza Miłość!

T. — Niechże więc oskarżony złoży dowody swojej niewinności.

P. — Wasza Miłość, przysięgam, że w całym moim życiu ani przez jedną chwilę nie powstała we mnie jakkolwiek buntownicza myśl.

T. — Przed chwilą oskarżony dobrowolnie zeznał, iż najwyższe władze państwa i Kościoła winne są zła tak obficie pleniącego się na ziemi.

P. — Szatan opętał mnie, Wasza Miłość.

T. — Jeszcze raz powtarzam oskarżonemu, że Święty Trybunał niczego tak nie pragnie, jak dać oskarżonemu wiarę. Niechże więc oskarżony w trosce o zbawienie swojej duszy udowodni Świętemu Trybunałowi, iż rzeczywiście nigdy nie żywił buntowniczych myśli i nie należał do żadnego spisku.

P. — Na mękę Pana naszego, Jezusa Chrystusa, przysięgam, że jestem niewinny.

T. — Czy to jest jedyny dowód niewinności, jaki oskarżony chce złożyć?

P. — Cóż więcej mogę, Wasza Miłość?

T. — Na to pytanie sam oskarżony musi odpowiedzieć.

P. — (milczy)

T. — Czy milczenie oskarżonego oznacza, że oskarżony odmawia złożenia Świętemu Trybunałowi przekonywających dowodów swojej niewinności?

P. — Ja nie odmawiam, Wasza Miłość, ale chyba tylko jeden Bóg może zaświadczyć o mojej niewinności.

T. — Święty Trybunał z ubolewaniem stwierdza, że oskarżony mimo kilkakrotnych wezwań uporczywie odmawia złożenia dowodów, iż nigdy w stosunku do władzy świeckiej i duchownej nie żywił buntowniczych myśli i nie należał do spisku mającego na celu obalenie przemocą porządku panującego w Królestwie. Tak więc oskarżony w sposób jak najbardziej oczywisty wystawia świadectwo swoim przestępstwom. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż wszelkie prawo stanowione przez Królewski Majestat ma na celu doczesne dobro wszystkich poddanych, natomiast Kościołowi Świętemu powierzona została przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, dbałość o zbawienie ludzkich dusz. Oskarżony ze szczególnie uporczywą przewrotnością usiłuje potargać ten porządek naturalny i nadprzyrodzony, pomawiając obydwie o sprawianie zła, które na ziemi istnieje. Mimo to Święty Trybunał nie rezygnuje z troski o duszę oskarżonego i jeszcze raz pomawia swoją próbę: niech oskarżony wyzna pełną prawdę. Oskarżony, jak sam to zeznał w pierwszym śledztwie, nie szczędził energii i wysiłków, gdy chodziło mu o przywołanie Szatana. Potwierdza to oskarżony?

P. — Tak, Wasza Miłość, chodziłem do tej kobiety, pomawianej o czary, ponieważ naprawdę chciałem zaprzedać swoją duszę.

T. — A później, gdy oskarżony już się przekonał, że Szatan jakoby nie istnieje, z kim oskarżony dzielił się swymi wątpliwościami?

P. — Nie pamiętam już, Wasza Miłość.

T. — Z tak więc wielką ilością ludzi rozmawiał oskarżony na ten temat?

P. — (milczy)

T. — Święty Trybunał wierzy oskarżonemu, iż w tej chwili rzeczywiście nie dopisuje mu pamięć. Pragnąc dopomóc oskarżonemu i pozostawić mu pewien czas do namysłu, Święty Trybunał odkłada dalsze śledztwo do dnia jutrzejszego.

Nazajutrz, dnia dziewiątego września, w przytomności<sup>76</sup> tego samego co uprzednio Świątego Trybunału, Lorenzo Perez zeznawał, jak następuje:

T. — Świąty Trybunał dalej prowadzi śledztwo w sprawie Lorenza Perea, oskarżonego o szerzenie poglądów niezgodnych z naukami Kościoła oraz o udział w rozległym spisku, który miał za cel obalenie przemocą istniejących w Królestwie Katolickim władz świeckich i duchownych. Czy oskarżony chce uzupełnić swoje dotychczasowe zeznania?

P. — Tak, Wasza Miłość.

T. — Świąty Trybunał słucha oskarżonego.

P. — Wasza Miłość, ojcowie wielebni, dziękuję, że dajecie mi jedyną i ostatnią okazję, abym mógł nie tyle zmazać moje ciężkie przewinienia, ile przez ujawnienie ich w pełnym świetle ukazać całą ich potworność. Gdyby modlitwy człowieka tak występnego, jak ja, mogły coś znaczyć u Boga, modliłbym się za was, ojcowie wielebni, ponieważ choć tak nisko upadłem i w takie nieprawości się pogрузyłem, wy mi podaliście pomocną dłoń, ułatwiając mi zrozumienie moich nikczemnych zbrodni. Nie śmiejąc wszakże kłaść tronu boskiego moim niegodnym głosem, muszę ku ostrzeżeniu wszystkich tych, którzy by jak ja w ciemności zła chcieli się kiedykolwiek pogрузyć, wyznać z całą pokorą i skrucą swoje grzechy. Rzeczywiście wielu zgryzot i trudności zaznałem w moim życiu, wszelakoż ogarnięty zarozumiałstwem i pychą zamiast bezgranicznie ufać miłosierdziu Bożemu i w skromności ducha znosić swój los, o zbawienie duszy przede wszystkim się troszcząc — potargałem nikczemnie swoje związki z naukami Kościoła, siebie ponad jedyną prawdę wyniosłem i takimi to buntowniczymi myślami zbrukany i zatruty począłem szukać przymierza z Szatanem, nie rozumiejąc, że odrywając się od społeczności wiernych i własnym bluźnierczym myśłem folgując<sup>77</sup>, już jestem w wieczystej mocy podstępного wroga. Pojmuję teraz, wielebni ojcowie, że na moje wezwania Szatan nie potrzebował się zjawiać, ponieważ ja się już dobrowolnie oddałem w jego ręce. Nie na tym się jednak kończą moje winy. W kłamliwych wykrętach i wybiegach usiłowałem dotychczas szukać dla siebie ratunku, teraz wszakże, przez was, wielebni ojcowie, oświecony, widzę, że tylko bezgranicznie szczere wyznanie prawdy może mnie doprowadzić do jedynego ratunku, jaki dla mnie istnieje, to jest do poniesienia kary, na którą ze wszelkich względów ludzkich i boskich zasłużyłem, Zawierzywszy Szatanowi, jego tylko diabelskimi drogami mogłem dalej zdążać, jedno bowiem popełniwszy przestępstwo — w dalsze coraz to potworniejsze musiałem popadać. Sam w rękach Szatana, szerzyłem nieczyste poglądy, jakoby on nie istniał i duszom ludzkim nie zagrażał, siałem więc zamęt i zarzę w umysłach, podważałem zasady wiary, prawdzie kłam zadawałem. Świadomy wszelako teraz nienasyconej żarłoczności zła widzę, że i na tym nie poprzestałem, bowiem na skutek sprzymierzenia się z diabelskimi mocami chęć czynienia zła owładnęła mną całkowicie i z tych to przyczyn, coraz większą nienawiścią dobra miotany i niepomny, co sam, nędzny robak, zawdzięczam Królewskiemu Majestatowi oraz Kościołowi, wszedłem na drogę jawnego buntu przeciw najwyższym władzom Królestwa, upodobił się w ten sposób do wuzutego z wszelkiej czci i wiary zbrodniarza, który podnosi świętokradczą rękę na ojca swego i na matkę swoją. Takimi więc strasznymi przestępstwami obciążony, nie zasługuję, wielebni ojcowie, na żadną litość i jeśli o cokolwiek śmiem was błagać, to jedynie o karę jak najbardziej surową, aby ona i mnie samemu dopomogła z grzechów się oczyścić, i dla wszystkich żyjących była sprawiedliwym zadośćuczynieniem za zło przeze mnie wyrządzone.

T. — Czy oskarżony może wymienić nazwiska osób, które wciągnął do spisku?

<sup>76</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>folgować — nie ograniczać, pozwalać (sobie) na coś. [przypis edytorski]

P. — Tak jest, Wasza Miłość, jestem gotowy wymienić nazwiska wszystkich ludzi, którzy za moim poduszczeniem przynależeli do tego zbrodniczego przedsięwzięcia, ponieważ tylko w ten sposób mogą ocalić ich dusze od wiecznego potępienia.

T. — Święty Trybunał słucha oskarżonego.

Rejestr zbrodniarzy ujawnionych przez Lorenza Pereza obejmuje kilkudziesięciu ludzi, mężczyzn, młodzieńców i kobiet zamieszkałych w samym Burgillos, bądź w jego okolicach, nie wydaje się nam przeto rzeczą konieczną wymienianie ich, bowiem o doniosłości samej sprawy raczej swoją ilością świadczą niż poszczególnymi imionami, niewiele mówiącymi wczoraj, a jeszcze mniej dzisiaj.

Jedno wszakże nazwisko spośród zdemaskowanych buntowników godzi się dla pouczenia wymienić, a mianowicie pohańbione imię księdza Miguela Vargasa, proboszcza w Burgillos, który spowiednikiem będąc Lorenza Pereza, wykazał przy pełnieniu swych obowiązków karygodną ślepotę i na nie mniejsze potępienie zasługujący zanik czujności wobec zła.

Sprawa Lorenza Pereza, tak dogłębnie zbadana i do samych swych korzeni obnażona przez czcigodnego ojca Wielkiego Inkwizytora, aczkolwiek tylko wśród pospolitych ludzi się dziejąca, stanowi przecież świadectwo szczególnie wymowne, do jak ciężkich zbrodni prowadzić musi wszelkie odstępstwo od zasad wiary. Ze wszystkich stron otaczają nas przewrotne diabelskie moce, czyhając niecierpliwie, aby z każdej ludzkiej słabości, a nade wszystko z niepokromionej pychy umysłu wyciągnąć dla siebie korzyści. Wielkim polem bitewnym jest ten padół ziemski, lecz że jedna tylko prawda objawiona została rodzajowi ludzkiemu — przy niej się skupiając i jej służąc, żywić możemy nieugiętą wiarę, iż wszelkim wrogim zakusom oprą się mury Niebiańskiej Fortecy, zaś nieprzyjaciel w swej bezsilnej złości dozna ostatecznej klęski.

Abym zaś skończył rzecz o procesie Lorenza Pereza, dodać jeszcze musimy z kronikarskiego obowiązku, że już w miesiącu marcu, na dzień świętego Józefa, wszyscy pobożni mieszkańcy miasta Toledo mieli możliwość uczestniczenia w podniosłej uroczystości, w czasie której heretyk i buntownik Lorenzo Perez oraz liczni współnicy jego zbrodni oddani zostali oczyszczającym płomieniom. Ci, których obciążały przewinienia pomniejsze, również i kary ponieśli mniej surowe, zostając skazani na wieloletnie galery lub pokuty kościelne i pieniężne restrykcje, w każdym wszelako wypadku na utratę czci oraz zakaz sprawowania urzędów aż do trzeciego pokolenia.

Ciesząc się z tak pełnego zwycięstwa sprawiedliwości, nie podobna nam wszakże nie wyrazić żalu, iż Ten, który w tak decydującej mierze przyczynił się był do wyświecenia prawdy, nie ujrzał jej ostatecznego tryumfu.

Nazajutrz po ukorzeniu się Lorenza Pereza przed Świętym Trybunałem czcigodny ojciec Torquemada ciężko zaniemógł i jakkolwiek lekarze oraz najbliższe otoczenie ukrywali przed nim powagę sytuacji — on sam, wiedziony niezawodnym przeczuciem zbliżającej się śmierci, zapragnął w rodzinnym Avila oddać Bogu ducha. Nikt się nie odważył sprzeciwić temu żądaniu umierającego.

Przeto rankiem trzynastego września roku pańskiego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego, zapewniwszy uprzednio choremu jak najdogodniejsze warunki podróży, poczet domowników Wielkiego Inkwizytora opuścił miasto Toledo, aby towarzyszyć czcigodnemu ojcu w jego ostatniej ziemskiej wędrówce.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczór nie był późny, za to bardzo ciemny, wietrzny i dżdżysty, gdy poczet domowników Wielkiego Inkwizytora, posuwając się przez cały dzień traktem ciągnącym się u podnóża Sierra de Gredos, dotarł wreszcie do przełęczy przy Santa Ana i górską uciążliwą drogą

począł schodzić ku leżącym w dole płaskowzgórzom Starej Kastylii. Okolica była bezludna i dzika, ciesząca się poza tym złą sławą z racji gwałtów i grabieży dokonywanych na podróży przez okolicznych baronów, toteż w strony te, szczególnie nocną porą, nawet żołnierze Świętej Hermandady niechętnie się zapuszczali.

Wóz, na którym spoczywał czcigodny ojciec, szczelnie był osłonięty płóciennym namiotem. Posuwał się wolno, przecież raz po raz doznawał na zdradzieckich wybojach gwałtownych wstrząsów, droga była pełna wądołów i kamieni, ponadto śliska. Zaraz za przełęczą Santa Ana deszcz przestał mżyć, natomiast podnosząca się z dolin wilgotna mgła stawała się coraz bardziej gęsta. Zapalono więcej pochodni, lecz mało to pomogło: świeciły słabym, równie jak mgła białym poblaskiem. W głębi ciemności huczał potok.

Don Lorenzo de Montesa jechał w bliskości wozu, prowadząc swego andaluzyjczyka tak pewnie i swobodnie, jak gdyby dokoła były dzień i równa droga. Padre Diego, płaszczem osłaniając twarz przed wiatrem, przysunął się do niego koniem.

— Don Lorenzo — powiedział — obawiam się, że czcigodny ojciec nie wytrzyma trudów tej drogi. Słabnie z godziny na godzinę.

Pan de Montesa, wyprostowany i lekki mimo ciężącej na nim zbroi, zdawał się swymi jasnymi oczami przenikać i mgłę, i ciemność. Spytał:

— Co rozkażesz, wielbny ojcze?

— Znasz te strony?

— Urodziłem się pod Avila.

— Jest tu miejsce, gdziebyśmy się mogli na noc zatrzymać?

Pan de Montesa wskazał dłonią przed siebie.

— Nie dalej niż kwadrans stąd jest castillo<sup>78</sup>.

— Czyje?

— Panów de Lara.

Z prawej strony, po stromym najwidoczniej zbocz, toczyły się z łoskotem kamienie.

— Dziedzicem tego wielkiego rodu — powiedział z namysłem padre Diego — jest, o ile się nie mylę, don Miguel de Lara?

— Tak, ojcze.

— Prawdą jest, że jego ojciec wziął sobie za żonę kobietę z pogańskiego rodu Abencerragów?

— Tak, wielbny ojcze, to prawda. Przyjęła wszakże naszą wiarę.

— Nie cieszy się ten pan dom Miguel dobrym imieniem?

Na to odparł pan de Montesa:

— Nie znam don Miguela, lecz, jak słyszałem, wysoko sobie ceni wolność.

Koń wielbnego ojca poślizgnął się, lecz padre Diego mocną ręką w porę go przytrzymał przed upadkiem.

— Znam tego rodzaju ludzi — powiedział z pogardą. — Cenią sobie wolność, nie wiedząc, a co gorsze, nie chcąc zazwyczaj wiedzieć, co znaczy wolność prawdziwa.

— Właśnie to chciałem powiedzieć, wielbny ojcze — rzekł don Lorenzo. — Co zatem rozkażesz?

Padre Diego odpowiedział:

— Czcigodnemu ojcu nade wszystko potrzebny jest odpoczynek.

Castillo panów de Lara istotnie nie było odległe. Zamek, ciemny i zwarty, wznosił się swymi murami i basztami wysoko ponad drogą, zawieszony jak kamienne gniazdo nad skrajem stromej skały, u jego stóp, głęboko w dole, szumiała wzburzona rzeka.

Droga wiodąca do castillo była stroma i wąska, ciasno stłoczone konie ślizgały się na niej, mgła się wprawdzie cokolwiek przerzedziła, za to przenikliwy wiatr dął wprost w twarz. Kilku luczników musiało zejść z koni, aby ramionami podpierać ciężki wóz.

Znalazłszy się pod murami zamku padre Diego, przytłoczony ich surowością, pożałował swojej decyzji. Lecz na odwrót było za późno. Właśnie jeden z domowników zadął w róg i nim ścichło jego brzmienie, z wysoka rozległ się donośny głos:

— Kim jesteście i czego chcecie?

Pan de Montesa pchnął do przodu konia. Zawołał:

— W imię Króla i Królowej otwórzcie!

<sup>78</sup>castillo (hiszp.) — zamek. [przypis edytorski]



Dopiero po dłuższej chwili inny głos, młody i dźwięczny, spytał:

— Kto mówi w imieniu Króla i Królowej?

Pan de Montesa odpowiedział:

— Jego dostojność, czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor.

— Padre Torquemada? — zdziwił się w ciemnościach młodzieńczy głos. — Jakież interes, i to o tak późnej godzinie, może mieć do mnie dostojny pan Wielki Inkwizytor?

Pan de Montesa, niecierpliwie szarpiąc swym andaluzyjczykiem, już chciał ostro odpowiedzieć, gdy padre Diego położył mu dłoń na ramieniu.

— Nie przystoi nam, don Lorenzo, przemawiać butnie i pysznie — powiedział półgłosem.

Po czym ze spokojną godnością, niewiele głos podnosząc, rzekł w ciemności:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Była cisza. Spytał więc:

— Czy z panem de Lara mówimy?

— Jestem nim — odpowiedziano z murów.

Padre Diego musiał zdobyć się na niemały wysiłek, aby nie okazać niechęci, jaką budził w nim ten zuchwały głos. Powiedział:

— Ciężka i smutna konieczność każe nam szukać gościny w waszym domu, panie. Czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor, złożony ciężką niemocą, udaje się do Avila, lękamy się wszakże, iż może nie przetrzymać trudów dalszej drogi, jeśli nie będzie mu danym odpocząć tej nocy.

— Istotnie pan Wielki Inkwizytor jest tak ciężko chory? — spytał pan de Lara, nie siląc się na okazanie smutku.

Padre Diego milczał chwilę. Wreszcie rzekł:

— Jest tak, jak powiedziałem.

— Wejdźcie zatem — odparł pan de Lara. — Czy panu Wielkiemu Inkwizytorowi wystarczy, jeśli towarzyszyć mu będzie dziesięciu spośród waszych rycerzy?

Tym razem padre Diego nie zapanował nad wzburzeniem i zawołał:

— Na Boga! Nie przychodzimy do tego domu z mieczem, lecz z żalobą i z pokojem.

— Dobrze więc — odpowiedział tamten — bądźcie moimi gośćmi wszyscy.

Sporo upłynęło czasu, nim spuszczone zwodzony most i otwarto bramę. Gdy się to wreszcie stało, padre Diego wraz z panem de Montesa, wyprzedzając toczący się wolno wóz, pierwsi wjechali pod niskie sklepienie wjazdowej baszty. Skoro zaś je przebyli, oczy ich, przyzwyczajone do ciemności, oślepił blask licznych pochodni i smolnych łuczyw. Dopiero po chwili mogli się zorientować, jak wielu nieruchomo w cieniu tej łuny stojących rycerzy oraz uzbrojonych pacholków otacza ze wszystkich stron rozległy podwórzec. Przecież mimo tak znacznej ilości ludzi cisza była na dziedzińcu, również cisza ogarniała mroczniejsze od nocy mury i baszty zamkowe, wśród niej słychać było tylko suche trzaski płonących ogni.

Don Miguel, otoczony sforą myśliwskich psów, uśmiechnięty i bardzo młodzieńczy, oczekiwał gości przed krużgankiem wiodącym do zamkowych komnat. Był bez zbroi, miał na sobie luźny, obszernie przy szyi wycięty, czerwony kaftan oraz jasnoniebieskie, według mody arabskiej skrojone spodnie. Zarówno tym ubiorem, jak smagłością cery i wykrojem ciemnych, gorących oczu bardziej przypominał niewiernego Maura niż kastylijskiego rycerza.

Padre Diego, schodząc z konia, znów musiał zadać sobie gwałt, aby nie zdradzić się z wrogimi uczuciami, jakie budził w nim ten młody dziedzic rodu de Lara. Spodziewał się, że zgodnie z panującym obyczajem zostanie powitany w sposób należyty jego stanowi i godności. Ale don Miguel, wciąż pogodnie uśmiechnięty, milczał i wcale nie wydając się tą przedłużającą się ciszą skrupowany, beztrąsko głąskał łaszące się do jego ręki psy. Wówczas padre Diego zdecydował się przemówić pierwszy.

— Pokój z tobą, mój synu — powiedział.

Ten skłonił się w milczeniu i dalej głąskał psy. Właśnie wóz wiozący czcigodnego ojca zatrzymał się nie opodal, a pusty dziedziniec począł się zapełniać tłumem domowników. „Głupcze! — pomyślał padre Diego — i tak wcześniej czy później osiągnie cię ramię sprawiedliwości”. Głośno zaś powiedział:

— Sądzę, mój synu, iż zdajesz sobie sprawę, jakim to jest zaszczytem dla ciebie i dla twego domu gościć dostojną osobę ojca Wielkiego Inkwizytora.

Don Miguel odsunął ogromnego charta, który wspiał się mu na piersi łapami.

— Poszedł! — powiedział miękko i łagodnie.

Po czym zwrócił się do ojca Diego:

— Nie uganiam się, dostojny panie, za zaszczytami. Po cóż mi zaszczyty? Mam, jak widzicie, wszystko.

I z dworskim gestem dodał:

— Wejdźcie jednak, dostojny panie, do środka. Moi ludzie wskażą wam drogę. Chcecie zapewne dotrzymać towarzystwa panu Wielkiemu Inkwizytorowi?

— Tak — powiedział padre Diego — stan czcigodnego ojca wymaga tego.

Z kolei don Miguel zwrócił się ku kapitanowi, który stał obok chmurny i milczący.

— Wy jesteście panem de Montesa?

Don Lorenzo drgnął.

— Skąd mnie znacie?

— Któż was nie zna? — odparł tamten. — Wejdźcie, proszę.

I odgarniając psy zszedł z wąskich schodów krużganka, aby ustąpić miejsca ludziom, którzy zdejmowali z wozu bezwładne ciało Wielkiego Inkwizytora.

Cień śmierci spoczywał na twarzy ojca Torquemady. Już w czasie podróży, pierwszej nocy, poraził go częściowy paraliż i wówczas stracił mowę i przytomność. Teraz, na ramionach domowników wnoszony na schody, także sprawiał wrażenie pozbawionego przytomności. Od świateł pochodni kołyszących się na wietrze padały na jego wychudzoną twarz blaski i cienie, ją samą pozostawiając nieruchomą i niemą. Jedno tylko oko padre Torquemada miał otwarte, lecz i to, jakkolwiek z czujnym cierpieniem wpatrzone w ogromną noc nad sobą, wydawało się ślepe i już wszelkich rzeczy tego świata nieświadome.

Pan de Montesa, zdjąwszy zbroję z pomocą giermka, natychmiast go odprawił. Chciał być sam. Przecież gdy usiadł przy kominku, aby się rozgrzać, i zdał sobie sprawę, że tylko ze sobą pozostanie aż do świtu, konieczność samotności napelniła go niepokojem. Mimo znużenia, senności nie czuł.

Komnata przeznaczona mu na odpoczynek nie była rozległa, za to, jak wszystkie inne, którymi przechodził, urządzona z przepychem niespotykanym nawet w zamkach najbogatszych i najpotężniejszych panów. Wszystko tutaj zaprzeczało rycerskiej powadze i surowości. Drogocenne dywany zaścielały posadzkę, starożytnie mury rozjaśnione były kolorowymi mozaikami, niskie i szerokie łoże zajmowało wbrew dobrym obyczajom nadmiernie dużo miejsca, a na wprost kominka sofa, zarzucona wzorzystą materią i pełna miękkich poduszek, otaczała półkolem okrągły, bogato inkrustowany stół. Wschód unosił się nawet w powietrzu przesyconym zapachem różanego olejku.

Na stole znajdował się przygotowany dla gościa posiłek: trochę zimnego mięsa, chleb i owoce. Don Lorenzo odsunął jedzenie, sięgnął po wino. Było słodkie, pachnące i bardzo mocne. Nie dało jednak tego, czego pragnął. Po kilku pucharach jeszcze ciężiej zrobiło mu się na sercu, i myśli, od których wołałby uciec, poczęły go oblegać natarczywie.

Cisza panowała dokoła, blask ognia migocący na złożonej przy kominku zbroi wydawał się jedynym znakiem życia. Zamek mimo niepóźnej godziny wieczornej sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie.

Pan de Lara wszedł tak cicho, iż don Lorenzo wówczas dopiero odwrócił od ognia twarz, gdy w poblasku przed sobą dostrzegł cień ludzkiej sylwetki. Na widok pana de Lara stojącego nie opodal poderwał się zbyt pośpiesznie i gwałtownie. Ale don Miguel zachował się tak, jakby tego nie dostrzegł. Powiedział:

— Przyszedłem spytać was, panie, czy niczego wam nie brak?

Miał na sobie luźną szatę z ciemnopąsowego jedwabiu, bogato tkaną złotem, i w tym domowym stroju wydał się don Lorenzowi jeszcze bardziej obcym. Przez moment poczuł się wobec tego młodego człowieka nieomal barbarzyńcą. Natychmiast jednak odruchem dumy starł w sobie tę upokarzającą myśl.

— Masz świetne wino, don Miguelu — powiedział lekko. — Siadaj i napij się ze mną. Żyjesz na tym odludziu jak w bajce.

— Tak sądzicie, panie? Trudno mi, doprawdy, rozstrzygnąć, co jest, a co nie jest bajką. Na razie żyję, jak mi się podoba.

Don Lorenzo roześmiał się hałaśliwie.

— Na nadmiar skromności nie możesz się uskarżać. Mówisz takim tonem, jakbyś chciał dać do zrozumienia, że tylko ty jeden potrafisz żyć według własnych pragnień. Istotnie tak myślisz?

— Nie — odparł don Miguel — nie uważam się za człowieka uprzywilejowanego. Po prostu jedni ludzie żyją zgodnie ze swymi upodobaniami, inni wbrew nim.

— Oczywiście, jak się domyślam, przypisujesz tym pierwszym rozliczne cnoty, zwłaszcza szczególną odwagę?

— Słusznie się, panie, domyślacie. Istotnie, w naszych czasach myślenie wymaga odwagi.

— Widzę, że nie nazbyt podobają ci się nasze czasy?

— Przeciwnie, podziwiam ich doskonałą sprawiedliwość.

— Rzeczywiście?

— Dotychczas, jak wiadomo, dzieliła ludzi okrutna nierówność. Jedni wygrywali swoje życie, drudzy je przegrywali. Dzisiaj klęskę ponoszą wszyscy.

Don Lorenzo zmarszczył brwi.

— Mówisz, jakbyś był heretykiem.

— Tak myślę.

— Tym gorzej, jeśli tak myślisz.

— A nie sądzicie, panie, że wobec powszechności klęski jednak najmniejszą ponosi ten, kto ją przewiduje?

— Nie wiem. Przywykłem myśleć, iż ten zwycięża, kto klęski w ogóle nie bierze w rachubę.

— Nie wątpię, panie, że tak właśnie myślicie. Ale nadzieja zawsze kosztuje najdrożej.

Don Lorenzo napełnił puchar winem i nim podniósł go do ust, powiedział twardo:

— Nadzieja nie zna klęski.

Na to rzekł don Miguel:

— Tym gorzej.

— Dla nadziei?

— Dla tych, którzy się nią łudzą.

Don Lorenzo poruszył się niecierpliwie.

— Wierzyć mi się nie chce, don Miguelu, abyś będąc tak młodym, własnym tylko doświadczeniom zawdzięczał tę szczególną wiedzę o życiu. Niezwykłych musiałeś mieć nauczycieli, przyznaj się.

— Nie wiem, czy niezwykłych. Byli raczej zwykli, za to uwagi i pamięci na pewno godni. Może was to zdziwi, panie, ale jeśli z jednym z nich zetknął mnie przypadek, to właściwie w pewnej mierze wam to zawdzięczam.

Don Lorenzo zwrócił ku niemu pociemniałą twarz.

— Uważaj, don Miguelu. Jeśli nie chcesz, abym musiał zapomnieć, że jestem w twoim domu gościem, przestań mówić zagadkami.

— Nie miałem zamiaru dotknąć was, panie — odparł spokojnie don Miguel. — Spytaście mnie o moich nauczycieli, właśnie chciałem o jednym z nich opowiedzieć.

— Nie ja nim, jak sądzę, byłem.

— Istotnie, nie wy.

— Czemu więc mieszasz mnie w te sprawy?

— To raczej ja zostałem w nie wmieszany. Posłuchajcie. Przed paroma laty, w taką samą porę deszczową jak teraz, moi ludzie znaleźli poniżej przełęczu Santa Ana człowieka znajdującego się w skrajnej nędzy i śmiertelnie wyczerpanego. Przyprowadzili go tutaj. Chorował wiele tygodni, ale nie udało się go uratować. Po paru miesiącach zmarł.

Zaległa cisza.

— Kim był ten człowiek? — spytał don Lorenzo.

— Nazwisko jego z pewnością jest wam dobrze znane. Był to pan Rodrigo de Castro. Twarz don Lorenza pozostała nieruchoma. Powoli wychylił swój puchar.

Sprawiedliwość

Nadzieja

— Ciekawe rzeczy mówisz, don Miguelu — rzekł wreszcie niedbale. — Nie sądziłem, że pan de Castro ośmieli się powrócić. I cóż ci opowiadał? Chciał oczywiście uchodzić w twoich oczach za ofiarę nikczemnej niesprawiedliwości?

— Przeciwnie — odpowiedział don Miguel — uważał, że Święte Trybunały nigdy się nie mylą. Wprawdzie okoliczności zmusiły go do przebywania w tym domu, wcale się jednak nie krył z tym., jak bardzo mu jest niemiła ta konieczność korzystania z gościny człowieka inaczej niż on myślącego. Myślę, że szczerze mną pogardzał.

— Zachował więc swoją piekielną pychę!

— Przede wszystkim, jak mi się wydaje, wiarę.

— On, wiarę? W co?

— Wy mnie o to, panie, pytacie?

Don Lorenzo wzruszył ramionami.

— Uważałem dotychczas pana de Castro za łotra. Jeśli istotnie było tak, jak opowiadasz, okazał się na koniec oszukany durniem, tylko tyle. Na cóż liczył? Po co wrócił? Byłbyż aż tak naiwny, aby spodziewać się przebaczenia?

— Nie. Pragnął służyć. Pewien był, że niebawem odzyska siły. Chciał pod przybranym nazwiskiem zaciągnąć się na okręt pana Columba. Dlatego powrócił z wygnania. To wszystko.

Don Lorenzo chciał wstać, lecz poczuł się zbyt ociężały, aby to uczynić. „Za dużo wypilem” — pomyślał. Spytał jednak przytomnie, tylko głosem cokolwiek ochryplym:

— Czegóż cię więc ostatecznie nauczył pan de Castro?

— Powiedziałem, budząc wasz sprzeciw, że nadzieja zawsze kosztuje najdrożej. Otóż nikt, jak sądzę, nie mógłby mnie lepiej i dokładniej w tym przeświadczeniu utwierdzić, niż to uczynił pan de Castro. Pojmujecie teraz, dlaczego wyraziłem się, iż pośrednio i wy przyczyniliście się do mojej edukacji.

Don Lorenzo niezupełnie pewną ręką sięgnął po wino.

— Mało się zatem jeszcze nauczyłeś, don Miguelu. Wiem, co myślisz. Sądzisz, że przyczyniłem się do upadku tego człowieka tylko w tym celu, aby objąć po nim dowództwo. Możesz nie zaprzeczać. Nic mnie w istocie nie obchodzi, co myślisz ty albo inni. Wszyscy są głupcami. Wciąż jeszcze wolą nie wiedzieć, że parszywa prawda leży zwykle na wierzchu. Gdybym w swoim czasie nie wykorzystał przychylnej okazji i nie posłał pana de Castro do wszystkich diabłów, on by to ze mną zrobił. Nawet okazji by nie szukał, wymyśliłby ją. Ale cóż ty, panie de Lara, możesz o tym wiedzieć? Trzeba przez to wszystko samemu przejść, żeby zrozumieć. Zanurzyć się trzeba w to bagno, rozumiesz? Zrobisz w jak najlepszej wierze kilka nieostrożnych kroków i już się nie możesz cofnąć. Możesz się tylko szamotać i coraz głębiej pograżać. Doprawdy, śmieszny jesteś, don Miguelu, ze swoją wiedzą. Garść suchej słomy więcej waży niż ona. Wyjdź z nią na rynek, przekonasz się. Wielebny padre Diego albo któryś ze stu innych, jemu podobnych, w jedną noc przemiele na piasek wszystkie twoje frazesy. Bredziłeś o odwadze. Wszystko to są głupstwa. Co to jest odwaga? Tego nie ma. Jest tylko strach. Owszem, z początku usiłujesz się przed nim bronić. Kłamiesz albo milczysz. Ale i kłamstwem, i milczeniem strach się tylko tuczy. Potem wyżera w tobie wszystko, wszystkie myśli i uczucia. Wszystko cię zawodzi i na koniec jego tylko jesteś pewien. On jeden pozostaje wierny. Na nim jedynie możesz polegać, że nigdy cię nie opuści i nie zdradzi. W zamian możesz żyć i przyczyniać się do budowy Królestwa Bożego. To jest właśnie, jeśli chcesz wiedzieć, wszystko. A cóż ty, don Miguelu, zrobiłeś dla budowy Królestwa Bożego? Nic. Cóż więc wiesz? Także nic.

Don Miguel stał przy kominku bez ruchu, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Po chwili powiedział:

— Z tego, co mówicie, łatwo się domyślić, że nielekkko jest wam żyć. Ale za szczerość należy się wam ona i z mojej strony. Niestety, nie potrafię wam współczuć.

Don Lorenzo spojrział na niego z pogardą.

— Mimo wszystko nie przypuszczałem, don Miguelu, abyś był aż tak naiwny. Doprawdy sądzisz, że potrzeba mi twego współczucia? I na cóż mi ono? Z nas dwóch ty jeszcze na coś liczysz. Wyobrażasz sobie, że kiedy zajdzie tego konieczność, uda ci się przewyciężyć strach. Zatem o całą swoją urojoną odwagę masz do stracenia więcej niż

Strach

ja.

Lekki rumieniec pociemnił twarz don Miguela.

— Mam rozumieć wasze słowa jako ostrzeżenie? Jeśli takie były wasze intencje, niepotrzebnie zadaliście sobie ten trud. Wiem, co mnie czeka.

Don Lorenzo poczuł się nagle nieludzko zmęczony.

— Nic nie wiesz — rzekł cicho.

Raz jeszcze chciał powtórzyć: nic nie wiesz, gdy we drzwiach gwałtownie pchniętych stanął padre Diego w płaszczu podróżnym zarzuconym na ramiona.

— Don Lorenzo! — zawołał od progu — wielka, radosna nowina. Czcigodny ojciec odzyskał przytomność i rozkazał natychmiast ruszyć w drogę. Jedziemy!

Don Lorenzo podniósł się lekko, na jego pięknej, wciąż jeszcze młodzieńczej twarzy nie było śladu znużenia.

— Istotnie, radosna to nowina, wielbny ojczcie — powiedział ze szczerym przejęciem.

Po czym krzyknął na giermka, aby mu pomógł włożyć zbroję.

Padre Diego, rozejrzawszy się po komnacie, teraz dopiero zdawał się spostrzec obecność pana de Lara. Podszedł do niego z rozjaśnioną twarzą.

— Musisz wybaczyć nam, mój synu, zamęt, jaki wprowadziliśmy do twego domu. Krótko wprawdzie byliśmy twymi gośćmi, ale już choćby za to, że wyjeżdżamy stąd z większą nadzieją, niż mieliśmy ją próg ten przekraczając, należy ci się nasza wdzięczność.

Don Miguel skłonił się w milczeniu.

— Powiedziałeś witając nas — mówił dalej padre Diego — że nie pragniesz zaszczytów. To pięknie świadczy o twojej skromności, mój synu. Lecz na Boga, czyż godzi się, aby potomek tak znakomitego rodu pędził życie na uboczu, z dala od najważniejszych spraw państwowych? Sądzę, że nie weźmiesz nam za złe, jeśli przy pierwszej okazji przypomnimy twoją osobę Ich Królewskim Mościom. Z pewnością z otwartymi ramionami powitają cię w stolicy.

Pan de Lara pogodnie się uśmiechnął.

— Właśnie pan de Montesa roztaczał przede mną uroki życia na szerokim świecie.

— Nic lepszego don Lorenzo nie mógł uczynić — powiedział z ojcowską dobrocią padre Diego. — Do zobaczenia zatem, mój synu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Z dziedzińca zamkowego dochodziły rżenia koni i głosy rozbudzonych domowników.

Odzyskawszy przytomność padre Torquemada zapadł w krótki, lecz mało krzepiący sen. Gdy się ocknął, od razu, mimo ogromnego znużenia, poczuł się rozbudzony nagłą potrzebą czujności. Dopiero po dłuższej chwili, po kołysaniu się wozu, rozpoznał, że znajduje się w drodze. Nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia skrzypiały koła, słychać było parskanie koni i monotony odgłos ich podkutych kopyt uderzających o kamienie. Silny wiatr targał rozpiętym ponad wozem płótnem, pod nim były spokój i cisza. Pomyślał, że powinien zasnąć, lecz ostrość pogotowia, wśród którego zbudził się był przed chwilą, wcale go nie opuszczała. Leżał więc bez ruchu, wsłuchany w to wewnętrzne napięcie, wciąż przecież nie potrafił zdać sobie sprawy, z czego ono wynika. Aż nagle zrozumiał: w pobliżu nie było nikogo, mimo to nie był sam. Otworzył oczy. Ciemność ogarniała go zewsząd.

— Jesteś — powiedział bez zdziwienia.

— Jestem — odpowiedział tuż obok znużony głos, będący jak gdyby echem jego własnego. — Zawsze jestem, ponieważ wierność stanowi nieodłączny element mojej natury. Przyznasz, czcigodny ojczcie, że jeśli przez tak wiele lat musiałem milczeć, to nie moja w tym wina. Teraz jednak, jak mi się wydaje, wolno mi już mówić?

— Mów — powiedział Torquemada.

— Dziękuję ci, ojczcie. Wierz mi, że potrafię ocenić twoją wielkoduszność. Cenię ją tym więcej, iż jak wspomniałem, byłeś dla mnie do tej pory dość bezwzględny.

— Czego chcesz?

— Rozumiem, każesz mi od razu przystąpić do rzeczy. Słusznie, tak powinno być, nie mamy zbyt dużo czasu, szczególnie ty nie posiadasz go w nadmiernej ilości. Chciej mnie jednak zrozumieć, ojcze. Jeśli wypowiadam się w tej chwili przy pomocy nazbyt wielu słów i możesz nawet posądzić mnie o popadanie w gadatliwość, to przyczyna tego leży nie tyle w moich skłonnościach, ile w długoletnim przymusowym milczeniu.

— Ja za ciebie mówiłem i działałem. Mogłeś milczeć.

— Tak, to prawda. Już od dawna zauważyłem, że u boku tych, którzy pragną uszczęśliwiać ludzkość, nie mam nic do powiedzenia. Niezwykłą, doprawdy, prowadzę egzystencję. Ludziom, patrzącym na rzeczy powierzchownie, może się nawet wydawać, że jestem w podobnych wypadkach w ogóle niepotrzebny. Oczywiście tak nie jest i tego rodzaju sugestie są z gruntu fałszywe. Warto czasem i cały wiek milczeć, aby u jego końca dojść do głosu. Nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi, trzeba zatem stan gotowości utrzymać, że tak powiem, w permanencji<sup>79</sup>. Nie chcę się, mój ojcze, powtarzać, lecz raz jeszcze, i to z całym naciskiem, pragnąłbym podkreślić, iż wierność cenię nade wszystko. Ty zresztą powinieneś to zrozumieć i ocenić. Czyż nie byłeś przez całe życie wierny? Jeśli pozwoliłeś mi przemówić, to czy nie z tych względów, iż w gruncie rzeczy zdajesz sobie sprawę, że właśnie ja w tej chwili dochowuję ci wierności większej niż ty sam sobie? Doprawdy, bardzo słusznie uczyniłeś, wzywając mnie.

— Ja cię nie wzywałem — powiedział cicho Torquemada.

— Masz rację, istotnie nie wzywałem mnie. Mimo to nie tylko jestem, lecz mówię, wypowiadam się, a to jest czymś nowym w naszych wzajemnych stosunkach. Co spowodowało to *novum*, zastanówmy się zatem. A przede wszystkim: zjawilem się czy raczej ujawnilem? Mam nadzieję, iż nie dziwi cię, że stawiam to pytanie. Wszystko przecież w istocie zależy od właściwego nazwania faktów. A więc: zjawilem się czy ujawnilem? Po głębszym namyśle byłbym za definicją ujawnienia, bo przecież nie może się zjawić ktoś, kto stale jest obecny, prawda? Ale dlaczego się ujawnilem? Dość istotne zagadnienie. Sądzę, iż utrafię w sedno sprawy, jeśli powiem, że na skutek pewnego osłabienia w tobie, mój ojcze, czujności — powstały obiektywne warunki, abym ze stanu wierności biernej, czyli statycznej, przeszedł do stanu wierności czynnej. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że warto niekiedy i cały wiek milczeć i czekać. Trudno, życie jest życiem. Najsilniejszy człowiek może się zachwiać i w jego wiarę mogą się wślizgnąć wątpliwości. Muszę ci nawet wyznać, mój ojcze, że ludzkie zwątpienie niewymownie mnie w istocie wzrusza. Zbędny, gdy człowieka wypełnia wiara, dopiero w trudnych chwilach zachwiania się jej, kiedy światło prawdy umyka człowiekowi, okazują się szczególnie potrzebny i pomocny. Wówczas dopiero uświadamiam sobie w całej pełni, jakim to bezgranicznie wielkim szczęściem jest posiadanie niezachwianej wiary. Twoje, ojcze, wątpliwości...

Torquemada otworzył oczy i powiedział w ciemność:

— Nieprawda, nie mam wątpliwości.

— Rozumiem. Wszystko to już było. Ludzie tak bardzo potrzebują wiary, iż nawet swoje wątpliwości skłonni są nazywać pewnością. Dobrze, niech i tak będzie. Obaj zatem, nie mając wątpliwości, mamy pewność, i ty, i ja. Obawiam się jednak, że zawsze do tej pory zgodni w pojmowaniu racji prawdy, teraz różnimy się cokolwiek w rozumieniu ich i ocenie. Gdzież więc słuszność? Mogą istnieć dwie słuszne racje?

— Nie.

— Oczywiście! Dostrzegam nie bez wzruszenia, że aczkolwiek samą prawdę począł interpretować nieco dowolnie, przecież jej założeniom niezmiennym i nie podlegającym rewizji pozostałeś wierny. To bardzo istotne. Sądzę, że główną uwagę trzeba zwrócić nie na podkreślanie różnic w naszych punktach widzenia, lecz na to, co nas zbliża i łączy. Jedna jest prawda.

— I ty tej jednej nienawidzisz.

Głos westchnął ze smutną wyrozumiałością.

— To też było. Renegaci i odstępcy zawsze najsurowiej mnie potępiali. Któż zjadliwiej potrafi nienawidzić wierności niż ten, który własną zdradził? Nie jest tak?

— Mów dalej.

<sup>79</sup>w *permanencji* (z łac.) — stale. [przypis edytorski]

— Chętnie, myślałem jednak, że jeśli rozwiązałeś mi usta, wybac ten zwrot grzecznościowy, to celem zasadniczej wymiany poglądów i kierując się najlepszą wolą uzgodnienia ich. Czymże ostatecznie jesteśmy, jeśli nie pewną sumą poglądów? Sobą osobiście nie interesuję się zupełnie. Byłem i jestem przejrzysty, jak prawda, której służę.

— Niszcząc ją.

— Cóż za wielkie słowo! Przykro mi, czcigodny ojcze, muszę przecież zauważyć, że i na tobie potwierdza się odwieczna zasada. Niestety, nieuchronnej i godnej pożałowania degradacji podlega każdy człowiek wątpiący. Zawsze dotychczas zwykłeś mówić jak znakomity mąż stanu. Teraz wyrażasz się, jakbyś był sentymentalnym skrybą. Gdzież się podziła ścisłość twego myślenia, jego celność i ostrość? Po to przez całe życie zwalczałeś wszelkie mętniaćwo, aby na koniec sam się jemu dobrowolnie oddać w niewolę? Błagam cię, czcigodny ojcze, zaklinam cię na wszystko, co święte — mówmy jak ludzie dojrzały i świadomy, unikając powoływania się na nieskoordynowane uczucia, natomiast dochowując wierności zasadom rozumu.

Torquemada milczał.

— Zasnęłaś, ojcze?

— Nie.

— Czemu więc milczysz? Rozumiem, chcesz mnie w ten sposób nakłonić do zamknięcia. I cóż ci z tego przyjdzie? Wiesz przecież, że nie mogę odejść.

— Wiem.

— A zatem? Powiedzmy, że zgodnie z twoim życzeniem przestanę mówić. Dobrze, już milczę.

Istotnie zaległa cisza. Torquemada myślał: „Stworzyłem system, lecz dzięki niemu i poprzez niego stworzyłem także ludzi systemu. Co uczynić z nimi, jeśli system okazał się zgubnym szaleństwem? Jak usunąć terror, gdy zdążył zrodzić ludzi, którzy w nim tylko znajdują rację swego istnienia? Zniszczyć ich przy pomocy terroru?”

Po chwili odezwał się bliski głos:

— Milczałem. Ale słyszałeś mnie?

Torquemada otworzył oczy.

— Tak — szepnął — słyszałem cię.

— I co?

— Kłamiesz. Ludzie nie chcą terroru.

— Biedacy! Niewinne jagniątko!

— Nie drwij.

— Zatem człowiek nie jest już dla ciebie, ojcze, istotą słabą i nędzną, godną pogardy?

— Uczyniliśmy ludzi jeszcze gorszymi. Myliłem się.

— W czym, jeśli można wiedzieć?

— We wszystkim.

— To brzmi dumnie. Zawsze byłeś maksymalistą. Wszystko! Czy chcesz przez to powiedzieć, że i zmienić trzeba wszystko? Ależ nie, nie sądz, mój ojcze, że czuję się tym zaniepokojony. Zmiany należą do natury tego świata. Trzeba je tylko we właściwy sposób interpretować. Moim, na przykład, zdaniem omyłka jako taka w ogóle nie istnieje. Cóż to jest omyłka? Jest to pojęcie niesłuszne, któremu przeciwstawiam pojęcie słuszne. Cóż więc jest rzeczywistością? Oczywiście pojęcie słuszne teraz, w tej chwili. A dlaczego? Ponieważ pojęcie słuszne, w prawidłowy sposób kształtując rzeczywistość, samo jest rzeczywistością. Zatem tylko aktualna słuszność może stanowić rzeczywistość, natomiast ta sama słuszność z chwilą, gdy zostanie określona jako niesłuszna, traci substancję właściwą bytowi i z tych względów, co jest rzeczą aż nadto jasną, w ogóle jej nie ma. Nie wiem, mój ojcze, czy leżało to w twoich intencjach, lecz dotknęłaś zagadnienia, które mnie od dawna pasjonuje. W tym prawidłowym obumieraniu szczątkowych albo zgoła martwych treści i w rodzeniu się nowych dostrzegam, muszę ci wyznać, pryncypialną zasadę dziejów. Wszystko zależy, jak wspominałem, od właściwego nazywania. Posunąłbym się nawet w tym względzie krok dalej i powiedział, że wszystko zależy od właściwego dekretowania. Pojmujesz, co chcę wyrazić przez to rozróżnienie. Transfiguracja<sup>80</sup> istniejącego w nieistniejące powinna,

Przemoc

<sup>80</sup>transfiguracja (z łac.) — przemiana (w teologii katolickiej: przemiana hostii w ciało i krew Chrystusa). [przypis edytorski]

a nawet musi posiadać znamiona powszechności, ta zaś, zgodzisz się z tym, nie może być zdana na żywioł, przeciwnie, musi być zaplanowana i pokierowana. Poza tym chciałbym niejako na marginesie zgłosić jedno drobne zastrzeżenie. Zgodziliśmy się obaj, że słuszna racja uznana za niesłuszną traci tym samym obiektywną egzystencję. Lecz historia, mój ojczu, nie znosi pustki. Tylko nowa słuszność może unicestwić starą. Trzeba idei, aby uśmiercić ideę. Domyślam się, że z tych względów ogłosisz niebawem światu nową ideę.

— Nie męcz mnie — szepnął Torquemada — jestem zmęczony.

— Tak, to prawda, przepraszam cię, ojczu. Zresztą stan ludzkiego zmęczenia też bardzo mnie interesuje. Właściwe dawkowanie zmęczenia należy do najbardziej skomplikowanych prerogatyw sztuki rządzenia. Nie wolno dopuścić, aby ludzie byli zmęczeni w sposób niedostateczny, a równocześnie nie należy stwarzać takich warunków, żeby zmęczenie stało się nazbyt wielkie. W obu wypadkach człowiek może się stać niebezpieczny. Zauważyłeś z pewnością, ojczu, że pomiędzy zarozumiałstwem ludzkiego umysłu i rozpaczą dadzą się przeprowadzić pewne paralele, mam oczywiście na myśli paralele następstw tych skądinąd odmiennych dyspozycji. Lecz cóż? Nas następstwa muszą przede wszystkim interesować, ponieważ większe na ogół napotykały trudności przy przeinaczaniu skutków niż przyczyn, odmienianie tych ostatnich nie nastrocza zazwyczaj kłopotów. Jeśli jednak chodzi o twoje zmęczenie, czcigodny ojczu, to sądzę, iż nie posiada ono charakteru niepokojącego, natomiast jest chyba w sam raz. Właściwie jestem dla ciebie, ojczu, pełen podziwu. Przydarzają się od czasu do czasu niezrównoważeni ludzie, którzy raptem zaczynają się buntować po środku życia. O ileż ty, ojczu, jesteś od tych szalonych jednostek przezorniejszy! Chciałbyś naprawić świat, sam już niejako tylko jedną nogą ma nim stojąc. To mądrze z twojej strony. Zdaje mi się, że w istocie bardziej cenisz dzieło swego życia, niż to w tej chwili, wśród przywidzeń mdłego<sup>81</sup> ciała, przypuszczasz.

Torquemada chciał podźwignąć głowę, lecz zbrakło mu sił.

— Przestań — powiedział.

— Głupcze! — odparł na to spokojnie głos w ciemnościach. — Kogo, stary durniu, chcesz oszukać, mnie? Co masz w brzuchu? Nic. Czego się więc szarpiesz? Możesz jedno zrobić: umrzeć. I to jak najprędzej. Nie jesteś już potrzebny, zrobiłeś swoje. Po tobie przyjdą twoi wychowankowie.

Torquemada leżał bez ruchu, zimny pot wystąpił mu na skronie. Głos obok mówił dalej:

— Niczego, na szczęście, nie zdołasz zmienić. Wszystko pójdzie wyznaczoną przez ciebie i jedynie słuszną drogą. Będzie się umacniać i krzepnąć budowa Królestwa Bożego na ziemi, wielkie dzieło powszechnej niewoli dla przyszłej wolności oraz przemocy i terroru, aby sprawiedliwość mogła zapanować. Oczywiście, od czasu do czasu będą się zapewne pojawiać to tu, to tam jacyś mali człowieczkowie belkocący o jakiejś mglistej i nie z tej ziemi wolności. Lecz cóż oni wobec systemu, który zbudowałeś? Ty, mój ojczu, lepiej niż ktokolwiek inny musisz sobie zdawać sprawę, że przed rodzajem ludzkim dwie są tylko drogi, droga idei i droga bezsensu. Jaką trzecią przeciwstawisz? Żadną, bo takiej nie ma. Można dążyć do porządku albo do chaosu. *Tertium non datur*<sup>82</sup>. Wszystkie inne ciągoty, bez względu na to, w jak efektowne stroje by się przebrały, są tylko błazeńskim przedrzeźnianiem porządku i chaosu. Trzeba się zatem zdecydować i wybrać. Ja byłem i jestem za porządkiem. Oczywiście, zależnie od okoliczności służyłem różnym ideom, lecz mój umysł i moje serce zawsze były po stronie tych, którzy porządek świata widzieli w jedynej i powszechnie obowiązującej prawdzie. Ludzie tego pokroju zawsze byli, są i będą moimi, że tak powiem, duchowymi synami. Doprawdy, nie mówię tego, aby się przechwalać. Być może czyjaś przesubtelniejsza nadwrażliwość dopatry się w moim powiedzeniu akcentu megalomanii<sup>83</sup> czy nawet pychy. Już się spotykałem z podobnymi ocenami. Tymczasem wcale tak nie jest i jeśli ludzi idei pozwoliłem sobie nazwać moimi duchowymi synami, to tylko z szacunku dla prawdy historycznej. Niestety, stan ludzkiej wiedzy o minionych czasach wciąż jeszcze w niedostateczny sposób panuje nad faktami. Wiesz, mój ojczu, nieraz, na przykład, zastanawiam się nad niedorzeczną egzegezą<sup>84</sup>, przy

Diabeł, Prawda

<sup>81</sup>*mdly* (daw.) — słaby. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*tertium non datur* (łac.) — trzecia możliwość nie istnieje. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*megalomania* — mania wielkości. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*egzegeza* — badanie i interpretacja Pisma Świętego. [przypis edytorski]



pomocy której przerożni uczeni w piśmie starają się wyjaśnić pewien wypadek, przemasz, wypadek, to nie jest określenie najwłaściwsze, ponieważ chodzi nie tyle o fakt w rozumieniu powszednim, ile o niepowtarzalną sytuację stanowiącą historyczny precedens. Sądzę, że się rozumiemy. Ależ tak, myślę o jabłku, które Ewa ofiarowała Adamowi w Raju. Jabłko! Owszem, jest to skądinąd pomysłowa, a nawet niepozbawiona piękna poetycka metafora. Lecz co ona oznacza, co się pod nią kryje? Powiadają uczeni, że przez jabłko należy rozumieć świadomość dobra i zła. Cóż za naiwna prostoduszność! Aby posiadać rozeznanie dobra i zła, potrzebne jest coś, co zło określa jako zło, a dobro nazywa dobrem. A co jest tym czymś? Otóż zanim to sobie wyjaśnimy, chciałbym ci przede wszystkim, czcigodny ojcze, opisać Raj. Niestety, moje słowa są zbyt niedoskonałe, abym ową wizję potrafił wskrzesić we właściwych jej proporcjach. Gdybyś spytał mnie, czy była to okolica górską i lesista, albo przeciwnie, czy była to rozległa równina ze spokojnie płynącymi rzekami — doprawdy nie potrafiłbym tego dylematu rozstrzygnąć. Nie chcąc zatem stwarzać niepotrzebnych mitologii, powiem tyle, ile wiem: był Raj, a w nim ludzie. O ojcze czcigodny, legenda uczyniła z nich istoty pod każdym względem doskonale, bezgrzeszne, piękne i niewymownie szczęśliwe. W istocie jacyż byli biedni i przy swym pozornie beztróskim bogactwie jakże zagubieni! Oczywiście, nawet przy moich skromnych zasobach mógłbym kosztem pewnego wysiłku wyczarować przed tobą rajsą krainę rozbrzmiewającą muzyką sfer, a ziemię o kształtach i kolorach tak pięknych, iż nawet teraz, wśród tej niegościnniej nocy, poczułbyś na twarzy delikatny powiew ciepłego zefiru, a wokół siebie zapachy najcudowniejszych kwiatów. Ludzi też potrafiłbym upiększyć. Fantazja? Owszem, nie mam nic przeciw fantazji. Myślę wszakże, że w tym wypadku nasza wspólna, że się tak wyrażę, racja stanu obejdzie się bez fantazji. Bądźmy realistami! Wielki Boże, jeszcze teraz, gdy staram się wywołać te zamierzchłe czasy, przenika mnie wzniosły dreszcz litości i współczucia, nieomal równie przejmujący, jak wówczas, kiedy ogarnął mnie na widok bezgranicznie smutnego losu pierwszych ludzi. Mieli pozornie wszystko, w istocie nie posiadali niczego. Byli nadzy nie tylko w sensie dosłownym. Cóż mieli przed sobą, jakie perspektywy jutra? Niestety, bardzo niedostateczne. Niemą przyrodę. Wschody i zachody. Ogrom niezgłębianych nocy rozjaśnianych tajemniczymi gwiazdami. Kwilenie dzieci. Burze i deszcze. Zawsze dalekie horyzonty. Pieszczoty miłosne. Upały wysuszające ziemię. Grzebanie umarłych. Własną śmierć. Cóż jeszcze? Ba! Może jeszcze męską ochotę uchwycenia drugiego człowieka za gardło? Może bohaterские uczucie tryumfu rozpierające pierś, gdy postawi się nagą stopę na nagim karku pokonanego rywala? Może... zresztą po cóż mamy się bawić w dalsze dociekania? Będąc ludźmi, musieli mieć przed sobą wszystko, co z naturą ludzką jest związane. I tu zaczyna się dylemat. Sens, sens tego wszystkiego! Co to wszystko znaczy? Co to jest życie? Co to jest śmierć? A nienawiść? A wszystkie ciężkie myśli nachodzące nocą? Wówczas, powodując się najbardziej bezinteresownym uczuciem wynikającym ze zrozumienia nędzy istnienia, dałem ludziom — wybacz, jeśli to znów zabrzmi nieskromnie — dałem wówczas ludziom ideę, ponieważ tylko ona może nadać godziwy sens ludzkiej egzystencji. Cóż wart ten świat, gdy nie posiada sensu? Prawa do gwałtu i krwi człowiek łaknął. Za uświęceniem okrucieństw i zbrodni tęsknił. Sublimacja okazała się koniecznością. Doprawdy, dając ludziom ideę, wybawiłem ich od straszliwej jałowości i nudy.

Torquemada niespokojnie poruszył pod okryciem palcami, jakby usunąć chciał ciężar przytłaczający mu piersi.

— Boże! — powiedział na głos.

— O właśnie! — odpowiedziały ciemności — utrafiłeś w samo sedno.

— Boże! — powtórzył Torquemada.

— Ależ tak! Przecież zostało napisane: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”.

Idea musi być wielka i uniwersalna, to jasne, nie? Tylko wielkie i uniwersalne idee mogą udźwignąć ludzką małość. Piekielnie ciężka jest ta małość.

— Byłeś tam?

— Gdzie?

— Wtedy, na początku?

Zaległa cisza.

— Byłeś? Mów.

Idealista, Przemoc

— Och, to było tak dawno! Czy ja wiem? Może byłem, może nie byłem. Czy to ważne? Już ci powiedziałem, że sobą osobiście nie interesuję się zupełnie. Idea jest ważna.

— Wszystko skłamałeś.

— Ty, stary komediancie! — odparł na to bez gniewu głos obok. — Od jak dawna świetnie sobie radzisz bez wiary i we mnie, i w Boga? Przed kim się więc zgrywasz? Przed samym sobą? W ideę nie musi się wierzyć, ona sama jest wiarą.

Torquemada otworzył oczy. Ciemność, którą ujrzał, była pusta i niema. Ogarniała go zewsząd, mrok i chłód poczuł w sobie, wydało mu się, że umiera. Wówczas, zdjęty przerażeniem, począł krzyczeć.

Padre Diego jechał najbliżej wozu, więc pierwszy usłyszał ów krzyk nieartykułowany i przeciągły, bardziej podobny do skowytu zwierzęcia niż do ludzkiego głosu. Choć nie był bojaźliwy, zadrżał. Natychmiast się jednak opanował i pchnąwszy konia tak gwałtownie, iż ten brzuchem otarł się o koło wozu — uchylił płótna.

— Ojcie mój! — zawołał półgłosem.

Torquemada drgnął i ucichł. Usta miał otwarte, oczy również.

— Ojcie mój — powtórzył padre Diego.

Leżał bez ruchu, niewidzącymi oczami wpatrzony w ciemność. Wreszcie spytał:

— To ty, mój synu?

— Tak, ojcie. Postaraj się zasnąć. O świcie będziemy w Avila.

— O świcie?

— Niedługo będzie świtać.

— Zimno mi, podaj mi rękę.

Padre Diego pochylił się i poszukał w ciemnościach dłoni czcigodnego ojca. Była zimna i wilgotna. Trzymał ją przez chwilę w swojej, powoli uciszało się jej drzenie. Już wydało mu się, że czcigodny ojciec usypia, gdy ten gwałtownie się poruszył.

— Nie! — zawołał. — Nie!

— Ojcie mój — szepnął błagalnie padre Diego.

Przez chwilę była cisza, potem Torquemada począł krzyczeć wielkim głosem pełnym rozpaczy:

— Zagaście płomienie, zagaście płomienie!

Wówczas padre Diego cofnął się i szybko zapuścił płócienną płachtę. Głos czcigodnego ojca rozlegał się bardzo donośnie, lecz ani jeden spośród stłoczonych dokoła domowników nie spojrzał w tamtą stronę. Twarze ich były nieruchome i nie zdradzały żadnych uczuć.

Nie opodal ojca Diega jechał don Lorenzo. Dotknął jego ramienia.

— Don Lorenzo!

Ten, wyprostowany, patrzył przed siebie.

— Tak, wielbny ojcie.

— Czcigodny ojciec nie może zasnąć, pragnąłby posłuchać pobożnego śpiewu.

— Tak, mój ojcie — rzekł don Lorenzo, po czym pchnął konia ku przodowi regimentu.

Spod płóciennego namiotu wciąż dobiegało wołanie Torquemady:

— Zagaście płomienie, zagaście płomienie!

Lecz już tam, gdzie u granicy najgłębszych ciemności płonęły pierwsze pochodnie, zabrzmiały twarde męskie głosy intonujące początkowe słowa hymnu Inkwizycji „*Exurge Domine et iudica causam Tuam*<sup>85</sup>”. Natychmiast podjęli pieśń pozostali domownicy i śpiew począł się z coraz większą siłą wznosić pośród ciemnych przestrzeni, pod ogromnym niebem nocy.

Zgodnie z przewidywaniami zbliżono się do Avila o pierwszym świcie. Skoro mury oraz rozliczne wieże miasta ukazały się na odległym horyzoncie, padre Diego, pragnąc zapobiec powitalnym uroczystościom, wysłał umyślnego gońca.

Po ciemnej nocy świt wstał posepny, niebo zaciągnięte ciężkimi chmurami rozściierało się nisko nad nagą i bezpłodną w tych stronach ziemią.

Mimo wczesnej pory i jakkolwiek goniec o dobrą godzinę wyprzedził orszak, wieść o tym, kto przybywa, musiała się natychmiast po mieście rozejść, kiedy bowiem, pozostawiając na uboczu świeżo zbudowany klasztor Santo Tomas, poczet Wielkiego Inkwiz-

<sup>85</sup>*Exurge Domine et iudica causam Tuam* (łac.) — Powstań panie i osądź swoją sprawę. [przypis edytorski]

zytora przebył most na rzece Adaja i przez Puerta del Puente<sup>86</sup> wkroczył pomiędzy mury — tłumy mieszkańców Avila zapełniały ulice i place prowadzące do klasztoru przy San Vicente.

Zgodnie z otrzymaną instrukcją żadne władze, zarówno świeckie, jak duchowne, nie witały przybywających. Milczały dzwony. Taki wszakże panował wszędzie spokój i porządek, iż miejskie straże Świętej Hermandady nie miały nic do roboty. Zgromadzone tłumy stały w skupieniu, wśród najgłębszej ciszy, w milczeniu rozstępowano się przed wolno posuwającym się regimenterem, a gdy ukazywał się wóz otoczony rycerstwem — ludzie klękali, pochylając głowy.

Padre Diego jechał przy wozie, po prawej ręce mając pana don Lorenza. W pewnej chwili pochylił się ku niemu i spytał:

— Zastanawiałeś się, don Lorenzo, co myślą ci ludzie zebrani tak licznie?

— Tak, ojcie — odpowiedział don Lorenzo, patrząc swoim zwyczajem przed siebie.

— Obecność tych ludzi świadczy o ich bezgranicznej miłości dla osoby czcigodnego ojca.

Na to rzekł padre Diego:

— Słusznie. Świat idzie naprzód. Istotnie zdobyliśmy miłość i zaufanie ludu.

Zamyślił się i po chwili dodał:

— Żałować mam tylko wypadka, że czcigodny ojciec nie widzi tego.

Znów umilkł, potem rzekł:

— Don Lorenzo!

— Tak, wielbny ojciec.

— Dzisiejszej nocy, jak wiesz, czcigodny ojciec znowu, na szczęście na krótko, utracił przytomność.

Don Lorenzo milczał. Tamten ciągnął dalej:

— Straszliwa i nad wyraz bolesna jest bezbronność człowieka złożonego niemocą. Byłoby też rzeczą jak najbardziej godną pożałowania, gdyby do ludzi niepowołanych przedostały się jakieś relacje o stanie, w jakim na skutek choroby znalazł się czcigodny ojciec.

Na to rzekł pan de Montesa:

— Pojmuję, wielbny ojciec. Możesz być jednak spokojny, że podobna rzecz nie może się zdarzyć. Słuch moich ludzi należy do mnie. Ich języki również.

Padre Diego, wciąż zamyślony, patrzył na niego chwilę, po czym nie rzekłszy nic odwrócił głowę. „Jestem zgubiony — pomyślał don Lorenzo. — Okazałem niewybaczalną pewność siebie. Jestem zgubiony”. Pośpiesznie począł szukać słów, dzięki którym mógłby nawiązać i jeszcze uratować urwaną rozmowę, aż naraz, gdy wydało mu się, że znalazł wyrazy właściwe, ogarnęło go zniechęcenie. „Jestem zgubiony” — raz jeszcze pomyślał. I ku własnemu zdziwieniu zamiast strachu, którego oczekiwał, uczuł ogromną ulgę. Zupełnie spokojny i wbrew swym zwykłym obyczajom począł się rozglądać dokoła, aby odgadnąć, który z najbliższych mu towarzyszy obejmie w niedalekim czasie jego stanowisko. Bez trudu i tylko na zasadzie wiadomych mu nienawiści doliczył się ich pięciu. Pomyślał, że gdyby zechciał, mógłby ich wszystkich pociągnąć za sobą w przepaść, natychmiast przecież zdał sobie sprawę, że jest już na to w tej chwili zbyt nieznacznym pionkiem, ponieważ raz objęty podejrzeniem, nie ma prawa określać ani charakteru, ani zakresu winy.

Tymczasem pierwsi domownicy zbliżali się do San Vicente.

Pierwszym, który już we wczesnych godzinach porannych przybył do San Vicente, był Jego Eminencja biskup Avila, don Blasco de la Cuesta. Wielbny padre Diego, powiadomiony o tym, opuścił czcigodnego ojca i zamieniwszy w sąsiedniej celi kilka słów z doktorem Garcia oraz z przydzielonym mu do wspólnego czuwania młodym braciszkiem zakonnym, udał się do refektarza<sup>87</sup>.

Jego Eminencja, jakkolwiek przyjechał z licznym dworem i w towarzystwie wielu przeorów oraz pralatów i kanoników kapituły, natychmiast po przybyciu do klasztoru i rozmowie z opatem opuścił swoje otoczenie i ojca Diega oczekiwał sam. Ujrzawszy wchodzącego, pośpieszył ku niemu, szeleszcząc swymi fioletami. Minione lata przydały

<sup>86</sup>*Puerta del Puente* (hiszp.) — brama mostu. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*refektarz* — sala jadalna w klasztorze. [przypis edytorski]

mu obfitości ciała, był ogromny, bardzo tęgi, szeroki w ramionach, lecz przy tej nadmiernej tuszy pełen dostojeństwa.

— Witam cię, mój ojcie — powiedział dźwięcznym, jeszcze niestarym głosem. — W jakże smutnych okolicznościach spotykamy się po tylu latach! Prawda to, że stan czcigodnego ojca jest tak ciężki?

— Istotnie — odpowiedział padre Diego — tylko w Bogu możemy pokładać nadzieję.

— Przytomny jest?

— Śpi teraz.

Pan biskup zamyślił się.

— Tak, ciężkie to dla nas wszystkich chwile. Gdy zbudzi się czcigodny ojciec, będę go mógł ujrzeć?

— Niestety — odpowiedział padre Diego — wybaczy Wasza Eminencja, lecz nie wydaje się to możliwe przy stanie, w jakim czcigodny ojciec znajduje się teraz. Lekarz kazał oszczędzać mu wszelkich wzruszeń. Spokój, spokój i jeszcze raz spokój jest mu nade wszystko potrzebny.

Jego Eminencja nie nalegał.

— To prawda, masz słuszność, mój ojcie. Istotnie, odgłosy tego świata nie powinny w tej szczególnej chwili zamącać jego umysłu. Jeśli jednak wspomniałeś o spokoju, to rozumiejąc jego głębszy, a istotny sens, nie podobna wyobrazić sobie, aby ktokolwiek z nas mógł w obliczu śmierci posiadać spokój doskonalszy od tego, na który zasłużył sobie czcigodny ojciec. Doprawdy, mało komu danym jest opuszczać ten doczesny świat ze świadomością spełnienia dzieła równie doskonałego i trwałego. Ty zresztą, wielbny ojcie, tyle lat spędziwszy u jego boku, najlepiej możesz ogarnąć i pojąć to, co nam, dalej stojącym od jego osoby, tylko w niedokładnych kształtach się zarysowuje. Z prawdziwym wzruszeniem patrzę na ciebie, mój ojcie, niegdyś mój synu. Kiedy sięgam pamięcią do dni, gdy obok siebie żyliśmy we wspólnocie, wydaje mi się, jakby od tych chwil cały wiek upłynął.

— Tak — rzekł padre Diego — czas ten, jeśli nie ma skutek lat, to na pewno dzięki ogromowi wydarzeń rzeczywiście może się wydawać bardzo znaczny.

— Jest nim! Kiedyż to w dziejach wiara i prawda oparte zostały o fundamenty równie mocne, jak za naszych czasów i na naszych oczach? Niemalę cię, mój ojcie, spotkało szczęście, że w tym dziele zostało ci dane brać udział tak bezpośredni i ważny. Pamiętasz ów dzień, gdy ja byłem tym, który pierwszy przyszedł oznajmić ci wielką nowinę?

Padre Diego spojrzał panu biskupowi prosto w oczy.

— Pamiętam, Wasza Eminencjo.

— Zastanawiałem się wielokrotnie, jak to się stało, że wówczas, w tych odległych latach, czcigodny ojciec, jakkolwiek tak mało cię znał, o tyle trafniej i dalekowzrocznie niż ja, twój przeor, potrafił ocenić istotne cechy twego umysłu i charakteru. Teraz, po tylu latach i gdy moje ówczesne obawy okazały się na szczęście mylne, mogę ci, mój ojcie, wyjawić, iż byłeś wtedy przedmiotem wielkiej mojej troski.

Padre Diego spojrzał panu biskupowi prosto w oczy.

— Nie całkiem rozumiem, co Wasza Eminencja ma na myśli.

— Moją pomyłkę — rzekł tamten. — Czy to prawda, że jeden z ówczesnych braci, brat Mateo, o ile mnie pamięć nie myli, do tego stopnia zhańbił się heretyckim odszczerpieniem, iż ze wspólnoty Kościoła został przez Święty Trybunał usunięty?

— Tak — powiedział padre Diego — tak niestety było.

— Pojmuję teraz wszystko. Wszak to on wyznawał mi na spowiedzi, jako swemu przełożonemu, twoje buntownicze jakoby, a nawet bluźniercze myśli. Ze swoich różnych wątpliwości również się spowiadał, wydawał się pełen pokory, sumiennie odprawiał wyznaczone pokuty... jak się mogłem domyślić, że równocześnie i własne oblicze przebiegle ukrywa, i ciebie spotwarza?

Padre Diego rzekł na to spokojnie:

— Zwykła to broń wrogów, kłamstwo i potwarz.

— Istotnie! A jednak, chociaż zwykłym tylko byłem przeorem, nie powinienem się był dać zwieść. Musisz mi wybaczyć, mój ojcie, tę dawną omyłkę.

— Któż z nas nie popełniał omyłek? — powiedział padre Diego głosem pełnym powagi i szacunku. — Nie mówmy już o tym, Wasza Eminencjo.

Radość rozjaśniła twarz pana biskupa.

— Masz we mnie, mój ojcze, szczerze ci oddanego przyjaciela. Cieszę się, że jeśli przyjdzie mi objąć nowe obowiązki, wówczas częściej niż w skromnym Avila będę cię mógł spotykać.

Padre Diego natychmiast domyślił się, co zaszło.

— Umarł zatem kardynał de Mendoza?

— Niestety — odparł pan biskup. — Wczoraj nadeszła z Rzymu wiadomość o jego zgonie.

Padre Diego pochylił głowę.

— Śmierć chrześcijanina zawsze pobudza do skupionych rozmyślań. Tym niemniej cieszę się, że w osobie Waszej Eminencji mogę powitać arcybiskupa Toledo i prymasa Katolickiego Królestwa.

Don Blasco de la Cuesta zarumienił się.

— Nie jestem jeszcze arcybiskupem.

— Ale z pewnością nim będziecie. Wszyscy przecież wiedzą, że i Ojciec święty, i Ich Królewskie Moście w was widzą od dawna następcę kardynała de Mendoza.

Jego Eminencja zamyślił się i jak gdyby przygasł.

— Tak, doceniam wielkie obowiązki, jakie zostaną złożone na moje ramiona. Proszę Boga, abym im podołał. Jakże jednak słusznie mówił mi niegdyś czcigodny ojciec, że nie ma w Kościele takich zaszczytów i dostojeństw, które by dorównać mogły twardej obowiązkowi żołnierzy Świętej Inkwizycji.

Na to rzekł padre Diego:

— Czcigodny ojciec byłby głęboko i szczególnie radośnie poruszony, słysząc słowa Waszej Eminencji. Sądzę też, że będę w zgodzie z jego intencjami, jeśli powiem, że Świętej Inkwizycji można służyć wszędzie, na każdym stanowisku, zarówno najbardziej niepozornym, jak wyniesionym najwyżej.

Pan biskup wciąż był zamyślony.

— Tak — powiedział wreszcie — różnymi drogami zdążają ludzie do jednego celu.

Na spotkanie ojca Diega, gdy powracał z refektarza, wybiegł młody braciszek imieniem Manuel. Był błady, z przestachem w oczach, ręce mu drżały.

— Ojciec wielebny! — zawołał.

Padre Diego przystanął, poczuł w sercu chłód. Spytał nieswoim głosem:

— Umarł?

Fray Manuel potrząsnął głową.

— Cóż się więc stało?

— Ojciec wielebny, przysięgam, nie moja to wina. Czcigodny ojciec zbudził się, zadzwonił na mnie, kazał mi, abym mu pomógł podnieść się i ubrać...

Padre Diego przyspieszył kroku.

— Nieszczęsny, uczyniłeś to?

Braciszek bezradnie rozłożył ręce.

— Jakże mogłem nie usłuchać?

Na progu celi stał doktor Garcia, również błady i wystraszony.

— Głupcze! — zawołał padre Diego — jak mogłeś do tego dopuścić?

Odsunął go szorstkim ruchem ramienia i skierował się ku drzwiom prowadzącym do celi czcigodnego ojca. Nim je otworzył, zawahał się, nie dłużej jednak niż ułamek sekundy. Potem wszedł do środka.

Cela była obszerna, lecz mimo białych murów mroczna. Tylko w pobliżu okiennego wykuszu skupiało się nieco więcej dziennego światła. Tam właśnie, w głębokim krześle, otulony płaszczem podbitym futrem, siedział padre Torquemada. Trzymał się prosto, dłonie miał złożone na kolanach. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, poruszył się.

— To ty, Diego? — spytał nieswoim, dalekim głosem.

Ten zawołał:

— Ojcie mój, jak mogłeś wstać? Połóż się, błagam cię.

— Zbliź się, mój synu — powiedział Torquemada tym samym głosem dalekim i w jakiś szczególny sposób monotonnym. — Czekałem na ciebie. Niewiele czasu mi zostało, muszę się śpieszyć, a mam ci do powiedzenia rzeczy niezmiernie ważne. Niektóre trzeba będzie zapisać, aby natychmiast podać je do wiadomości publicznej. Gdzie jesteś?

— Tutaj, ojcie.

— Stań bliżej światła. Chciałbym cię widzieć. O tak. Podaj mi rękę.

— Ojcie mój, nie wolno ci tyle mówić. Połóż się.

Torquemada potrząsnął głową.

— Nie, nie teraz, później. Wpierw muszę omówić z tobą szereg spraw. Trzeba będzie, nie zwlekając, wiele rzeczy odmienić w naszym Królestwie. Właściwie wszystko. Czeka cię ogromna praca i aż lęk mnie ogarnia, że możesz nie podolać tym nadludzkim niemal zadaniom. Lecz ktoś może to uczynić, jeśli nie ty? Mam zresztą nadzieję, że znajdą się jeszcze ludzie nie przeżarci doszczętnie strachem i kłamstwem, a także nie zarażeni pychą i nienawiścią. Takich skupisz dokoła siebie i przy ich pomocy i poparciu zburzysz wszystko, co jest teraz. Tak, to, co jest, nadaje się tylko do zburzenia i wymiecienia precz. Wszystko jest ponad miarę złe, zatrute i skarłale. Trzeba to precz odrzucić. Miałeś jednak słuszność, mój synu.

— Ojcie mój — szepnął Diego.

— Przypominasz sobie noc, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy? Właśnie wtedy miałeś słuszność. Słuszny był twój gniew, twój bunt, słuszne twoje cierpienie. Ciężko to wyznawać, lecz nie widzę dokoła siebie ani jednej ludzkiej twarzy prócz twojej.

— Ojcie! — zawołał Diego.

— Niestety tak jest. Nie wolno się już dłużej oszukiwać. Żłudna jest nasza potęga, pozorne nasze siły. Drżą fundamenty i zarysowują się ściany gmachu, który budowaliśmy. Straszliwy to gmach. Więzieniem i kaźnią uczyniliśmy świat. Ale to nie może trwać. Jeśli to wszystko nie zawali się jutro, stanie się to pojutrze. Katastrofa jest nieunikniona. Nie ma już wiary, nie ma nadziei. Połamaliśmy ludzi, zniszczyliśmy ich umysły i serca. Jesteśmy znienawidzeni i pogardzani. Nic się z tego mrocznego szaleństwa nie da uratować. Trzeba szukać innych dróg ocalenia. Zachodzi nagląca konieczność, abyśmy sami zburzyli to, co musi runąć. Będziesz musiał niezwłocznie napisać odpowiednie zarządzenia. Wszystko dokładnie ci podyktuję.

Padre Diego stał bez ruchu, porażony grozą i przerażeniem.

— Gotowy już jesteś, mój synu? Pośpiesz się, mamy coraz mniej czasu. Czemu tu tak ciemno? Każ przynieść świece. Niestety, na całą ziemię sprowadziliśmy ciemności. Trzeba będzie dużo światła. Ale na razie musimy uporządkować sprawy najważniejsze. Przygotowałeś wszystko?

Diego cofnął się w cień.

— Tak, ojcie.

— Pisz więc. My, Tomas Torquemada... nie, bez tytułów, nie pisz tytułów, to już niepotrzebne. Napisz po prostu, że z dniem dzisiejszym... którego dzisiaj mamy?

— Szesnastego września, ojcie.

— Że z dniem szesnastego września, roku...

— Tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego.

— Roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego ósmego Święta Inkwizycja zostaje rozwiązana. Znosimy Świętą Inkwizycję i przekreślamy ją, a tym samym odwołujemy wszystkie nasze nieprawości i zbrodnie, jakie w jej imieniu uczyniliśmy, ofiarom naszych działań przywracając wszystkie prawa i godności, z pomordowanych zdejmując infamię<sup>88</sup>. Procesy nasze i wyroki tracą swoją moc, jako fałszywe, podkreśl to, bo to jest szczególnie ważne. Więzienia będą otwarte i ludziom niesłusznie pozbawionym wolności musi być ona niezwłocznie przywrócona.

Diego upadł przed czcigodnym ojcem na kolana.

— Ojcie mój! — zawołał zdławionym głosem — błagam cię na wszystko, jesteś chory...

<sup>88</sup>*infamia* (z łac.) — kara utraty czci, zwykle związana też z ograniczeniem podejmowania czynności prawnych. [przypis edytorski]

Torquemada zdawał się nie widzieć go, patrzył przed siebie.

— Spokój, mój synu. Pojmuję, że musisz zdawać sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaka będzie odtąd na tobie spoczywać, ale nie możesz się od niej uchylić. Pismo o zniesieniu Świętej Inkwizycji trzeba będzie rozesłać jeszcze dzisiaj. Będzie ono miało ważność dekretu. Poza tym musimy jak najszybciej opracować tezy, które by teoretycznie uzasadniły naszą decyzję. Jeżeli chcemy, aby kłamstwo nie zatrzymało więcej ludzkich umysłów, musimy sami przestać kłamać. Trzeba powiedzieć pełną prawdę, choćby była ona trudna i bolesna. Nie możemy, mój synu, ulegać złudzeniom, iż tylko i wyłącznie w metodach sprawowania waszej władzy popełniliśmy błędy, a nawet przekroczyliśmy i podeptaliśmy wszelkie prawa ludzkie. Nie usuniemy gwałtu i przemocy, jeśli również nie usuniemy podstawowych zasad, które gwałt i przemoc zrodziły. Musimy zatem pójść do ludzi i otwarcie im powiedzieć, że zła jest wiara, która tak straszliwe spustoszenia mogła wyrządzić. Zła i fałszywa jest ta wiara i trzeba uczynić wszystko, aby nędza usunięta została nie powierzchownie, lecz wyrwana i zniszczona u samych swych korzeni. Nie będzie Królestwa Bożego na ziemi.

Diego klęczał z pochyloną głową, śmiertelnie blady, niezdolny słowa jednego z siebie wydobyć. Torquemada mówił dalej, wciąż tym samym dalekim i monotonnym głosem, wpatrzony w mrok w głębi celi:

— Tak więc dla uratowania ludzkości od całkowitej zagłady i aby uchronić ludzi od pograżenia się na zawsze w odmęty niewoli, strachu, kłamstw i nienawiści, musimy zburzyć to wszystko, co w pogardzie dla człowieczeństwa i wśród złudnych urojeń zbudowaliśmy własnymi rękoma kosztem największych ludzkich nieszczęść i cierpień. Z pewnością zamęt wyniknie z tego niemały i ciężkie dni nadejdą, tym niemniej, aby uratować się przed złem jeszcze większym, musimy szaleństwo naszej wiary nazwać szaleństwem, a jej fałsz fałszem. Trzeba się będzie, mój synu, nauczyć żyć bez Boga i bez Szatana.

— Ojcze! — krzyknął Diego.

— Tak, mój synu. Ich nie ma.

Diego przyczołgał się do kolan Torquemady i drżącymi rękoma chwycił jego dłonie.

— Ojcze, błagam cię, oprzytomnij... to ja, Diego... słyszysz mnie?

— Słyszę cię, przecież do ciebie mówię. Nie przerywaj jednak, niedługo zapadnie noc. Pamiętaj, musisz jeszcze napisać dekret o zniesieniu strachu. Od dzisiaj nie będzie strachu na ziemi. Wszystko zaczniemy od nowa, a właściwie ty, mój synu, zaczniesz. Jesteś młodziutki, żarliwy i czysty...

Padre Diego, już nie panując nad sobą, wyprostował się i uczepiwszy się oburącz futrzanego płaszcza, który okrywał czcigodnego ojca, targnął nim gwałtownie.

— Przestań, ojcze, słyszysz? Przestań, ja ci rozkazuję, słyszysz? Milcz!

Torquemada zwrócił ku niemu wzrok. Ujrzał wówczas twarz obcego człowieka, bladą i nadmiernie ogromną, zniekształconą strachem i złością. Na ustach poczuł gorący oddech. Rozumiejąc, że znalazł się w rękach nieznanego wroga, chciał wołać o pomoc, lecz zdołał tylko szepnąć:

— Diego!

Ten potrząsał starcem bełkocąc:

— Milcz, milcz, milcz...

Aż naraz<sup>89</sup> znieruchomiał. Patrzył chwilę na poszarzałą twarz Torquemady i jego oczy szeroko rozwarł, lecz już szkliste i martwe. Bał się poruszyć, wreszcie puścił płaszcz, który kurczowo przytrzymywał zacisniętymi palcami. Ciało czcigodnego ojca obsunęło się cokolwiek, pozostało jednak wyprostowane.

— Boże! — szepnął.

Wciąż klęczał, lzy spływały mu po policzkach. Jeszcze nie potrafił ani przyjąć, ani zrozumieć tego, co się stało. Gubił się wśród sprzecznych uczuć i myśli. Wreszcie podniósł się, stał jednak dalej przy zmarłym, osłabły i zdrętwiały, nie mogąc od niego oderwać oczu pełnych łez. Na koniec, nie bardzo świadomy tego, co chce uczynić, podniósł ciężką jak kamień rękę i z całej siły uderzył czcigodnego ojca w twarz.

grudzień 1955 — kwiecień 1957

<sup>89</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

---

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/andrzejewski-ciemnosci-kryja-ziemie>

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Andrzejewski, *Ciemności kryją ziemię*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Elżbieta Flis, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: Horia Varlan@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5508-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).